

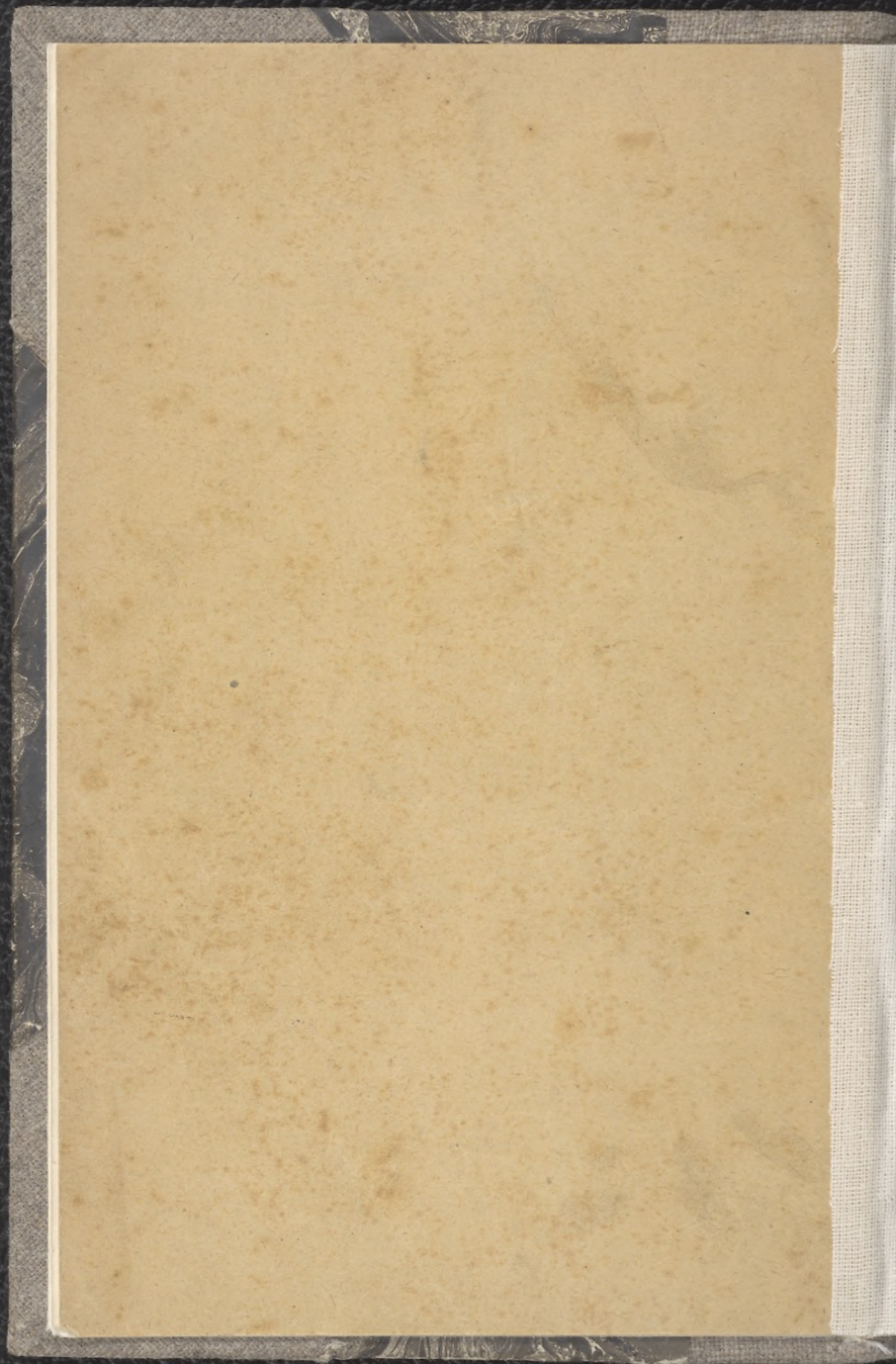
T. A. 470. 179

Conan Doyle

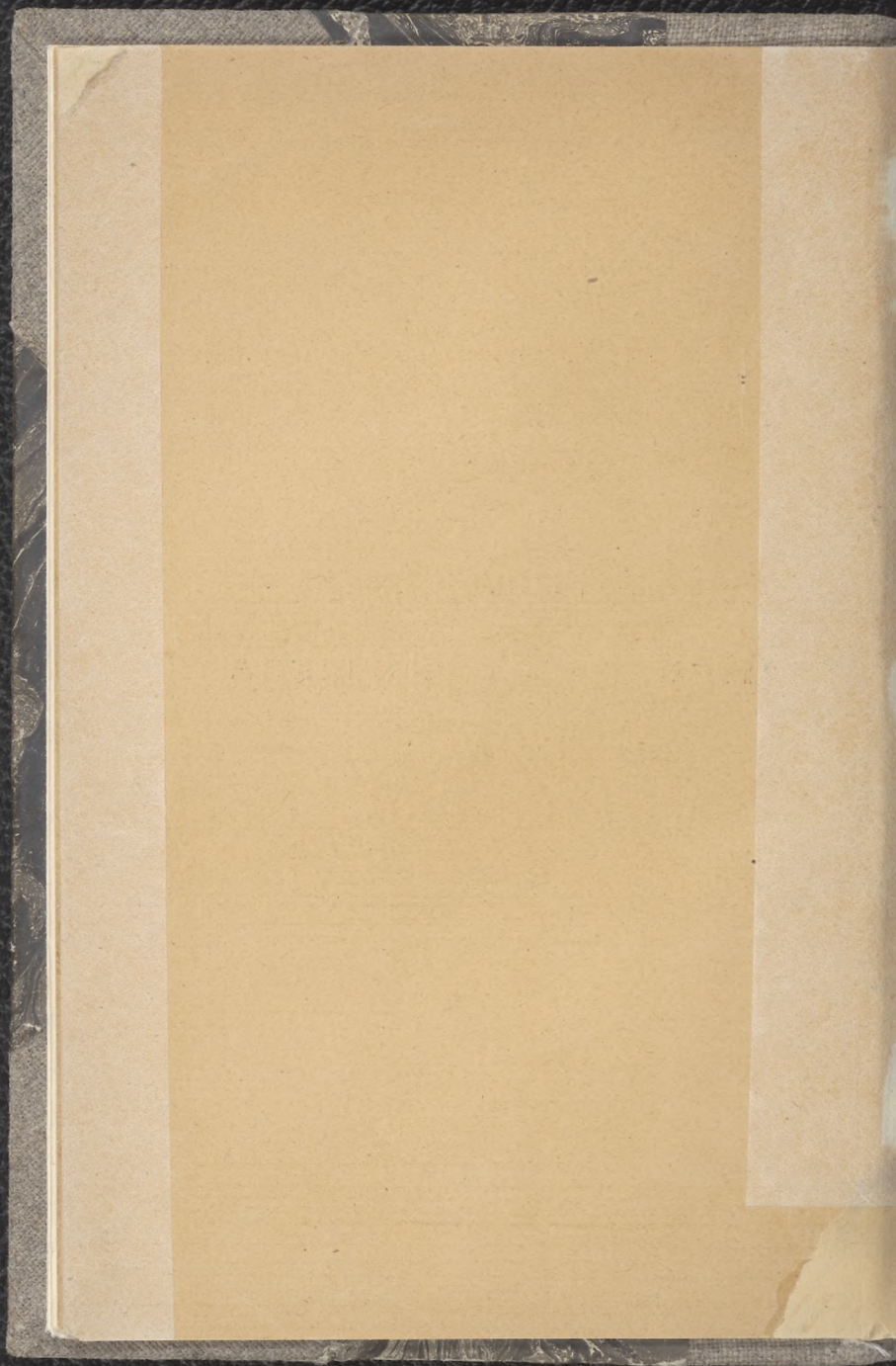
Z PRZYGÓD
SHERLOCKA
HOLMESA



TAJEMNICA
OBLUBIENICY



Z PRZYGÓD
SHERLOCKA HOLMESA



III
—

Z PRZYGÓD
SHERLOCKA HOLMESA

CONAN DOYLE

TAJEMNICA OBLUBIENICY

I INNE NOWELE



KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
WARSZAWA — GEBETHNER I WOLFF

1905



I 1.470.178



Kraków 1905. — Druk W. L. Anezyea i Spółki.

1893 k 58

SHERLOCK HOLMES.

Ten Sherlock Holmes nie jest ani poetą, ani malarzem; nie wynalazł, nie odkrył, nie wslawił się nawet w żadnym sensacyjnym procesie, co więcej, nie jest nawet żyjącą istotą. Twór wyobraźni, bohater powieściowy. A jednak osobnik nadzwyczaj interesujący, z wszystkimi wadami i zaletami żyjącego człowieka, z najistotniejszymi znamionami epoki, możnaby powiedzieć: wzorowy typ. Ojcem jego Conan Doyle, literat, którego długo nie chciano przyjąć między literatów, ponieważ pisywał tylko takie sobie historyjki na tle kryminalnem, nie należące właściwie do zakresu urzędowej literatury.

A jednak jest w nich prawda. Te drobne opowieści kryminalne i przygody Sherlocka Holmesa należą do najciekawszych doświadczeń psychologicznych, jakie napotyka się w lżejszej literaturze. W rzeczywistości nie chodzi w nich wcale o sprawy kryminalne. Te są na drugim planie. Na pierwszym widzimy tylko działalność ducha genialnego, niezwykajnie ścisłego. Autor przedstawia nam najrozmaitsze związki między wypadkami, szereguje je krytycznie, przesuwając niby pionki na szachownicy, aby wreszcie dojść do określonego i jedynie możliwego wyniku. To metoda dedukcyjna *in nuce*.

I z żadnego podręcznika naukowego nie można tak praktycznie poznać znaczenia, zakresu i granic tej wiedzy, jak właśnie ze zbioraka przygód Sherlocka Holmesa.

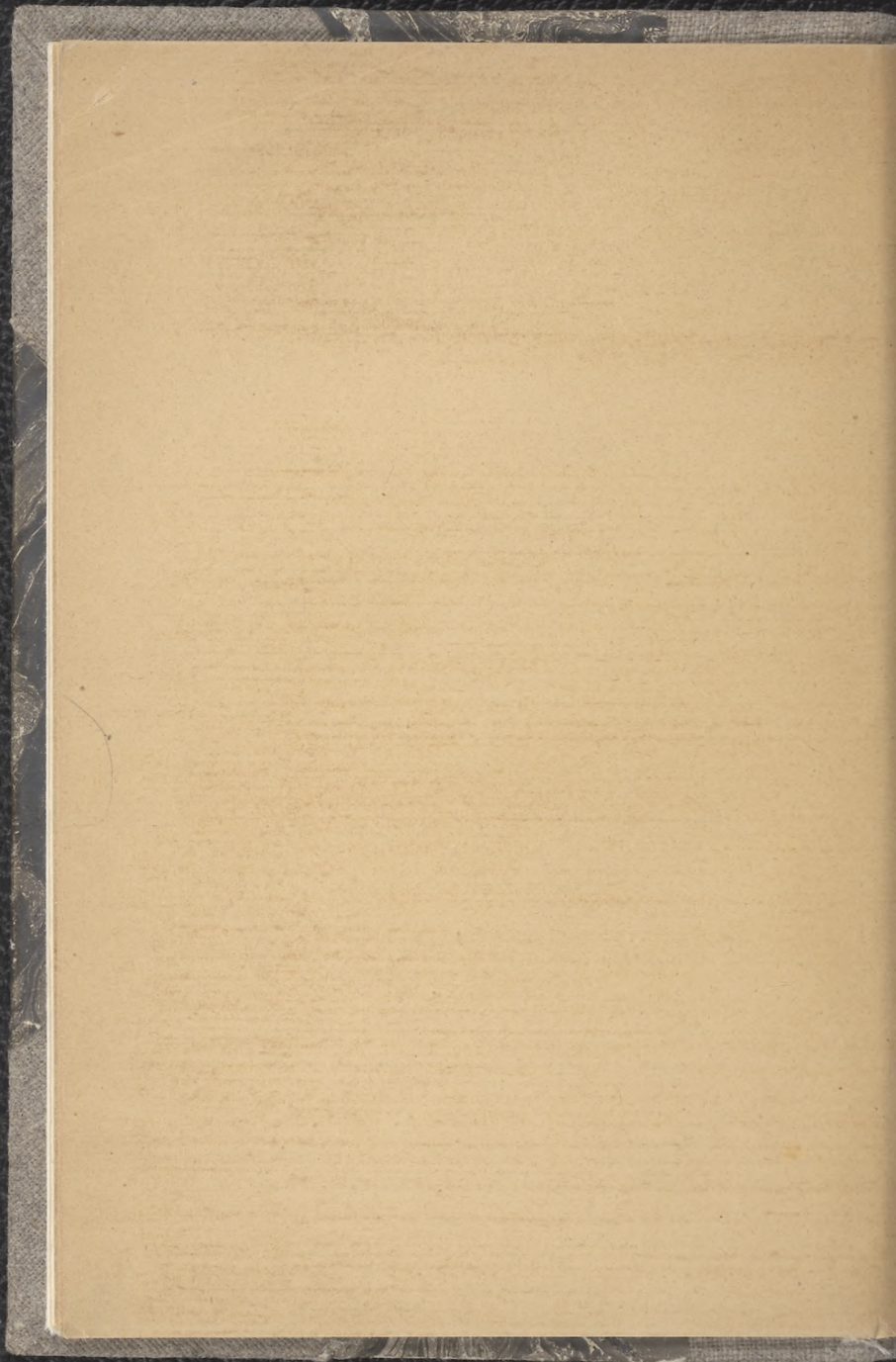
Pierwszem prawem tej psychologii jest oczywiście dobre oko, bystra obserwacja. Trzeba jednak obserwować trafnie i umiejętnie, obserwować istotę rzeczy, a nie zewnętrzne pozory. Nie można się kierować przesądami lub uprzedzeniami, nie można wniosków i hipotez przyjmować, zamiast faktów. Gdy więc ktoś powie: «Widziałem pana X., jak wychodził z tego domu», Sherlock Holmes nie przyjmie za podstawę swych rozważań faktu: «pan X. wychodził z tego domu», lecz zanotuje sobie w pamięci, że ta lub owa osoba «widziała pana X., jak wychodził». Wydaje się to drobiazgowością sędziego śledczego, pedanterią umysłu, a jednak jest to charakterystycznym znamieniem całego systemu tej bystrej, praktycznej filozofii sceptycyzmu.

Lecz Sherlock Holmes posiada i inne właściwości współczesnego człowieka. Jest więc nerwowo do ostatnich granic (szczególne znamię naszej kultury), jest zdecydowanym «dekadentem», pracuje ponad siły, w dzień i w nocy, a gdy braknie mu intensywnej zajęcia, nie umie czem innym zapełnić życia, przychodzą nań okresy zupełnej apatii, z której ratują go injekcje kokainowe, lub rozpaczliwa gra na skrzypcach. A przy tem wszystkim przymieszka romantyzmu, szukanie efektów zewnętrznych, narażanie lekkomyślne życia, by psychologiczny wywód zaokrąglić ostatecznymi szczegółami.

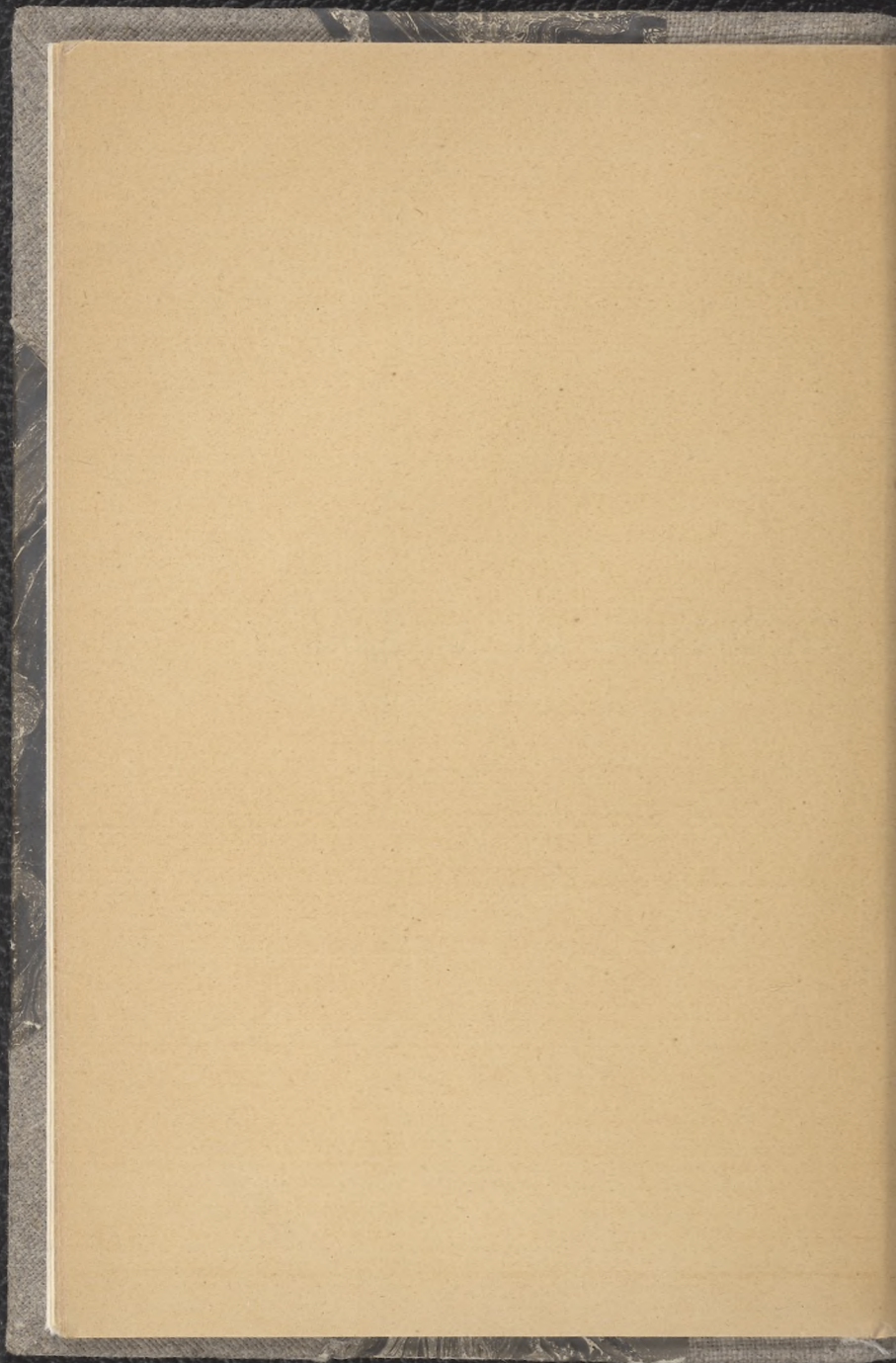
Jest wreszcie i głębsza myśl w tych opowiadaniach; wieczna walka sprawiedliwości ze złem, walka, w której obie strony nie cofają się przed niczem. *Pereat mundus, fiat justitia.* Nieraz sprawa już rozwiązana pomyślnie, zatajenie ostatnich wyników mogłoby przynieść znaczne korzyści materialne. Holmes odrzuci je zawsze, bo jego idea; tryumf sprawiedliwości.

Takim jest Sherlock Holmes. A że cechy jego tak bardzo odpowiadają cechom współczesnego człowieka, dlatego zapewne zyskał sobie tak wielką popularność. Fantom wyobraźni pozyskał prawo obywatelstwa wśród żywych.





TAJEMNICA OBLUBIENICY



Małżeństwo lorda St. Simona i jego niespodziewany wynik dawno już przestały budzić zajęcie w kołach arystokracji angielskiej, w których obracał się nieszczęśliwy małżonek. Inne wypadki, niemniej ciekawe, zastąpiły jego miejsce, a omawianie ich drażliwych szczegółów jest tematem rozmów dnia. O owym dramacie, który rozegrał się przed kilku laty, zapomniano już prawie zupełnie, tem więcej, że szersza publiczność nie знаła dokładnie jego drobniejszych momentów i nie umiała ich należycie powiązać w całość. Przyjaciel mój Sherlock Holmes brał niemalże udział w wyjaśnieniu tej sprawy, dzięki czemu znam ją tak dobrze, jak mało kto. Ponieważ historia ta miała dużo zajmujących szczegółów, a na metody działań Holmesa rzuca wcale silne światło, więc chcę ją pokrótce przedstawić.

Pewnego dnia Holmes, wróciwszy popołudniu do domu, znalazł na stole list adresowany do

niego. Ja przez cały dzień nie wychodziłem z domu, bo od rana padał ulewny deszcz i szalał wichur jesienny, wskutek czego rana, jaką odniosłem w nogę podczas wyprawy do Afganistanu, sprawiała mi ogromny ból. Aby ulżyć cierpieniu, rozsiadłem się w wygodnym fotelu naprzeciw płonącego kominka, oparłem nogi na drugim krześle, a dla zabicia czasu otoczyłem się całą górą pism codziennych. Ale nareszcie znudziły mi się sensacyjne i niesensacyjne nowiny, z niechęcią odrzuciłem gazety i bez celu patrzyłem przed siebie. Przy tej sposobności ujrzałem list na stole i z ciekawością obserwowałem wspaniałą herb i monogram, zapytując się, kto może być jego autorem. Zbyt jednak byłem leniwy, aby powstać i obejrzeć z bliska interesujący mnie list.

— Masz tu list od jakiejś wybitnej osobistości — zawołałem, zobaczywszy, że Holmes wchodzi do pokoju. — O ile sobie przypominam, otrzymałeś rano list od jakiegoś handlarza ryb i od poborecy podatkowego. Ładna kolekcya.

— Tak jest — odparł Holmes z uśmiechem — moja korespondencya ma stanowczo wdzięk oryginalności. I zaręczam ci, że im mniej jest wytworny taki list z pozoru, tem bardziej zajmującą bywa zwykle jego treść. Ten list tutaj wygląda na jedno z licznych, niezbyt miłych towarzyskich zaproszeń, któremi ludzie zwykli się torturować lub okłamywać nawzajem.

Holmes rozdarł kopertę i przebiegł szybko list oczyma. Nagle twarz jego przybrała wyraz zadowolenia.

— Omyliłem się — zawołał — ta sprawa może być bardzo interesująca.

— Więc nie uprzejmości towarzyskie?

— Bynajmniej. Sprawa zupełnie realna.

— Mimo że list herbowy?

— Pochodzi od pewnej bardzo znanej osobistości ze świata londyńskiego.

— Bardzo się cieszę, że z takiej strony spotyka cię uznanie.

— Na tem mało mi zależy. I wcale nie myślę się chępić. Bo zapewniam cię, drogi Watsonie, że prawie nigdy nie obchodzą mnie osoby, które się do mnie zwracają, lecz same tylko wypadki, z jakimi przychodzą. A ta sprawa zapowiada się wcale nie źle. W ostatnich dniach, jak mi się zdaje, czytywałeś bardzo pilnie dzienniki?

— I cóż miałem robić! — odpowiedziałem żałośliwym głosem, wskazując równocześnie na stos pism, rzucony do kąta. — Ta przekłeta noga. Ani sposób wyjść przy takim powietrzu.

— Bardzo się to dobrze składa. Może wobec tego będziesz mi mógł dać potrzebne wyjaśnienia. Bo ja nie czytuję zwykle nic więcej prócz rubryki wypadków kryminalnych i ogłoszeń. Tam zawsze można znaleźć coś ciekawego. Skoro więc przeczytałeś pisma uważnie, wiesz zapewne

jakieś szczegóły o lordzie St. Simonie i o jego małżeństwie.

— Ależ naturalnie. Wszystko, co się do tego odnosi, czytałem z ogromną uwagą.

— Wybornie. Autorem tego listu jest właśnie lord St. Simon. Przeczytam ci go, a w zamian za to musisz jeszcze raz przerzucić dzienniki i zebrać wszystko, co ma związek z tą sprawą. Lord pisze, co następuje:

Drogi panie Holmesie!

Dowiedziałem się od lorda Backwater, że można zupełnie zaufać pańskiej bystrości i pańskiej niezwyklej dyskrecyi. Wskutek tego postanowiłem pomówić z Panem i zasięgnąć Jego rady co do niezmiernie smutnego wydarzenia, jakie zaszło przy sposobności mojego ślubu. Wprawdzie powierzyłem już tę sprawę panu Lestrade, inspektorowi londyńskiej policji, ale on sam, jak mnie zapewnił, nietylko nie sprzeciwia się Pańskiemu współdziałaniu w rzeczonyj sprawie, lecz przeciwnie spodziewa się jak najlepszych rezultatów, jeżeli zechce nam Pan służyć swoją pomocą. Mam zamiar dzisiaj popołudniu około godziny czwartej stawić się w Pańskim mieszkaniu i żywię nadzieję, że wszelkie inne sprawy odłożysz Pan na bok, wobec ważności mojej sprawy.

Z poważaniem

St. Simon.

— List jest datowany z zamku Grosvenor — ciągnął dalej Holmes — i pisany piórem rondo-
wem. Zaczemu lordowi wydarzyło się to nie-

szczęście, że powalał atramentem mały palec prawej ręki — zauważył w końcu, składając list.

— Pisze, że będzie tu o godzinie czwartej. Teraz jest trzecia. Mamy więc godzinę czasu.

— Wystarcza aż nadto, abym przy twojej łaskawej pomocy zapoznał się z przebiegiem wypadków. Teraz zajmij się gazetami i ulóż je po porządku, a ja tymczasem stwierdzę, z kim mamy właściwie do czynienia.

Wziął z półki przy kominku dużą księgę w czerwonej oprawie, usiadł wygodnie w fotelu i powoli przerzucał kartki.

— Otóż i on — rzekł po chwili — Lord Robert Walsingham de Vere St. Simon, drugi syn księcia Balmoralu. Hm! Herb bardzo ciekawy. Urodzony w roku 1846. Liczy zatem 41 lat życia, jak na małżonka nie nazbyt młody. Piastował dawniej urząd sekretarza w urzędzie dla kolonij. Jego ojciec, książę Balmoral był w swoim czasie... i t. d. No, nie jesteśmy wiele mędrsi niż pierwsi. Zdaje się, że muszę w zupełności zdać się na twoją łaskę, drogi Watsonie, aby dowiedzieć się czegoś więcej.

— Nie utrudziłem się zbytnio, aby wszystko odszukać — odparłem — wypadki zaszły w ostatnich dniach i odrazu zajęły moją uwagę. Nie wspominałem ci o nich, bo widziałem, że zajmujesz się inną sprawą, a wiem także, że nie lubisz, aby czemś innem odwracać twoją uwagę od rozpoczętych już poszukiwań.

— No tak, tak. Tymczasem jednak udało się rozwiązać szczęśliwie tamtą sprawę, chociaż właściwie nie było się tam nad czym namyślać. A zatem czytaj, czego się dowiedziałeś.

— Oto pierwsza notatka, jaką mogłem znaleźć. Jak widzisz była umieszczona przed kilku tygodniami w *Morning-Post* w rubryce «Wiadomości osobistych». — «Lord Robert St. Simon — powiedziano tam — drugi syn księcia Balmoral, zamierza wstąpić w związki małżeńskie z panną Hatty Doran, jedyną córką pana Alojzego Dorana z San Francisco w Kalifornii. Słychać, że ślub odbędzie się w najbliższym czasie». — Oto wszystko.

— Krótko i jasno — zauważył Holmes, który wygodnie wyciągnął się przed kominkiem.

— W tym samym tygodniu pomieszczona była obszerniejsza wzmianka w jednym z pism wytwornego świata. Aha, otóż i ten artykuł:

W niedługim czasie trzeba będzie i w sprawach małżeńskich zaprowadzić granicę słowa, podobnie jak przy innych naszych produktach. Rodziny Wielkiej Brytanii jedna po drugiej oddają berło domowego ogniska w ręce pięknych cudzoziemek z za Oceanu. Liczba zwycięstw, które te zachwycające tryumfatorki odnoszą ciągle na naszym kontynencie, powiększyła się w ubiegłym tygodniu znowu o jedno więcej i to nie małe. Lord St. Simon, który od lat przeszło dwudziestu odpierał dzielnie strzały Amora, zamierza obecnie,

jak się dowiadujemy z najpewniejszego źródła, wstąpić w związek małżeński z Miss Hatty Doran, piękną córką kalifornijskiego milionera. Miss Doran, której niezwykle wdzięk i olśniewająca piękność sprawiły ogromne wrażenie podczas uroczystości w Westbury-house, jest jedynaczką, a jej posag, jak powszechnie twierdzą, wynosi przeszło milion, nie licząc tego, co w przyszłości kiedyś posiędzie. Jest publiczną tajemnicą, że Książę w ciągu ostatnich lat był zmuszony sprzedać część swojej galeryi obrazów, zaś Lord St. Simon posiada zaledwie małą wioskę Birchmoor. Tak więc jasnym jest, że kalifornijska milionerka nie jest jedynie zyskującą w tym związku, przez który zwykła republikanka w wygodny i zakorzeniający się coraz bardziej sposób dostaje się między najwyższą arystokrację angielską.

— Czy masz coś jeszcze? — spytał Holmes, ziewając.

— Och niemało. — Następuje krótka notatka w *Morning-Post* tej treści, że obrzęd ślubny odbędzie się zupełnie cicho w kościele św. Jerzego, że uczestniczyć w nim będzie tylko najbliższa rodzina, i że następnie zaproszeni goście udadzą się na bankiet do domu przy Lacastergate, wynajętego na czas zaślubin przez pana Alojzego Dorana. W dwa dni później, a zatem ubiegłej środy, znowu kilkowerszowa wzmianka, że ślub się odbył, a młoda para zamierza spędzić miodowy miesiąc w dobrach lorda Backwater w pobliżu

Petersfield. I oto wszystko, co pisma podają, aż do chwili zniknięcia młodej damy.

— Aż do czego? — zakrzyknął Sherlock Holmes, zrywając się nagle z miejsca.

— Aż do zniknięcia młodej damy.

— A kiedyż zniknęła?

— Podczas uczty weselnej.

— Co? Ależ to sprawa niezmiernie interesująca, bardziej, niż się z pozoru wydawało. Ogromnie dramatyczny wypadek.

— Oczywiście. Nie będziesz się teraz dziwił, że czytałem o nim z zajęciem. Podobne wypadki nie zdarzają się codziennie.

— Masz słuszość, nieraz młode oblubienice znikają przed ślubem, to najczęściej, czasami zdarza się to także podczas miodowych miesięcy. Ale o czemś podobnem, aby młoda małżonka tak się spieszyła zaraz po ukończeniu obrzędu zaślubin, nie zdarzyło mi się słyszeć. Proszę cię bardzo, zdawaj dalej dokładnie sprawę.

— Będzie to dosyć trudno, bo wiadomości w pismach nie są zbyt obfite.

— No, może potrafimy temu zaradzić.

— Pierwsza wieść znajduje się w jednym z wczorajszych pism porannych. Przeczytam ci ten artykuł. Jest on zatytułowany: «Dziwny wypadek podczas zaślubin» i brzmi jak następuje:

Rodzina lorda Roberta St. Simona jest boleśnie dotknięta tajemniczym i niedającym się wytłómaczyć wypadkiem, jaki zaszedł podczas zaślubin

lorda Roberta. Obrzęd kościelny odbył się, jak już wczoraj krótko donieśliśmy, wczoraj przedpołudniem. Dopiero teraz jednak zdołaliśmy zbadać pogłoski, jakie już od wieczora krążyły po mieście. Zrazu nie notowaliśmy ich, zwłaszcza, że i sama rodzina starała się im zaprzeczać, obecnie sprawa stała się zbyt głośną i budzi powszechną sensację, tak, że byłoby wprost nierozsądnem starać się przemilczeć wypadki, o których mówią wszyscy.

Uroczystość zaślubin odbyła się w kościele św. Jerzego w zamkniętem kółku rodzinnem. Wzięli w niej udział: ojciec narzeczonej pan Alojzy Doran, księżna Balmoral, lord Backwater, lord Eustachy i lady Klara St. Simon (młodszy brat oblubieńca) oraz lady Alicya Whittington. Zebrani udali się następnie do domu pana Alojzego Dorana przy Lancastergate, gdzie była zastawiona uczta weselna. Przed domem wydarzył się nieprzewidziany epizod. Mianowicie jakaś osoba płci żeńskiej, której nazwiska nie mogliśmy dotąd stwierdzić, usiłowała przemocą wedrzeć się do domu za orszakami ślubnym, twierdząc, że ma pewne pretensye do lorda St. Simona. Dopiero dwaj służący stojący przy drzwiach, położyli kres jej natręctwu i usunęli ją z przedsionka. Oblubienica, która na szczęście weszła do wnętrza domu, przed rozegraniem się tej niemiłej sceny, zasiadła do stołu z całym towarzystwem. Nagle jednak zaczęła się skarżyć na nagłą słabość i usunęła się do swego pokoju. Gdy nieobecność jej

trwała zbyt długo i zaczęła już zwracać uwagę ojciec jej udał się do jej apartamentów, dowiedział się jednak od pokojówki, że jego córka weszła tylko na chwilę do swego pokoju, zarzuciła płaszcz na ramiona, wdziała kapelusz i szybko wyszła z domu. Jeden z lokai oświadczył, że widział wprawdzie jakąś damę w opisanym stroju wychodzącą z domu, nie przypuszczał jednak, aby to mogła być jego pani i dlatego nie zwrócił na nią wcale uwagi.

Skoro tylko stwierdzono, że młoda oblubienica istotnie zniknęła, pan Alojzy Doran i lord St. Simon zwrócili się natychmiast do policyi, która przedsięwzięła energiczne poszukiwania za zaginioną. Niewątpliwie rzucą one światło na tę niezwykle dziwną sprawę.

Do wczoraj do późnej godziny w nocy nie udało się jeszcze odszukać młodej damy. Jak słychać, śledztwo wikła się coraz bardziej, a policya ma zamiar przedsięwziąć aresztowanie kobiety, która spowodowała pierwsze zakłócenie harmonii uroczystości, przypuszczają bowiem, że powodowana albo zazdrością, albo innym uczuciem przyłożyła rękę do tajemniczego zniknięcia młodej lady.

— I to wszystko? — spytał Holmes.

— W drugim z pism porannych jest jeszcze inna krótka, ale ważna notatka.

— Która donosi...?

— ...Że pannę Floreę Millar, bohaterkę epizodu przed domem, istotnie aresztowano. Jak się zdaje,

była ona dawniej tancerką w Teatrze Allegro i przed kilku laty pozostawała w bliskim stosunku do lorda St. Simona. O innych szczegółach nie ma wzmianki. Tak więc przedstawiałby się cały materiał dotyczący tej sprawy, o ile oczywiście chcemy go zaczerpnąć ze sprawozdań dziennikarskich.

— Zdaje mi się, że będzie to wypadek niezmiernie zajmujący, i za żadną cenę nie zdecydowałbym się go poniechać. Ale oto slychać dzwonek, drogi Watsonie. Ponieważ czwarta godzina prawie minęła, możemy żywić słusznie nadzieję, że przybywa zapowiadany gość. Ale, jak widzę, chcesz odejść. Mój Watsonie nie myśl o tem wcale, chcę abyś był świadkiem naszej rozmowy, chociażby dlatego, byś mógł później to lub owo przypomnieć mojej pamięci.

— Lord Robert St. Simon — zaanonsował nasz służący, otwierając szeroko drzwi.

Do pokoju wszedł mężczyzna o wytwornych, miłych rysach twarzy, o bladej cerze, z orlim nosem; usta miał nieco skrzywione dumnym grymasem, patrzył pewnym wzrokiem człowieka, któremu przypadł w udziale szczęśliwy los, że zawsze może rozkazywać i zawsze znajduje posłuch dla swych rozkazów. Z usposobienia był bardzo żywy, aczkolwiek nie sprawiał już wrażenia młodego człowieka, bo szedł nieco pochyłony ku przodowi, utykając trochę na jedną nogę. Kiedy zdjął szeroki kapelusz z głowy, widać

było włos szarzejący na skroniach i małą łysinę z tyłu głowy. Strój jego przypominał niemal najpierwszego modnia: wysoki kołnierz, czarny długi surdut, biała kamizelka, żółte rękawiczki, lakierki i jasne kamasze, wszystko zrobione podług ostatniej mody. Wszedł do pokoju miarowym krokiem, zwracając głowę w jedną i w drugą stronę, mierząc nas wyniosłem spojrzeniem.

— Moje uszanowanie panu, lordzie St. Simonie — rzekł Holmes, powstając z krzesła i składając ukłon gościowi — proszę bardzo, nich pan usiądzie tu na fotelu. Pozwoli pan, że mu przedstawię mojego przyjaciela i towarzysza pracy: dr Watson. A teraz omówimy sprawę, która pana tu sprowadza.

— Jest to dla mnie niezmiernie przykra historia, jak pan łatwo zrozumiesz, mr. Holmes. Cios ten spadł na mnie zupełnie niespodziewanie. Mówiono mi jednak, że rozwiązywałeś pan już szczęśliwie podobne wypadki, chociaż zapewne nie z kół mojego towarzystwa.

— Przeciwnie, miałem klientów nawet królewskiego rodu.

— I któż to był taki?

— Pojmujesz pan zapewne — odparł Holmes łagodnym głosem, — że dyskrecya, jaką panu przyrzekam w pańskiej sprawie, obowiązuje mnie również w obec innych moich klientów. Dlatego wybaczy pan, że bliższymi szczegółami służyć mu nie mogę.

— Oczywiście! Bardzo słusznie! Bardzo słusznie! Przepraszam, że wogóle pytałem o to. Co zaś dotyczy mojej sprawy, gotów jestem dać panu wszelkie wyjaśnienia, jakichbyś mógł pan potrzebować.

— Dziękuję. Otóż znam już to wszystko, co pisały dzienniki o tej sprawie, ale nic więcej. Przypuszczam, że relacje pism są w ogólnym zarysie zgodne z prawdą... Ot naprzykład ten artykuł, donoszący o zniknięciu oblubienicy.

Lord St. Simon rzucił okiem na artykuł.

— Naturalnie, wszystko to jest zupełnie prawdziwe.

— Potrzebuję jednak poznać jeszcze pewne szczegóły tej sprawy, zanim będę mógł wyrobić sobie o niej jakieś zdanie. Tego materiału ze chcesz mi pan zapewne dostarczyć, a sądzę, że najlepiej będzie, jeżeli będę panu stawiał pytania w tym względzie.

— Czyń pan, co uważasz za stosowne.

— Kiedy poznałeś pan po raz pierwszy pannę Doran?

— W San Francisko przed rokiem.

— Zapewne odbywałeś pan wówczas podróż po Stanach Zjednoczonych?

— Tak jest.

— Czy już wówczas zaręczyłeś się pan z nią?

— Nie.

— Ale pozostawałeś pan z nią na przyjaciel-
skiej stopie?

— Towarzystwo jej sprawiało mi przyjemność musiała to zauważyć.

— Czy ojciec jej jest bardzo bogaty?

— Uchodzi za najbogatszego człowieka na całym wybrzeżu zachodnim.

— A w jaki sposób doszedł do tego majątku?

— Był szczęśliwym poszukiwaczem złota. Przed niewiele laty nie posiadał jeszcze żadnego majątku. Potem natrafił na wielkie żyły złota, umiał je nadzwyczajnie spieniężyć i w krótkim czasie zyskał ogromne sumy.

— No tak. A jakież zdanie wyrobiliś pan sobie o charakterze tej młodej damy... pańskiej małżonki?

Lord St. Simon objawił pewne niezdecydowanie, wpatrywał się niespokojnie w ogień kominka.

— Otóż uważa pan, mr. Holmes — zaczął po chwili — to jest dosyć dziwne. Moja żona miała już lat dwadzieścia, zanim ojciec jej stał się bogatym człowiekiem. Aż do tego czasu biegła swobodnie po osadzie poszukiwaczy złota, po górach i lasach, tak, że wychowaniem jej zajmowała się raczej matka przyroda niż grono doborowych nauczycieli. Jest ona jak to mówią dzikiem stworzeniem, istotą silną, porywczą, kochającą swobodę, nie krępowaną żadnymi cnotami przekazanymi przez przodków. Bardzo szybko orientuje się i wydaje sąd, nigdy nie cofa się przed niczem, gdy chodzi o przeprowa-

dzenie powziętego planu. Gdybym był patrzył na nią tylko z tego stanowiska, nigdy nie byłbym jej dał nazwiska, które obecnie ma zaszczyt nosić — słowa te podkreślił lord dyskretnem chrząknięciem — ale uważam ją za istotę niezmiernie szlachetną. Jestem stanowczo przekonany, że moja żona jest zdolna do heroiczych poświęceń i że na całym jej życiu nikt nie może znaleźć cienia niesławy lub fałszu.

— Czy posiadasz pan jej fotografię?

— Mam ją nawet przy sobie.

Lord otworzył małe etui i wyjął portret kobiety o niezmiernie ujmującej powierzchowności. Nie była to fotografia lecz miniatura wykonana na kości słoniowej. Malarz świetnymi barwami przedstawił czarne włosy, wielkie ciemne oczy i usta różowe, jakby wyrzeźbione w marmurze.

Holmes przyglądał się portretowi długo i uważnie, potem zamknął etui i wręczył lordowi.

— Młoda dama przybyła tu później do Londynu, a wówczas odnowiłeś pan znajomość? — pytał dalej.

— Tak jest. Ojciec przywiózł ją do Anglii. Kilkakrotnie spotkałem się z niemi, wężły przyjaźni zaciskały się, wreszcie zaręczyłem się i poślubiłem młodą dziewczynę.

— Otrzymała ona, o ile słyszałem, bardzo znaczny posag?

— Tak jest, zupełnie przyzwoity. Chociaż nie większy, jak zwykle bywa w mojej rodzinie.

— A ten posąg pozostanie oczywiście pańską własnością, skoro obrzęd kościelny został dopełniony?

— Co do tej sprawy nie informowałem się jeszcze dotąd, chciej mi pan wierzyć.

— Oczywiście. Przypuszczałem to. Czy dzień przed ślubem spędziłeś pan w towarzystwie narzeczonej?

— Ależ naturalnie.

— Czy młoda dama była w wesołym usposobieniu?

— Nigdy nie widziałem jej tak wesołą. Nieustannie tworzyła najrozmaitsze plany na przyszłość.

— To bardzo ciekawe. No a jakże się zachowywała w sam dzień ślubu.

— Była również bardzo wesoła. Przynajmniej aż do chwili uroczystości kościelnej.

— Czy wówczas zauważyłeś pan jakąś zmianę w jej usposobieniu?

— Jeżeli mam powiedzieć zupełną prawdę, to wtedy po raz pierwszy przekonałem się, że umie być trochę gwałtowna. Zresztą samo zajście było tak mało znaczące, że szkoda tracić słów, aby o niem mówić. A przytem nie odnosi się ono do samego wypadku.

— O proszę bardzo, niech pan będzie łaskaw mimo to opowiedzieć je. Nie spieszy mi się wcale.

— Właściwie było to dzieciństwo. Kiedy wracaliśmy od ołtarza, upadł jej bukiet ślubny. Przechodziła właśnie około pierwszego rzędu krzeseł,

tak więc bukiet upadł do środka rzeźbionych stali. Spowodowało to zatrzymanie się pochodu na chwilę, ale siedzący tam jakiś pan podał jej natychmiast bukiet. Kwiaty nie ucierpiały nic. Mimo to żona moja odpowiadała tylko urywanymi słowami, gdy wspomniałem o tym przypadku, a podczas powrotu do domu okazywała dziwny jakiś niepokój z powodu tego nieznanego zajścia.

— A zatem w stalach siedział jakiś pan? Czy z publiczności był ktoś więcej obecny przy uroczystości zaślubin?

— O tak. Nie można było tego unikać, kościół otwarty dla wszystkich.

— A czy ów pan nie należał przypadkiem do znajomych pańskiej małżonki?

— Ależ bynajmniej. Nazywam go panem tylko z grzeczności; był to jakiś niepozorny jegomość, tak, że ledwie go zauważyłem. Zdaje mi się jednak, że gubimy się w nic nieznaczących drobiazgach, zamiast zajmować się właściwą sprawą.

— Więc małżonka pańska wracając z kościoła była mniej wesoło usposobiona niż pierwszej. A cóż uczyniła, przybywszy do domu rodzicielskiego?

— Widziałem, jak rozmawiała z Alicją, swoją amerykańską pokojówką, którą przywiozła z Kalifornii.

— Jest to zapewne bardzo zaufana służąca?

— O tak, nawet za bardzo. Pozwala sobie

za wiele w stosunkach ze swoją panią. Ale w Ameryce patrzą ludzie inaczej na te sprawy niż u nas.

— Jak długo trwała ta rozmowa?

— Zaledwie kilka minut. Byłem wówczas czem innem zajęty i nie zwracałem na to uwagi.

— Czy nie slyszaleś pan, o czem rozmawiały z sobą?

— Moja żona mówiła coś o «wchodzeniu na cudzy grunt». Nie pojmuję, co miały znaczyć te słowa.

— A co uczyniła pańska żona ukończywszy tę rozmowę z pokojówką.

— Udała się do jadalni.

— Czy pod rękę z panem?

— Nie, sama. W takich drobiazgach nie liczyła się nigdy z przyjętymi formami towarzyskiemi. Siedzieliśmy przy stole mniej więcej dziesięć minut, gdy nagle zerwała się, usprawiedliwiła się kilkoma słowami, a potem wyszła z pokoju. Od tej chwili nie widziałem jej już więcej.

— Według zeznania pokojówki udała się następnie do swego apartamentu, wdziała długi płaszcz na suknię ślubną, włożyła kapelusz na głowę i opuściła dom. Nieprawda?

— Tak jest, mr. Holmes. Potem widziano ją jeszcze w Hyde-parku, rozmawiającą z Florą Millar, z tą samą osobą, która owego przedpołudnia była przyczyną niemilego zajścia przed

domem pana Dorana, a którą niedawno aresztowano, jako podejrzaną o współudział w tajemniczym zniknięciu mojej żony.

— Bardzo pięknie. A teraz ośmielę się jeszcze prosić pana o kilka dokładniejszych szczegółów o tej osobie i o stosunku, jaki pana z nią łączył.

Lord St. Simon zmarszczył brwi, ale widocznie rozmyślił się zaraz, bo odpowiedział na zadane mu pytanie.

— Przez kilka lat żyliśmy oboje w przyjacielskich stosunkach, mogę nawet powiedzieć bardzo przyjacielskich. Przeważnie występowała w Teatrze Allegro. Nigdy nie obszedłem się z nią nieszlachetnie, nie miała też żadnej przyczyny skarżyć się na mnie. Ale pan znasz kobiety, mr. Holmes. Flora to bardzo miłe stworzenie, lecz ma gorącą krew i była do mnie ogromnie przywiązana. Kiedy dowiedziała się, że zamierzam się ożenić, pisała do mnie rozpaczliwe listy. I jeżeli mam prawdę powiedzieć, właśnie dlatego urządziłem cichy ślub, bo obawiałem się, że mogłaby wywołać skandal w kościele. Kiedy wracaliśmy z kościoła, pojawiła się przed domem pana Dorana i usiłowała wedrzeć się do wnętrza, miotając obelgi i pogroźki przeciwko mojej małżonce. Przewidywałem podobną scenę i dlatego sprowadziłem zawczasu dwóch agentów policyjnych, którzy przebrani po cywilnemu, czuwali przed domem i którzy usunęli awanturnicę. Wreszcie, gdy się przekonała, że drogą

skandalu nie doprowadzi do niczego, uspokoiła się.

— Czy żona pańska była obecna przy tej scenie.

— Nie; na szczęście weszła pierwiej do domu.

— A jednak później widziano ją podobno rozmawiającą z tą osobą?

— Otóż właśnie. I to jest punkt, do którego pan Lestrade przykłada ogromną wagę. Przypuszczają, że Flora zwabiła moją żonę w jakąś straszną zasadzkę.

— Hm, to byłoby istotnie możliwe.

— Więc i pan tak sądzisz?

— Nie uważam tego za bardzo prawdopodobne, ale trzeba się liczyć z każdą możliwością. A pańskie zdanie?

— Ja sądzę, że Flora nie potrafiłaby zrobić krzywdy nawet musze.

— A jednak zazdrość sprawia nieraz niezwykle zmiany w charakterze człowieka, a zwłaszcza kobiety.

— Gdyby panu udało się znaleźć rozwiązanie tej zagadki... — ciągnął nasz gość dalej, powstając z miejsca...

— Już je znalazłem — przerwał Holmes.

— Jakto? Co słyszę?

— Już je znalazłem.

— A zatem gdzie się znajduje moja żona?

— I na to zapytanie postaram się odpowiedzieć niebawem.

Lord St. Simon potrzęsnał głową.

— Zdaje mi się, że do tego trzeba więcej mądrości, niż jej obaj posiadamy, pan i ja.

Potem, złożywszy ukłon, wyszedł z pokoju.

* * *

— Jest to istotnie niezwykła łaska ze strony Jego lordowskiej mości, że wyświadcza tak wielki zaszczyt mej głowie, stawiając ją na równi ze swoją — zawołał wesoło Sherlock Holmes. — Ale po tem długim, krzyżowem badaniu zasłużyłem na chwilę odpoczynku i na cygaro. Zresztą doszedłem już do zupełnie jasnych rezultatów, zanim jeszcze pojawił się nasz gość.

— Ależ, drogi Holmesie? Jakim sposobem?

— Wśród moich zapisków znajduje się kilka podobnych wypadków. Ale żadnego jeszcze nie udało mi się tak gładko rozwiązać. Przesłuchiwanie zamieniło tylko w pewność moje poprzednie przypuszczenia. Dowody są najzupełniej przekonujące, zwłaszcza, że i wszystko inne godzi się z nimi najzupełniej.

— Nie pojmuję. Przecież słyszałem także każde słowo, a jednak...

— Oczywiście. Brakowało ci jednak znajomości tych dawniejszych wypadków, na których ja mogłem się oprzeć. Przed kilku laty powierzono mi sprawę... Ale któż to nadchodzi? Lestrade! Dobry wieczór, Lestrade! Siadaj pan. Oto szklaneczka pokrzepiającego trunku, a tam pudełko z cygarami.

Młody urzędnik policyjny miał na sobie jasną bluzę i kepi, tak, że wyglądał zupełnie na majtkę. W rękę trzymał czarną torbę podróżną. Przywitawszy się z nami, usiadł i zapalił podane mu cygaro.

— Cóż słyhać, drogi Lestrade? — zapytał Holmes, mrugając oczyma. — Wyglądasz pan, jak człowiek bardzo zniechęcony.

— Mogłem się też zniechęcić. Ta przekłeta historia z małżeństwem lorda St. Simona. Ani rusz zbadać, z której strony zabrać się do tej sprawy.

— Doprawdy? To zadziwiające.

— Czy kto słyszał kiedy o takiej waryackiej historii. Chwilami zdaje mi się, że pochwyciłem już nić sprawy, a tu znowu wszystko wysuwa mi się z rąk. Cały dzień pracowałem jak koń, a bez żadnego rezultatu.

— I jak się zdaje, zmokłeś pan przy tem porządnie — dodał Sherlock Holmes, ujmując go za rękaw.

— Oczywiście. Kazałem przecież przeszukać cały kanał.

— A to znowu po co?

— Aby odszukać zwłoki żony lorda St. Simona. Sherlock Holmes rozparł się w fotelu i śmiał się z całego gardła.

— A czy kazałeś pan także zbadać basen wodotrysku przy ulicy Trafalgar — zapytał, wybuchając ponownie śmiechem.

— Jakto? Dlaczego?

— Przecież masz pan równe szanse znalezienia tam trupa, jak w kanale.

Lestrade spojrzal na mojego przyjaciela ze źle tajonym gniewem.

— Zdaje się, że pan, Mr. Holmes, rozwiązałeś już ostatecznie tę sprawę i wszystko jest ci zupełnie jasne! — zawołał podrażnionym głosem.

— No tak. Wprawdzie dopiero przed chwilą dowiedziałem się o przebiegu tego wypadku, ale zdołałem sobie już wyrobić o nim stanowcze zdanie.

— Tak?! A zatem sądzisz pan, że ta sprawa nie pozostaje w żadnym związku z kanałem?

— Uważam to za niezmiernie nieprawdopodobne.

— A więc może będziesz pan tak łaskaw wyjaśnić mi, jakim sposobem te rzeczy dostały się do kanału?

Mówiąc to, otworzył swą torbę podróżną i wyrzucił z niej suknię ślubną z wyblakłego jedwabiu, parę atlasowych pantofelków, wianek mirtowy i ślubny welon. Wszystkie przedmioty były zupełnie przemoknięte i zniszczone.

— Oto twardy orzech — rzekł, wyjmując jeszcze z kieszeni błyszczącą obrączkę ślubną — niechże go pan rozgryzie, mr. Holmes. Dla pana niema nic trudnego.

— A zatem te przedmioty zostały wydobyte z kanału? — zapytał mój przyjaciel, puszczając w powietrze błękitne koła dymu.

— Nie, dozorca parku ujrział je pływające w pobliżu brzegu, rozpoznano je jako własność lady St. Simon. Sądziłem więc, że skoro te suknie się tam znajdują, to i zwłoki muszą być niedaleko.

— Więc zgodnie z tą zadziwiającą logiką trup zmarłego powinienby się zawsze znajdować tuż obok szafy z ubraniami. I powiedz mi pan, co zamierzasz przez to osiągnąć.

— Co? Dowód, że Flora Millar brała udział w zniknięciu młodej oblubienicy.

— Przykro mi bardzo, ale wątpię bardzo, czy się to uda.

— Czy być może? — zawołał Lestrade, nie panując już nad sobą. — A mnie znów bardzo przykro, mr Holmes, powiedzieć panu, że rozumowania i metody pańskie prowadzą do niezbyt szczególnych wyników. W przeciągu ostatnich dwóch minut strzeliłeś pan dwa kardynalne byki. Właśnie ta suknia jest najlepszym dowodem winy Flory Millar.

— I w jakiż to sposób?

— W sukni jest kieszeń, a w tej kieszeni skórzana torebka na bilety wizytowe. W torebce tej znalazłem kartkę papieru, oto ona!

Położył na stole zapisany świstek.

— Posłuchaj pan tylko:

*Dam znać, gdy wszystko będzie gotowe. Przy-
bądź natychmiast.*

F. H. M.

— Byłem odrazu przekonany, że Flora Mil-

lar wywabiła z domu żonę lorda St. Simona i że ona właśnie, niewątpliwie w związku z innymi ludźmi, przyczyniła się do jej zniknięcia. Tę kartkę, podpisaną inicjałami Flory Millar, podsunięto zapewne lady St. Simon, aby ją sprowadzić w zasadzkę.

— Wybornie, mr Lestrade — zauważył Holmes ze śmiechem. — Podziwiam pański spryt. Pozwól pan, że oglądnę z blizka ten dokument.

Z obojętnym wyrazem twarzy wziął kartkę do ręki, nagle jednak uwaga jego zaostrzyła się, z ust wyrwał mu się okrzyk radosnego zdumienia.

— Ależ to istotnie niezmiernie ważne! — zawołał.

— Aha, więc i pan doszedłeś teraz do tego samego przekonania?

— Oczywiście. Szczerze panu wieszczę.

Lestrade podniósł się z krzesła jak dumny zwycięzca i również pochylił się nad kartką.

— Ależ pan czytasz z przeciwnej strony — zawołał.

— Bynajmniej. To jest właśnie najważniejsza strona.

— Najważniejsza? Czy chcesz pan jeszcze drwić sobie ze mnie? Przecież notatka pisana ołówkiem, znajduje się po tamtej stronie.

— A z tej strony jest coś, co wygląda na kawałek hotelowego rachunku i co mnie szczególnie interesuje:

4 października. Pokój 8 szylingów. Śniadanie 2 szyl. 6 pens. Drugie śniadanie 2 szyl. 6 pens. Kieliszek Sherry 6 pens...

— To nie ma żadnego znaczenia. Widziałem to już pierwej — odparł Lestrade.

— Takby się istotnie wydawało z pozoru. A jednak mimo to trzeba przywiązywać do tego ogromną wagę. A co dotyczy notatki z drugiej strony, a raczej umieszczonych tam inicjałów, to i to także jest ważne. A zatem jeszcze raz panu winszuję.

— Już dosyć czasu strawiliśmy na bezcelowej gadaninie — odparł Lestrade, wstając z krzesła. — Mojem zdaniem, lepiej jest dobrze chwycić w rękę jakieś zadanie, niż przy ogniu kominka wymyślać o niem rozmaite przemądrzale hipotezy. Do zobaczenia, mr. Holmes, przekonamy się niedługo, kto z nas miał słusność w tym wypadku i kto pierwej sprawę rozwiąże.

Mówiąc to, zebrał rozrzucone suknie, schował do torby i postąpił ku drzwiom.

— Dam panu jeszcze jedną wskazówkę, mr. Lestrade — rzekł Holmes, patrząc obojętnie na odchodzącego. — Dam panu klucz do rozwiązania tej zagadki: Lady St. Simon jest postacią zupełnie fikcyjną. Niema takiej osoby i nie było nigdy.

Lestrade spojrział smutnym wzrokiem na swojego przyjaciela. Potem zwrócił się ku mnie,

dotknął znacząco palcem czola i wyszedł szybko, potrząsając uroczyście głową.

Zaledwie zamknęły się drzwi za naszym gościem, Holmes zerwał się z miejsca i wdział zarzutkę.

— Lestrade ma słuszość. To istotnie nie prowadzi do niczego, siedzieć beczynnie w domu. Dlatego też opuszczę cię teraz Watsonie na chwilę. Naprawdę, szkoda czasu.

Holmes wyszedł z domu po godzinie piątej. Lecz nie długo się nudziłem. Nie minęła nawet godzina, gdy dwóch ludzi przyniosło ze sklepu wielką płaską skrzynię, z której ku mojemu zdziwieniu wyjęli szybko wspaniałą zimną kolację i zastawili nią nasz skromny stół kawalerski. Były tam pasztety z gęsich wątróbek, kuropatwy, bażant, a oprócz tego spora bateria omszałych butelek. Zaledwie rozstawili na stole wina i przysmaki, zniknęli szybko, niby usłużne duchy z «Tysiąca i jednej nocy», pytania moje zbyli krótką odpowiedzią, że zamówiono te przedmioty do tego domu i polecono zaraz odesłać.

Okolo godziny dziewiątej powrócił Holmes do domu. Już na schodach posłyszałem jego przyspieszone kroki. Miał bardzo poważny wyraz twarzy, lecz dostrzegłem w jego oczach błysk zadowolenia, z czego wywnioskowałem, że starania jego zostały uwieńczone powodzeniem.

— A zatem stół już zastawiony — zawołał, zacierając ręce.

— Jak widzę, oczekujesz gości, przygotowano pięć nakryć.

— Tak, mam nadzieję, że spędzimy wieczór dosyć wesoło — odparł. — Dziwię się tylko, że niema jeszcze dotąd naszego lorda. Ale ktoś idzie po schodach, zapewne on.

Istotnie był to nasz dostojny gość. Teraz jednak nie baczył na wytworność i wpadł do pokoju, jak pierwszy lepszy zwykły śmiertelnik, z twarzą zakłopotaną i niespokojną.

— Więc mój posłaniec znalazł pana? — rzekł Holmes.

— Tak jest. Lecz muszę przyznać, że to, czego się dowiedziałem, zdumiewa mnie nad wyraz. Czy masz pan jakieś dowody, aby udowodnić swoje twierdzenie?

— Najbardziej przekonujące.

Lord St. Simon upadł na krzesło z zrozpaczoną miną i nerwowo tarł ręką czoło.

— Co książę powie na to — mruczał sam do siebie półgłosem — skoro się dowie, jakie upokorzenie spotkało jednego z członków naszej rodziny.

— Jest to rzeczywiście nieszczęsny zbieg okoliczności, nie widzę jednak powodu, aby uważać to za jakieśkolwiek upokorzenie.

— Pan patrzysz na te sprawy z innego punktu widzenia.

— Jestem święcie przekonany, że nikt nie ponosi tutaj żadnej winy. Młoda dama nie mogła wprost inaczej postąpić w tym wypadku. Oczywiście trzeba żałować, że przeprowadziła sprawę tak energicznie i gwałtownie, ale tłumaczy ją to, że nie ma matki, nie ma nikogo, od kogo mogłaby zasięgnąć rady w tej krytycznej chwili.

— Postąpiła ze mną niegodnie, była to publiczna obelga — wykrzyknął lord St. Simon, bębniąc z całej siły palcami po stole.

— Powinieneś pan trochę łagodniej sądzić tę biedną dziewczynę, uwzględniając jej wyjątkowo trudne położenie.

— Nie jestem obecnie usposobiony, aby komuśkolwiek coś wybaczać. Jestem oburzony do ostatnich granic. To wszystko było nikezemne.

— Zdaje mi się, że ktoś dzwonił — przerwał mu Holmes. — Tak jest, słychać kroki na schodach. Ponieważ zaś przypuszczałem, że nie dasz się pan nakłonić do łagodności, lordzie St. Simonie, więc zaprosiłem tu adwokata, który może łatwiej do tego doprowadzi.

Mówiąc to, otworzył drzwi i wprowadził do pokoju młodą damę i jakiegoś mężczyznę.

— Lordzie St. Simonie — rzekł, zwracając się do niego. — Pozwól pan przedstawić sobie pana i panią Hay-Moulton. Tę młodą damę miałeś pan już sposobność poznać.

Na widok wchodzących, lord zerwał się pośpiesznie z krzesła i z oczyma opuszczonemi ku

ziemi, z ręką założoną za surdut stał niby posąg obrażonej godności. Młoda kobieta postąpiła kilka kroków ku niemu i wyciągnęła ręce do niego, on nie spojrział na nią wcale. I słusznie tak czynił, skoro chciał pozostać niewzruszonym, bo błagalnemu wyrazowi jej twarzy trudno byłoby się oprzeć.

— Czy gniewasz się na mnie, Robercie? — zapytała. — Zareczę ci, że nie masz żadnego powodu.

— Nie usprawiedliwiał się pani — przerwał lord z goryczą.

— Wiem, że postąpiłam z tobą niewłaściwie, powinnam była powiedzieć ci o wszystkim, zanim opuściłam dom. Ale postradałam zupełnie równowagę umysłu, kiedy ujrzałam mojego drogiego Franka, nie wiedziałam, co mówię, nie wiedziałam, co robię. Dziwię się teraz tylko, że nie zemdlalam odrazu, przy ołtarzu.

— Może życzy sobie pani — przerwał Sherlock Holmes — abyśmy wraz z moim przyjacielem wyszli z pokoju na tę chwilę wyjaśnień.

— Jeżeli wolno mi wypowiedzieć swoje zdanie — zabrał głos obcy pan — to i tak już z nadto długo robiliśmy tajemnicę z tej sprawy. Niech cały świat dowie się o wszystkim, mnie nie na tem nie zależy.

Mówiący był młodym, zgrabnym człowiekiem, twarz miał opaloną słońcem, ogoloną, bystre spojrzenie, żywość ruchów.

— A zatem opowiem w krótkości nasze dzieje — rzekła młoda kobieta — Franek i ja poznaliśmy się w roku 1884 w Mc. Quires Camp u podnóża Gór Olbrzymich, gdzie ojciec posiadał kopalnię. Zareczyliśmy się i byliśmy szczęśliwi. Tymczasem pewnego dnia ojciec natrafił na bogatą żyłę złota, z każdym dniem wydobywał coraz więcej kosztownego kruszcu, z każdym dniem stawał się bogatszym, podczas gdy mój biedny Franek, mimo ciągłej pracy w polu, nie mógł się niczego dorobić. I im bogatszym stawał się ojciec, tym uboższym był Franek. Wreszcie ojciec nie chciał nawet słyszeć o naszym małżeństwie i odwiózł mnie do San Francisco. Ale Franek nie porzucił mnie, pojechał za mną, spotkaliśmy się bez wiedzy ojca. Gdybyśmy byli wszystko ojcu wyznali, byłby wpadł w wściekłość; dlatego też załatwiliśmy sami całą sprawę. Franek oświadczył, że pójdzie w świat, aby zdobyć majątek, przyrzekł, że powróci, ale nie pierwej, póki nie zbierze takiego bogactwa, jakie posiadał mój ojciec. Wówczas dopiero chciał jawnie zażądać mojej ręki. Ja nawzajem przyrzekłam czekać na niego choćby do końca życia, złożyłam przysięgę, że nie wyjdę za nikogo innego, póki on będzie przy życiu. — «Ale czemu nie mamy odrazu zawrzeć związków małżeńskich? — zaproponował Franek. — Będę pewny, że dochowasz mi wiary; z moich praw małżeńskich skorzystam dopiero

wtedy, gdy powrócę». Po krótkim namyśle zgodziliśmy się oboje na ten plan, Franek przygotował wszystko, sprowadził księdza, który połączył nas na zawsze. Franek ruszył w świat, ja wróciłam do ojca.

— Niebawem dowiedziałam się, że mój ukochany szuka szczęścia w Montanie; potem udał się do Arizony, sądząc, że tam los będzie dla niego łaskawszy; wreszcie otrzymałam od niego wiadomości z Nowego Meksyku. Pewnego dnia znalazłam w jednym z dzienników długi opis napadu Apaszów na osadę poszukiwaczy złota. Pośród tych, którzy zginęli z rąk okrutnych Indyan, wymieniony był także mój Franek. Upadłam na ziemię, jak nieżywa, przez kilka miesięcy leżałam ciężko chora. Ojciec opiekował się mną niezmiernie troskliwie, woził mnie od jednego lekarza do drugiego. Minał jeden rok, zaczął się następny, nie miałam żadnej wiadomości o Franku, tak, że wreszcie musiałam uwierzyć, że został zamordowany. Potem poznałam lorda St. Simona w San Francisco, później pojechalśmy do Londynu, małżeństwo moje zostało postanowione i doszło do skutku. Ojciec był z niego bardzo zadowolony, ja czułam, że żaden człowiek na całym świecie nie zajmie w moim sercu tego miejsca, które zajmował Franek.

— Mimo to chciałam być wierną małżonką lorda St. Simona, nie dać mu niczem odczuć trawiącej mnie boleści. Uczuć naszych nie możemy

opanować, zato jesteśmy panami naszych czynów. Kiedy szłam z nim do ołtarza, postanowiłam bardzo szczerze, że uczynię go zupełnie szczęśliwym. Ale wyobrazisz pan sobie, co się ze mną działo, gdy wchodząc już na stopnie ołtarza, przypadkiem spojrzalam na bok i ujrzałam oczy Franka utkwione we mnie. Sądziłam zrazu, że to jego duch stanął przedemną, ale gdy odwróciłam się znowu, ujrzałam, że siedzi dalej w pierwszym rzędzie ławek i spogląda na mnie z dziwnym wyrazem, jak gdyby chciał się zapytać, czy obecność jego jest dla mnie pożądaną czy też nie. I powtarzam: dziwię się tylko, że nie straciłam przytomności. Wszystko kręciło się do koła mnie w szalonym tańcu, słowa księdza brzmiały mi w uchu, jak gdyby jakiś daleki szmer pszczoł. Cóż miałam uczynić? Czy miałam zerwać ceremonię ślubną i doprowadzić do skandalu w kościele? Jeszcze raz spojrzalam na Franka, wydało mi się, że odgaduje moje myśli, bo położył palec na ustach, jak gdyby dając mi znak, abym milczała. Potem zauważyłam, że pisze coś na kawałku papieru, prawdopodobnie jakiś list do mnie. Gdy przechodziłam około ławki gdzie siedział, upuściłam umyślnie bukiet, oddając mi go, wsunął mi równocześnie do ręki zwitek papieru. Kartka zawierała tylko kilka słów z wezwaniem, abym przyszła do niego, skoro tylko da mi do tego odpowiedni znak. Oczywiście nie wahałam się

ani przez chwilę. On był na prawdę moim mężem, byłam obowiązana do posłuszeństwa wobec niego, to też postanowiłam bez namysłu spełnić jego żądanie.

— Skoro wróciliśmy do domu rozmówiłam się z moją pokojówką. Ona знаła Franka jeszcze z Kalifornii i zawsze okazywała mu życzliwość. Kazałam jej milczeć; zapakowała mi trochę rzeczy, przygotowała mi płaszcz i kapelusz. Rozumiem dobrze, że powinnam była zawiadomić lorda St. Simona o tem, co zamierzam uczynić, ale czyż mogłam odważyć się na to. W obec jego matki i wszystkich tych wytwornych gości było to zadanie nad moje siły. To też postanowiłam na razie zniknąć zupełnie bez śladu, a dopiero potem wyjawić mu to, co zaszło. Siedziałam przy stole zaledwie z jakieś dziesięć minut, gdy ujrzałam Franka przechodzącego przez ulicę. Dał mi znak ręką, a potem, gdy ujrzał, że zrozumiałam jego wezwanie, skierował się w stronę parku. Odbiegłam od stołu nawpół przytomna, ubrałam się szybko i poszłam za nim. Na drodze podeszła do mnie jakaś kobieta, chcąc mi dać pewne wyjaśnienia o lordzie St. Simonie. Z niewielu słów które zrozumiałam, wnioskuje, że i on miał przed ślubem jakąś tajemniczą sprawę. Ostatecznie udało mi się pozbyć się tej natrętnej osoby, po chwili dopędziłam mojego Franka. Pojechaliśmy zaraz na Gordon-square, gdzie Franek zamieszkał w hotelu, po długich

latach rozłączenia Bóg obdarzył nas szczęściem.

Młoda kobieta przerwała na chwilę opowiadanie i z tkliwością spojrzała na męża.

— Należy jeszcze uzupełnić kilka szczegółów — ciągnęła dalej — Franek został schwytany przez Apaszów, udało mu się jednak uciec z niewoli, a wtedy pojechał do San Francisco. Tam dowiedział się, że uważam go za zmarłego i że przenieśliśmy się z ojcem do Londynu. Pospieszył za mną przez morze i przybył właśnie w tym dniu do Londynu, kiedy wstępowałam w ponowne związki małżeńskie.

— Przeczytałem o ślubie w dzienniku — odezwał się amerykańkanin — było tam podane nazwisko narzeczonej i kościół, gdzie się obrzęd odbędzie, brakło jednak adresu mieszkania młodej damy.

— Po mojej ucieczce zastanawialiśmy się długo, co należy uczynić. Franek radził, aby postępować zupełnie jawnie, ja jednak wstydziłam się tego i miałam tylko jedno życzenie, to mianowicie, aby zniknąć i nie spotkać nigdy żadnego z gości weselnych. Godziłam się jedynie na to, aby za kilka dni napisać do ojca i zawiadomić go, że żyję. Myślałam z rozpaczą i niechęcią o tych wszystkich wytwornych lordach i damach, którzy siedzą przy stole weselnym, oczekując mojego powrotu. Franek więc zabrał mój ślubny strój, spakował go, i wrzucił go gdzieś do kanału, tak, aby nikt nie mógł odnaleźć na-

szego tropu. Jutro bylibyśmy już prawdopodobnie wyjechali do Paryża, gdyby nie to, że dzisiaj wieczorem zjawił się w naszym mieszkaniu poczciwy pan Holmes. W jaki sposób zdołał nas odszukać, tego absolutnie pojąć nie mogę. Wytłómaczył nam jednak bardzo jasno, że Franek ma słuszość a ja nie i że postępując tak tajemniczo, możemy się narazić na rozmaite podejrzenia i sądy fałszywe. Potem zaproponował nam, abyśmy spotkali się w jego mieszkaniu z lordem St. Simonem i omówili z nim całą sprawę. Mówił tak przekonywująco, że zgodziliśmy się na jego żądanie. Oto powiedziałam ci wszystko, Robercie; przykro mi bardzo, że wyrządziłam ci mimowoli krzywdę, ale mam nadzieję, że przebaczysz mi wszystko.

Lord St. Simon zachowywał przez cały ten czas sztywną pozycję, słuchał długiego opowiadania ze zmarszczonem czołem i z zaciśniętymi ustami.

— Wybacz pani — odparł, usłyszawszy ostatnie słowa młodej kobiety — nie jestem przyzwyczajony roztrząsać moje osobiste sprawy i stosunki wobec obcych mi ludzi.

— A zatem nie przebaczysz mi? Nie podasz mi nawet ręki, zanim odejdę?

— Jeżeli pani tylko o to chodzi... Wyciągnął rękę i podał ją zimno młodej kobiecie.

— Miałem nadzieję — przerwał Holmes —

że raczysz pan spożyć wieczerzę w naszym przyjacielskiem gronie.

— Zdaje mi się, że jednak żądasz pan nieco za wiele odemnie — odparł dumnie lord St. Simon. — Zapewne, potrzebuję się uspokoić po tem wszystkim, czego się dowiedziałem. Ale nie przypuszczasz pan chyba, abym teraz jeszcze robił *une bonne mine au mauvais jeu*. Pozwólcie państwo, że ich pożegnam.

Lord złożył wytworny ukłon wszystkim obecnym i wyszedł z pokoju.

— Ale państwo nie pójdą chyba za tym przykładem — rzekł Holmes, zwracając się do pana Moultona — i nie odmówią nam tego zaszczytu, abyśmy wypili zdrowie młodej pary.

Oczywiście goście nasi zgodzili się na to z miłą chęcią, a niebawem wino polało się do kieliszków.

* * *

— Był to jednak wcale interesujący wypadek — zauważył Holmes, gdy państwo Moulton już odeszli. — Na tym przykładzie możesz się dowodnie przekonać, jak po prostu rozwiązują się nieraz sprawy, które na pierwszy rzut oka wydają się człowiekowi niezmiernie zagadkowe. Jakże zrozumiałym wydawał się nam każdy szczegół, jak jeden wynikał z drugiego w opowiadaniu młodej kobiety. A cała sprawa przedstawiała się tak tajemniczo, zwłaszcza gdy się

na nią patrzyło naprzykład oczyma pana Le-strade, oczyma funkcjonariusza policyi, prze-ważnie bezmyślnego.

— A więc od samego początku wpadłeś na trop prawdziwy?

— Od razu dwa momenty miałem jasno przed oczyma, najpierw to, że narzeczona szła do ślubu zupełnie wesół, powtóre zaś, że już w kilka minut po powrocie z kościoła zmieniło się jej usposobienie. A zatem było zupełnie widocznem, że w ciągu tego przedpołudnia zaszło coś, co wywołało ten skutek. Cóż to być mogło? Nie rozmawiała z nikim z poza domu, bo narze-czony nie opuszczał jej ani na chwilę. Jeżeli zaś zobaczyła kogoś, to musiał to być ktoś z Ameryki, bo podczas krótkiego swego pobytu w Anglii nie mogła zrobić wielu znajomo-ści, a zwłaszcza takiej, któraby przy samem spojrzeniu mogła wpływać na nastrój jej umysłu. Widzisz zatem, że przez wykluczenie innych możliwości, mniej prawdopodobnych, możemy śmiało dość do przekonania, że ujrzała kogoś znajomego z Ameryki. A któż to mógł być ten Amerykanin, który tak wielki wpływ na nią wywierał? Albo dawny kochanek, albo także i mąż. Wiedziałem o tem, że lata młodości spędziła w dzikich okolicach wśród niezwykłych warunków zewnętrznych. Do tych wyników doszedłem, zanim usłyszałem przedstawienie wy-padku z ust lorda St. Simona. Kiedy wspomniał

o widzu w pierwszym rzędzie ławek i o zmianie, jaka nagle nastąpiła w usposobieniu oblu-bienicy, o upuszczeniu bukietu i podniesieniu go przez nieznanego mężczyznę, który przy tej sposobności niewątpliwie podsunął jej jakąś kartkę, wiązałem szybko szczegóły w wyraźny obraz wypadków. Potem ta rozmowa z zaufaną służącą, dziwnie brzmiąca aluzya o «wchodzeniu na cudzy grunt», która w narzeczu poszukiwaczy złota znaczy tyle, co obejmować na własność przedmiot, do którego ktoś inny ma dawniejsze, sprawiedliwsze pretensye. Sprawa stała się dla mnie zupełnie jasna. Nie wątpiłem już, że młoda kobieta zniknęła z tym nieznanym, który był albo jej kochankiem albo mężem, za czem zresztą przemawiało większe prawdopodobieństwo.

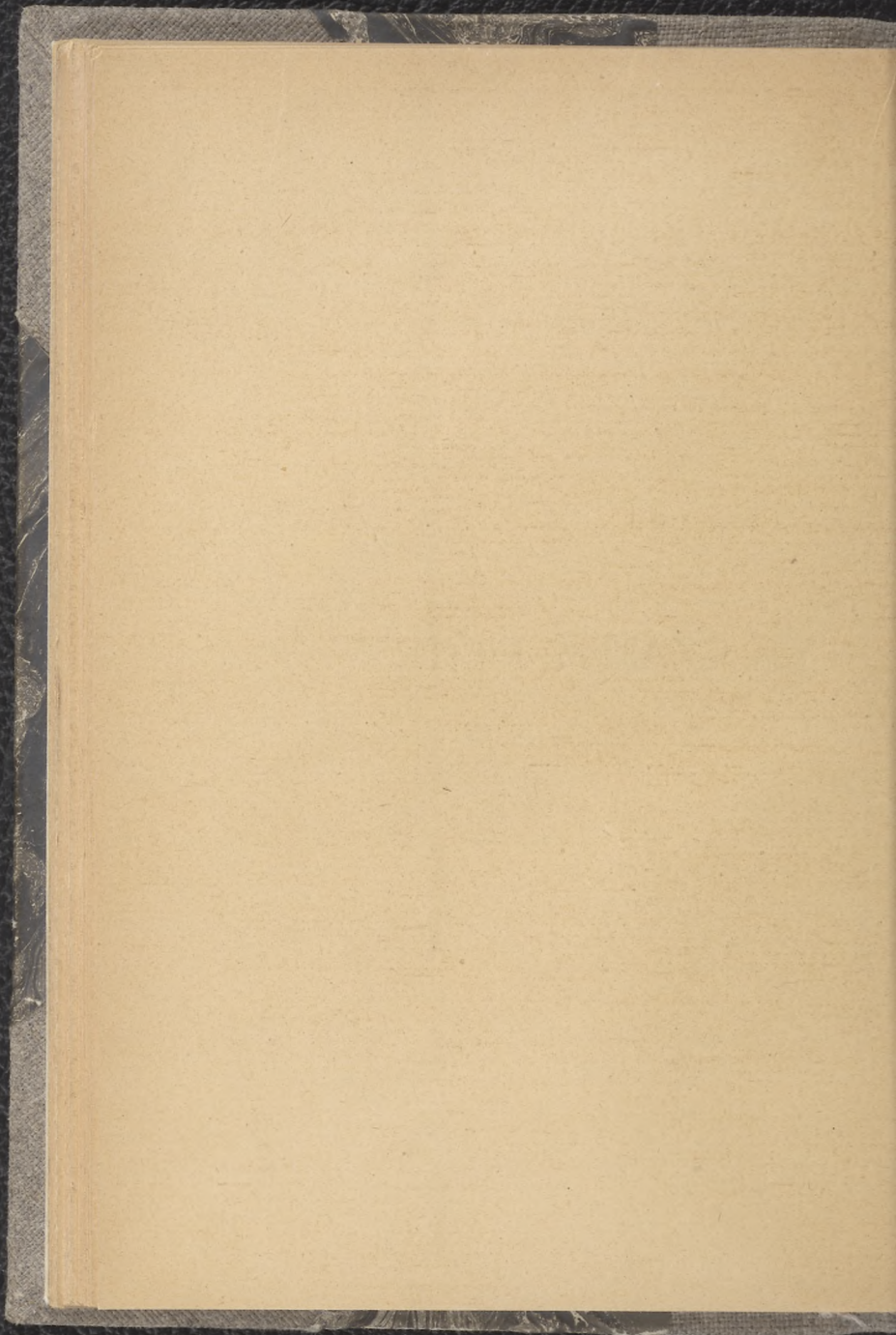
— Ale jakimże cudownym sposobem zdołałeś ich odnaleźć?

— To mogłoby istotnie być nietłwem zadaniem, zwłaszcza, że, jak słyszałeś, mieli zamiar wyjechać do Paryża. Nasz przyjaciel Lestrade przyszedł mi z pomocą. Miał on w rękach punkty wytyczne, których ważności nie przeczuwał nawet; więc przedewszystkiem inicyały na kartce, które miały oczywiście bardzo doniosłe znaczenie. Lecz ważniejszym jeszcze był ślad, że poszukiwany mieszkał w ciągu ostatniego tygodnia w jednym z pierwszorzędných hoteli londyńskich.

— Skądże doszedłeś do wniosku, że był to jeden z pierwszorzędnych hoteli?

— Dowiedziałem się tego, przeczytawszy niezwykle wysokie ceny. Ośm szylingów za łóżko i ośm pensów za kieliszek Sherry, to wskazywało na jeden z najdroższych domów zajezdnych. Niewiele jest w Londynie takich, które w ten sposób zdzierają gości. Więc poszukiwanie było dość łatwe. Już w drugim z kolei hotelu, dokąd poszedłem, mianowicie na Avenue Northumberland wyczytałem w spisie gości nazwisko pana Franciszka H. Moultona z Ameryki. Aby się ostatecznie upewnić, przejrzałem jeszcze księgę rachunkową. Pozycye odnoszące się do niego były zgodne zupełnie z pozycjami, wypisanemi na kartce Lestrade'a. Pan Moulton wyprowadził się wprawdzie z hotelu, lecz zostawił za sobą ślady, bo kazał sobie odsyłać listy, jakieby nadeszły pod jego adresem, na Gordon-square Nr 226. Udałem się tam natychmiast i zastałem w domu szczęśliwych małżonków. Ośmieliłem się udzielić im kilku rad ojcowskich, wyjaśniłem im, że pod każdym względem lepiej zrobią, jeżeli nie będą ukrywać prawdy przed światem, a zwłaszcza przed lordem St. Simonem. Zaproponowałem im, aby tu u mnie spotkali się z lordem. Epilog rozegrał się przed twojemi oczyma.

CZARNY PIOTR.



Nie widziałem nigdy Sherlocka Holmesa w takiej pełni sił umysłowych i fizycznych, w takim rozkwicie, jak gdy przypatrywałem mu się w r. 1895. Sława jego wzrastała z dnia na dzień, a za nią szła olbrzymia, ciągle rosnąca praktyka.

Naraziłbym się na słuszny zarzut niedyskrecyi, gdybym wymienił, lub choćby tylko pozwolił się domyślać nazwisk klientów, którzy przestępowali skromne progi naszego mieszkania przy Baker Street. Mimo tego powodzenia, Holmes żył, jak każdy wielki artysta, wyłącznie dla swej sztuki. W dwóch tylko wypadkach, o ile wiem, można było mówić o wynagrodzeniu. Jednym z nich było znane poszukiwanie za synem księcia Holderness. Cena nie stała zresztą nigdy w stosunku do nieopłacanych usług, które Holmes oddawał swoją wiedzą i sprytem.

Zresztą, nawet w przyjmowaniu propozycji kierowała Holmesem artystyczna wybredność.—

Nieraz odmawiał pomocy ludziom możnym i bogatym, jeżeli kwestya, o którą szło, nie wydawała mu się interesującą, a przypadek sam w sobie mógł być rozwiązany przez zwykłego ajenta policyi. Nieraz znowu tygodnie całe poświęcał bezinteresownie sprawom ludzi biednych, jeżeli trafił na godne siebie i prawdziwie ciekawe zadanie, i jeżeli dramatyczne okoliczności sprawy apelowały do jego czynnej wyobraźni i wyzywały bystrość.

W pamiętnym tym roku 1895 różne ciekawe historye zajmowały bezustannie barwnym kalejdoskopem życie i pracę Sherlocka, począwszy od słynnego śledztwa z powodu nagłej śmierci kardynała Tosca, aż do aresztowania Wilsona, hodowcy kanarków, aresztowania, które oczyściło dzielnicę East-end w Londynie od hańbiącej plamy. Po dwóch tych słynnych wypadkach nastąpiła zaraz tragedia z Woodmanns Lee, bardzo zawikłana historia tycząca się śmierci kapitana Piotra Careya, oraz towarzyszących jego zgonowi bardzo dziwnych okoliczności. To, co opowiadałem dotychczas o Holmesie, nie byłoby wiernym obrazem jego działalności, gdybym pominął ten wysoce ciekawy i charakterystyczny epizod.

W pierwszych dniach lipca, Holmes tak mało bywał w domu, że wiedziałem zaraz, iż ma jakąś sprawę napiętą. Od czasu do czasu pojawiali się też w naszym mieszkaniu jacyś ob-

darci ludzie, zapytując za każdym razem o kapitana Bazila. To znów świadczyło, że Holmes działa w przebraniu, jak to często czynił, aby ukryć swą dobrze znaną i nieraz budzącą postrach powierzchowność. W różnych stronach Londynu miał on najmniej pięć małych pokoików, gdzie mógł się spokojnie zamieniać w innego człowieka. Nie mówił mi nic zresztą, co czyni, a ja znów nie miałem żadnej przyczyny domagać się wyjaśnień przed czasem, wiedząc, że gdy nadejdzie pora, sam mi ich udzieli.

Tym razem jednak w szczególny sposób dał mi pierwszą wskazówkę co do kierunku, w jakim obecnie działa. Pewnego dnia wyszedł wczesnie, jeszcze przed śniadaniem, a wrócił właśnie w chwili, gdy ja, ubrawszy się, zasiadłem do stołu. — Wszedł do pokoju w kapeluszu na głowie, trzymając pod pachą, nakształt parasola, potężny kij z ościeniem na końcu.

— Na miłość boską — zawolałem — przecież nie chodziłeś chyba po mieście z tym instrumentem pod pachą?

— Byłem u rzeźnika i teraz wracam.

— U rzeźnika?

— Jeździłem tam.

— O tej porze?

— Tak jest i mam doskonały apetyt. Nie ma kwestyi, mój drogi, że ruch przed śniadaniem wybornie działa na apetyt, zwłaszcza zaś ćwiczenia fizyczne. Założę się jednak, że nie zgad-

niesz jakiego rodzaju jest gimnastyka, którą właśnie uprawiam.

— Nawet nie próbuję odgadnąć, bo wiem, że próżne wysiłki.

Holmes śmiał się po cichu, patrząc równocześnie, jak nalewam kawę do filiżanki.

— Gdybyś był mógł zajrzeć do magazynu, który przytyka do sklepu Allardyce'a, zobaczyłbyś tam ciekawe widowisko: na haku wisi od powały wielka świnia, zarżnięta *lege artis*, a przed nią człowiek, który żga ją tym instrumentem z wściekłością i zapalem. Energicznym tym osobnikiem byłem ja sam i udało mi się przekonać, że choćbym wyteżył wszystkie siły, to jeszcze nie mogę całej świni przebić na wylot od jednego zamachu. A możebyś ty spróbował?

— Dziękuję. Ale dlaczego urządziłeś takie próby?

— Bo zdawało mi się, że rzecz ta ma pewien związek z tragedią w Woodmans Lee.

Ktoś zapukał i drzwi się otworzyły.

— Witam pana, panie Hopkins. Otrzymałem depeszę pańską tej nocy i czekałem na pana. Chodźże pan i siądź z nami tutaj do stołu.

Człowiek, który wchodził właśnie, był młody, lat może trzydziestu. Na sobie miał lekkie ubranie letnie, lecz trzymał się prosto i z pewną sztywnością, która wskazywała raczej na przyzwyczajenie do chodzenia w mundurze. Poznałem zaraz, że widziałem już tę twarz. Był to

Stanley Hopkins, młody agent policyjny, o którego zdolnościach Holmes miał wielkie wyobrażenie. Stanley odplacał mu za to podziwem i szacunkiem takim, jak może mieć chyba uczeń dla znakomitego nauczyciela.

Zaraz można było spostrzedz, że Hopkins jest nie w humorze. Usiał przy stole z miną bardzo niezadowoloną.

— Może pan co przekąsi?

— Dziękuję. Zjadłem już śniadanie. Noc spędziłem w mieście, bo przybyłem wczoraj, aby zdać raport.

— A o czym pan donosił?

— O tem, że mi się nie powiodło. Zupełnie nie powiodło, tym razem.

— Więc najmniejszego postępu?

— Żadnego. Ani na jotę.

— O, do licha! Chciałbym rzucić okiem na tę kwestyę.

— Dalby Bóg, aby tak się stało. To pierwsza sprawa, w której mogę się odznaczyć, a niestety znalazłem się u kresu mej mądrości bardzo szybko. Gdyby pan był tak łaskaw podać mi rękę...

— Ależ dobrze, dobrze. Jak to doskonale się składa, że czytałem już wszystkie doniesienia o całej kwestyi, aż do protokołu obdukcji zwłok. Czytałem nawet dość uważnie. Ale, ale, cóż pan myśli począć z tym kapciuchem, które znaleziono na miejscu zbrodni? Podobno to pan sam

go znalazłeś? Czy z tego nie da się nic wynioskować?

Hopkins spojrział na Sherlocka nie bez zdziwienia i odpowiedział:

— To był jego własny kapciuch, z jego monogramem na wierzchu. Przytem zrobiony był ze skóry psa morskiego, a on sam był marynarzem i polował na psy morskie.

— Ale fajki nie miał przy sobie.

— Tak jest, nie miał, lecz podobno palił bardzo mało, a tytoń mógł nosić raczej dla przyjaciół, aniżeli dla własnego użytku.

— Bezwątpienia. Wspominam tylko o tym szczególe, bo gdybym to ja prowadził dochodzenia, użyłbym go za punkt wyjścia. Ale tak, czy tak, mój przyjaciel Dr. Watson, nie zna tej całej historii, a nie zaszkodziłoby także i mnie, gdybym posłuchał jej raz jeszcze. Przyda się takie krótkie zebranie wypadków. Niech je pan nam naszkicuje.

Hopkins wyciągnął z kieszeni skrawek papieru.

— Mam tu parę dat, które razem tworzą zarys karyery życiowej Piotra Careya, kapitana okrętowego, zabitego przez nieznaną sprawcę, czy sprawcę. Urodził się on w r. 1845, miał zatem lat 50. Był to człowiek bardzo śmiały, wyborny kierownik wszelkich połowów na wieloryby i foki. W r. 1883 komenderował statkiem »Narwał« z Dundee. Potem zaraz udało mu się

zrobić kilka świetnych połowów i już w następnym roku mógł się usunąć od interesu. Podróżował wiele, potem kupił niewielką posiadłość, zwaną Woodmans Lee, niedaleko Ferest Row, w Sussex. Tam mieszkał przez lat sześć i tam też przed tygodniem właśnie, zmarł nagłą śmiercią.

Hopkins napił się wody.

— Był to człowiek ciekawy, trochę dziwak; zwyczajnie odznaczał się purytańską wstrzeźliwością, był surowy, milczący i ponury. W domu miał żonę, dwudziestoletnią córkę i dwoje służby kobiecej. Służbę ciągle zmieniał, gdyż praca u niego nie należała do najmiłszych i mało kto mógł wytrzymać dłużej. Carey miewał bowiem okresy pijaństwa, a gdy się upił, stawał się człowiekiem nie do zniesienia. Wiadomo, że wypędzał nieraz o północy czy nad samym ranem żonę albo córkę z domu i gonił je po parku batem, tak, że krzyki ich dochodziły aż do sąsiadów. Budzili się i słuchali, co to za awantura. Raz stawał przed sądem za napad na staro księdza, który go odwiedzał i przy tej sposobności czynił mu różne słuszne uwagi. Slowem, daleko trzebaby szukać za przykrzejszym i niebezpieczniejszym człowiekiem, jak Carey. Słyszałem, że tą sławą cieszył się już, gdy dowodził okrętem. Znano go w całej marynarce jako »czarnego Piotra«. Nazwano go tak nie tylko dla czarnych włosów i oliwkowej, prawie brunatnej cery, lecz dzięki przymiotom charakteru,

czyniły zeń postrach całego otoczenia. Nie potrzebuje dodawać, że sąsiedzi go nie lubili i nie slyszałem, aby kto wyraził żal z powodu strasznej śmierci, jaka go spotkała.

— A miejscowość, gdzie dokonano zbrodni?

— W protokole obdukcji musiał pan czytać, że Carey miał swoją »kabinę«. Tak jest, kabinę. Tak nazwał sobie drewniany domek, zbudowany obok folwarku, o kilkaset kroków od właściwego domu mieszkalnego i tam sypiał co nocy. Była to mała chałupka o jednym pokoju. Dłuższa ściana miała szesnaście stóp, krótsza dziesięć długości. Klucz nosił zawsze w kieszeni, sam słał łóżko, sam porządkował i sprzątał i nie pozwalał nikomu wejść za próg. Po obu stronach domu były małe okienka, zawsze zawieszzone firankami i nigdy nie otwierane. Jedno z nich wychodziło na gościniec. Gdy w nocy zapalał światło, ludzie przechodzący pokazywali je sobie nawzajem, dziwiąc się, co czarny Piotr tam robi? Muszę dodać, że dzięki temu oknu posiadamy główną poszlakę, wprowadzie bardzo słabą, ale zawsze jakąś poszlakę.

— A mianowicie?

— Przypomina pan sobie, że wiadomo, iż dwa dni przed morderstwem przechodził drogą pewien kamieniarz z okolicy, nazwiskiem Slater. Otóż on opowiada, że idąc z Forest Row zatrzymał się, gdyż uwagę jego zwróciło światło błyszczące wpośród gałęzi. Zatrzymawszy się, zobaczył na tle okna cień głowy męskiej. Wyraż-

nie widział brodę, ale była to inna broda niż ta, którą nosił Carey. Zresztą znał Careya dobrze. Tak przynajmniej mówił. Ale nie trzeba zapominać, że Slater spędził poprzednie dwie godziny w szynku, a z gościńca do okna wcale nie tak blisko. Zresztą to, co on opowiada, miało dziać się w poniedziałek, a morderstwo spełniono we środę.

— No... to jeszcze rzecz inna...

— Koniec końcem, we wtorek Piotr Carey był w jak najgorszym usposobieniu. Pil tyle, że był cały czerwony jak upiór, a szalał, jak dzikie zwierzę. Grasował po całym domu. Późnym wieczorem dopiero wszyscy odetchnęli, gdy zabrał się do swej kabiny. Mniej więcej o drugiej po północy, córka jego, która spała przy otwartym oknie, usłyszała straszliwy krzyk, dochodzący od strony kabiny. Ale nie była to dla niej rzecz niezwykła, bo Piotr bardzo często krzyczał i wyl niehumanym głosem, gdy go oszołomiła wódka. Nie zważano też na to.

Z rana, około siódmej, jedna ze służących, która wstała wcześniej, zauważyła, że drzwi od kabiny są otwarte. Careya jednak tak się bano, że do południa nikt się nie odważył pójść do niego. Nareszcie zebrano się na odwagę. Zaglądnęto przez uchylone drzwi i ujrzano coś, co odpedziło wszystkich obecnych w dzikim popłochu do miasteczka. W godzinę byłem na miejscu i zająłem się sprawą.

Hopkins przestał na chwilę. Zbierał myśli i nareszcie zaczął:

— Wie pan chyba, że mam silne nerwy. A jednak daję panu słowo, że zimny dreszcz przebiegł mnie od stóp do głów, gdy zajrzałem do chałupy. Muchy brzęczały jak w ulu, a podłoga i ściany wyglądały jak w rzeźni. Carey nazywał tę chatę zawsze kabiną i w istocie urządzenie było zupełnie takie, jak w kabinie. Można było sądzić, że się jest na okręcie. Hamak, mapy morskie, fotografia »Narwala«, księgi okrętowe na półce, wszystko tak urządzone, jak zwykle bywa w kapitańskiej kabinie.

Na środku leżał on sam. Twarz miał wykrzywioną w męce śmiertelnej, a wielka, szpakowata broda sterczała do góry. Przez sam środek piersi był przebity ogromnym harpunem, który wyszedł przez plecy i wbił się głęboko w ścianę. Przybito go jak chrząszcza na kartonie. Naturalnie nie żył. Znam pańską metodę, panie Holmes i zastosowałem ją odrazu. Zanim pozwoliłem, aby cokolwiek ruszono, zbadałem jak najdokładniej cały grunt zewnątrz chaty i podłogę wewnątrz pokoju. Nie było żadnych śladów.

— To znaczy, że pan nie spostrzegłeś żadnych śladów. Czy nie tak?

— Zapewniam pana, że nie było żadnych śladów.

— Kochany panie! Badałem już nie jedno przestępstwo, lecz nie natrafiłem jeszcze na ta-

kie, które byloby spełnione przez jakąś latającą istotę. Dopóki zbrodniarz chodzi, jak inni ludzie, na nogach, dopóty musi zostać po nim jakieś wgłębienie, zdrapanie ziemi, jakaś maleńka zmiana, którą można odkryć przy naukowem badaniu. Niepodobna przypuścić, aby tam, w tym krwią obryzganym pokoju, nie było żadnego śladu, któryby nam dał jakiś punkt oparcia.

Holmes wpatrywał się chwilę ironicznie w inspektora, a potem zakończył pytaniem:

— Zatem, jak wiem już, było w pokoju parę sprzętów, które udało się panu ominąć przy badaniu?

Hopkins drgał, ukłuty boleśnie i zawołał:

— Ach, jakimże byłem głupcem, nie prosząc pana zaraz o pomoc! Ale teraz próżne żale. Tak jest, w pokoju było wiele przedmiotów, które zwracały odrazu uwagę. Przedewszystkiem harpun, którym dokonano zbrodni. Zerwano go ze ściany, gdzie był przytwierdzony na desce. Dwa inne, również tam umieszczone, pozostały na swoich miejscach. Na harpunie był napis: Narwał, Dundee. Z tego możnaby wnioskować, że morderstwa dokonano w przystępie gniewu, bo morderca chwycił za pierwszą lepszą broń, jaka mu się nasunęła pod rękę. Nadto wiemy, że zbrodnia była spełnioną o drugiej po północy, a Piotr Carey był zupełnie ubrany. Wynika stąd, że ów człowiek, który zamordował Careya, był przezeń zamówiony na schadzkę. Potwierdza

to przypuszczenie znaleziona na stole flaszka rumu i dwa brudne kieliszki.

— Na to zgoda. Oba wnioski są prawdopodobne. A czy nie było w pokoju jakiego innego naczynia z napojem spirytusowym?

— Tak jest. Było. Na skrzyni stał kubek podwójny, t. zw. magiczny, zawierał zaś brandy i whisky. To jednak nie na wiele się przyda i nie prawdopodobnie nie znaczy, bo zawartość była nienaruszona.

— Zawsze jednak dobrze o tem wiedzieć — rzekł Holmes. — A teraz niech nam pan co powie o przedmiotach, które, zdaniem pańskim, mają większe znaczenie dla sprawy.

— Przedewszystkiem ten kapciuch na stole.

— Gdzie?

— Na samym środku. Kapciuch ze skóry psa morskiego ze sznurem do ściągania. We środku na klapie inicjały P. C. We środku pół uncji mocnego tytoniu, jaki zwykle palą marynarze.

— Doskonale. I cóż jeszcze?

Hopkins wyciągnął z kieszeni notatkę oprawną w szare okładki. Zewnętrzna strona była bardzo zniszczona przez używanie. Na pierwszej stronie były napisane litery J. H. N. i data 1883.

Holmes położył notes przed sobą na stole i zbadał go ze zwykłą drobiazgowością. Hopkins i ja przypatrywaliśmy się tej pracy z za pleców Sherlocka.

Na drugiej stronie były drukowane litery C. P. R. a kilka następnych kartek było zapelnionych cyframi. Dalej kartka z napisem »Argentyna«, dalej »Costarica«, trzecia »San Paolo«. Po każdej szły kartki z cyframi i znakami.

Holmes skończył oglądać i zwrócił się ku nam.

— Jak pan sądzisz, co to jest? — spytał Hopkinsa, mierząc go bystrem spojrzeniem.

— Zdaje się, że to spis papierów giełdowych. Przypuszczam, że I. H. N. są inicjałami ajenta, zaś C. P. R., to był zapewne jego klient.

— Spróbójno pan podłożyć pod to słowo »Canadian Pacific Railway« rzekł Holmes.

Hopkins zaklął po cichu i trzasnął się kuliakiem po udzie.

— Ach, cóż to za osioł był ze mnie! Naturalnie, że to tak, jak pan mówi! Ależ w takim razie pozostaje nam tylko odcyfrować inicjały J. H. N. Kazalem już sobie przynieść stare rejestry giełdowe i badałem je całą noc, lecz w roku 1883 nie mogłem odkryć ajenta giełdowego, o nazwisku takim, aby inicjały z niem się zgodziły. A jednak czuję dobrze, jak ważnem byłoby to odkrycie. Przyzna pan, panie Holmes, że inicjały te oznaczają w każdym razie nazwisko tego drugiego człowieka, czyli, innymi słowy, dadzą nam nazwisko zbrodniarza. A jeszcze zwrócić trzeba uwagę, że odkrycie dokumentu, który odnosi się do takiej masy pa-

pierów wartościowych może nam dać ważne wskazówki co do pobudek mordu.

— Muszę się zgodzić z panem na obu punktach — rzekł Sherlock Holmes. — Przyznaję, że ten notatnik, który wydawał mi się nieznaną częścią punktem zaczepienia, dopóki go znalazłem tylko z opisu w protokole, obecnie przedstawia się zupełnie inaczej i zmodyfikował bardzo teorię, jaką sobie wyrobiłem o morderstwie. Niema mowy, aby sprawa mogła mieć taką podstawę, jak myślałem. Czy nie starał się pan dojść, jakie tutaj zanotowano papiery? Przynajmniej niektóre?

— Zarządziłem poszukiwania w bankach, ale zdaje mi się teraz, że to będzie spis akcyonariuszów tej kolei i że minie parę tygodni, nim będziemy mogli pójść tym śladem. Nim przyjdą wiadomości z Ameryki...

Holmes wydobył lupę i zaczął nią badać okładkę notesu.

— Tutaj coś jest. Okładka ma dziwny kolor. Co to?

— To krew. Zapomniałem panu powiedzieć, że podniosłem ten zeszyt z ziemi.

— Po której stronie była plama?

— Po tej, którą notes upadł na ziemię.

— Zatem wynikałoby stąd, że notes upadł na ziemię już po dokonaniu morderstwa.

— Zapewne. Brałem to w rachubę i przypuszczałem, że wypadł mordercy podczas szybkiej ucieczki. Leżał zaraz przy drzwiach.

— Przy zmarłym i w chalupie nie znaleziono żadnych papierów wartościowych?

— Nie.

— A u niego w domu niema nic?

— O ile wiem, nic.

— Czy ma pan jakie podstawy do przypuszczania, że mamy tu do czynienia z morderstwem dla rabunku?

— Nie. Zdaje mi się, że sprawca nie tknął niczego.

— A jednak mówił pan inaczej, zwracając uwagę na notes. W każdym razie przypadek to interesujący. A jeszcze był tam scyzoryk. Prawda?

— Nie scyzoryk, lecz nóż w pochwie. Leżał u stóp trupa. Pani Carey oświadczyła, że taki nóż miał jej mąż.

Holmes zamyślił się głęboko.

— Dobrze. Teraz muszę udać się tam i rzucić okiem na wszystko.

Hopkins nie posiadał się z radości.

— Dziękuję panu! — zawołał — Kamień mi spada z serca!

Holmes pogroził mu palcem i rzekł:

— Tydzień temu, inaczej zabierałbym się do tej sprawy! Łatwiejby mi było o wiele. Ale może i teraz na co się przydam. — Mój drogi — zwrócił się do mnie — gdybyś miał chwilę czasu, to byśmy poszli razem. Dobrze? Bardzoby się

przydało twoje towarzystwo. Możeby pan był taki łaskaw zawołać dorożkę, panie Hopkins. Za kwadrans będziemy gotowi do drogi. Pojedziemy do Forest Row.

Wysiedliśmy na małej stacyjce i pojechaliśmy koźmi parę kilometrów przez duży las, szczątki ogromnej puszczy, która długo trzymała w szachu saksońskich najezdników, przez ów niegdyś nieprzenikniony «Weald», lat sześćdziesiąt z górą mur ochronny Brytanii. Olbrzymie przestrzenie tego boru padły pod siekierą, tu bowiem były największe huty żelaza i drzewo posłużyło na opał, aby topić kruszec. Z biegiem lat zwrócono się do bogatszych min, na północ, i nic już nie wskazuje na niszczącą i tworzącą pracę ręki ludzkiej, jak tylko łysiny wyrabanej puszczy i ziemia poryta kilofem.

Tutaj to, na jednej z polanek, z trzech stron otoczony krzakami stał mały, niski dom kamienny, do którego prowadziła droga, zakręcająca się łukiem przez pola. Bliżej gościńca, również otoczony zaroślami, stał mały domek drewniany, z jednym oknem i drzwiami zwróconemi w kierunku, skąd przybywaliśmy właśnie. Domek ten był terenem morderstwa.

Nasamprzód zaprowadził nas Hopkins do kamiennego domu i przedstawił chudej, siwej kobiecie. Była to wdowa po Careyu. Wychudłe, pomarszczone oblicze, wzrok przywykły do wyrażania strachu, oczy zapadłe i obramowane

czerwono świadczyły o całych latach męki i udęczenia, jakie przeszła ta kobieta przy boku męża. Zjawiła się zaraz córka, blada dziewczyna o blond włosach, która z dziwnym wyrazem w niebieskich oczach opowiadała nam, jak się cieszy, że ojca już nie ma i jak błogosławi rękę, która go usunęła z tego świata.

Straszny to był dom i straszna rodzina. Odechnęliśmy też, gdy znaleźlimy się znowu na powietrzu, w świetle słońca, kierując się po wązkiej ścieżce ku kabinie. Ścieżkę tę wyźłobil sam Carey, chodząc przez tyle lat codziennie do swej kabiny.

Kabina, był to domek drewniany pokryty lupkiem, z jednym oknem przy drzwiach i drugim po przeciwnej stronie. Hopkins wyjął z kieszeni klucz i pochylił się, aby otworzyć, lecz nagle zatrzymał się. Na twarzy jego odmalaowało się zdziwienie.

— Ktoś tu majstrował — rzekł powoli.

Nie można było temu przeczyć. Drzewo było w paru miejscach zdrapane, a szramy te przeglądały przez nalepę tak świeże, jak gdyby je dopiero zrobiono.

Holmes zbadal zaraz okno.

— I tutaj ktoś próbował dostać się do środka. Ale nie udało mu się dopiąć celu. Lichy to musiał być włamywacz, skoro cofnął się przed takim zadaniem.

Hopkins oglądał jeszcze drzwi.

— A to rzecz ciekawa! Przysiaglibym, że wczoraj wieczorem nie było tych śladów na drzwiach, ani na oknie.

— Zapewne ktoś ciekawy ze wsi albo z miasteczka! — pozwoliłem sobie wtrącić.

— To bardzo nieprawdopodobne.

— Dlaczego? ciekawość ludzka!

— Mało kto odważyłby się stanąć nogą na tym gruncie. A jeszcze próbować dostać się do tej chaty! Co pan o tem sądzi, panie Holmes?

— Przedewszystkiem sądzę, że mamy prawdziwe szczęście!

— Jakto, więc myśli pan, że zbrodniarz przyszedł na miejsce czynu?

— Tak mi się zdaje. I to bardzo prawdopodobne. Przyszedł, w nadziei, że zastanie drzwi otwarte. Próbował dostać się do środka, otwierając drzwi zapomocą bardzo ostrego scyzoryka. Ale to mu się nie udało. Jak pan sądzisz, co teraz uczyni?

Hopkins nie namyślał się ani chwili, lecz odpowiedział:

— Wróci tej nocy z lepszymi narzędziami.

— Tak i ja myślę i źleby było, gdybyśmy nie czekali tutaj, aby go przyjąć odpowiednio. — A teraz zobaczymy przedewszystkiem, jak tam wygląda w środku.

Z wnętrza kabiny usunięto ślady tragedii, lecz wszystkie meble stały jeszcze w pokoiku tak, jak przed zbrodnią. Dwie godziny badał

Holmes chatę ze zwykłą pedantyczną dokładnością, skupiając się przy oglądaniu każdego najdrobniejszego przedmiotu, Ale z twarzy jego wyczytałem, że badanie nie odniosło pomyślnych skutków. — Raz tylko zatrzymał się wśród poszukiwań, aby zapytać Hopkinsa:

— Czyś pan co ruszał z tej półki?

— Nie, nic nie brałem.

— A jednak czegoś brakuje. W tym kącie półki jest mniej pyłu, niż wszędzie indziej. Tu leżała może jaka książka, albo inny jaki przedmiot podobnego kształtu, np. szkatułka. No, na razie nic więcej się nie dowiem. Teraz pójdziemy sobie na spacer do lasu, mój drogi — rzekł zwracając się do mnie — i poświęcimy parę godzin kwiatom i ptaszkom. Później spotkamy się tutaj z panem Hopkinsem. Wtedy się pokaże, czy mamy się zejść tutaj z owym gentlemanem, który złoży temu domkowi nocną wizytę.

* * *

W chwili, gdy układaliśmy naszą zasadzkę, była godzina jedynasta. Hopkins radził, aby drzwi do chaty pozostawić otwarte, lecz Holmes zwrócił słusznie uwagę, że to obudziłoby podejrzenie owego nieznanego gościa. Zamek był bardzo prosty. Dość było odsunąć go na bok silnym nożem, aby wejść do chaty.

Holmes zaproponował także, aby czekać nie we wnętrzu chaty, lecz w krzakach obok okna. Tym sposobem można będzie, jak mówił, pilno-

wać nieproszonego gościa i zobaczyć, co będzie robił, zapaliwszy światło.

Zaczął się długi i melancholiczne oczekiwanie, oczekiwanie myśliwego, który leży koło jeziorka leśnego i czeka na zwierzynę, która ma wyjść napić się wody. Myśli nasze obracały się ciągle około tego nieznanego człowieka, który miał się nam ukazać, wyjść na nas z ciemności. Cóż to była za zwierzyna? Czy tygrys, którego można schwytać tylko w otwartej walce na kły i pazury, czy też podstępny szakał, straszny tylko dla tchórzów?

W absolutnem milczeniu kuliliśmy się pod krzakami, czekając dalszego biegu wypadków. Z początku dochodziły nas spieszne kroki zapóźnionych wieśniaków i głosy, brzmiące od strony wsi. Powoli jednak zapadała absolutna cisza, głosy marły jeden po drugim, z wyjątkiem dalekiego zegara na wieży kościelnej, który wskazywał nam co pół godziny swym dźwiękiem, jak czas upływa, i z wyjątkiem szemrzącego strumienia deszczu, który splywał po liściastym dachu, osłaniającym nas ze wszystkich stron.

Uderzyło pół do trzeciej. Było bardzo ciemno, jak zwykle bezpośrednio przed nadejściem zmroku. Nagle usłyszeliśmy, że od stronu parkanu zbliżają się wolne, ostrożne kroki.

Wybila prawie godzina w pół do trzeciej; nastąpiła największa ciemność, jak zawsze, zanim zacznie świtać. Nagle zerwaliśmy się wszyscy,

od strony kraty żelaznej dochodził cichy, ale wyraźny odgłos kroków.

Ktoś stapał po drodze. Potem nastąpiła długa chwila ciszy, zacząłem się już obawiać, że wszystko, cośmy słyszeli było tylko fałszywym alarmem i złudzeniem zmysłów, gdy odezwał się znowu odgłos cichych, ostrożnych kroków, tym razem z drugiej strony chaty. Po chwili usłyszeliśmy także zgrzyt metalu i ciche uderzenia.

Nieznany człowiek usiłował wylamać zamek przy drzwiach. Tym razem albo jego zręczność była większa, albo posiadał lepsze narzędzie, bo nagle odezwał się szczepek zardzewiałych zawias i trzeszczenie drzewa. Potem rozbłysła zapalka, w następnej chwili światło świecy nappełniło wnętrze chaty. Przez firanki i kwiaty patrzyliśmy z zaciękwaniem na rozgrywającą się wewnątrz scenę. Nocny gość był młodym człowiekiem, wyglądał chorobliwie, był chudy, miał czarne wąsiki, wskutek których śmiertelnie blada twarz wydawała się jeszcze bielszą. O ile się zdawało, nie miał więcej jak lat dwadzieścia. Nie widziałem nigdy żadnej ludzkiej istoty, któraby budziła tak wielką litość wskutek przestרחu, jaki ją opanował. Zęby młodego człowieka szczeptały głośno, drżał na całym ciele. Był ubrany jak gentleman, na głowie miał sukienną czapeczkę.

Obserwowaliśmy go, jak przestraszonym wzrokiem rozglądał się dokoła siebie. Postawił ka-

waleczek świeczki na stole i zniknął nam z oczu w jednym z kątów pokoju. Po chwili powrócił na środek pokoju, trzymając w ręku jedną z dużych ksiąg okrętowych, które stały w szeregu na półce. Pochylił się nad stołem i szybko przewracał karty książki, aż wreszcie doszedł widocznie do miejsca, którego szukał. Potem z wściekłością na twarzy zamknął książkę uderzeniem zaciśniętej dłoni, rzucił ją z gniewem w kąt pokoju i zagasił światło.

Ale ledwie miał czas się obrócić i zrobić parę kroków ku drzwiom, gdy już dłoń Hopkinsa spoczęła na jego ramieniu. Z ust wydarł mu się okrzyk przerażenia, kiedy zrozumiał, że został schwytany. Zapaliliśmy znowu świecę; nasz biedny więzień drżał ciągle i wił się rozpaczliwie pod ręką detektywa. Potem padł raczej, niż usiadł na skrzyni okrętowej i bezradnie spoglądał na nas po kolei.

— No, mój piękny młodzieńcze — zawołał Stanley Hopkins — któż jesteś i czego to tutaj szukałeś?

Młody człowiek zerwał się i usiłując zachować przytomność umysłu, spojrzał pytającemu prosto w oczy.

— Jesteście panowie — rzekł — jak sądzę, urzędnikami policyjnymi. I wyobrażacie sobie zapewne, że miałem jakiś udział w zamordowaniu kapitana Piotra Carey'a. Ale zapewniam panów, że jestem niewinny.

— Dobrze, dobrze — odparł Hopkins — to

zobaczymy jeszcze. Tymczasem chcielibyśmy się przedewszystkiem dowiedzieć, jakie jest pańskie nazwisko.

— Nazywam się John Hopley Neligan.

Widziałem, jak Holmes i Hopkins przelotnie spojrzeli na siebie.

— Coś pan tu robił, czego szukałeś? — pytał Hopkins dalej.

— Czy mogę mówić z panami, licząc na waszą dyskrecyę.

— Nie i jeszcze raz nie. Zapytujemy pana w charakterze urzędowym.

— A gdybym nie chciał panom odpowiedzieć na zapytanie?

— Jeżeli nie dasz pan odpowiedzi, pogorszysz tem tylko swoją sprawę, a śledzwo sądowe i tak wykaże pobudki, jakie kierowały panem.

Młody człowiek drgnął gwałtownie.

— Więc dobrze. Opowiem panom wszystko. Dlaczegoż zresztą miałbym coś taić? Wprawdzie przykro mi pomyśleć, że ten stary skandal na nowo odżyje, a ludzie zaczną o nim znowu mówić, ale trudno, nie mam innego wyjścia. Zapewne słyszeliście panowie kiedyś o Dawsonie i Neliganie, nie?

Mogłem wyraźnie wyczytać z twarzy Hopkinsa, że nazwiska te były mu zupełnie obce. Natomiast Holmes przejawiał ogromne zajęcie.

— Masz pan na myśli bankierów z Westland rzekł — tych, którzy zbankrutowali, zostawia-

jąc milion długów i rujnując doszczętnie połowę wszystkich rodzin w Kornwalii? Neligan zniknął po bankructwie.

— Tak jest, mój panie. Neligan był moim ojcem.

Nareszcie więc zyskailiśmy jakieś pozytywne wiadomości! A przecież wydawało się, że między ucieczką zbankrutowanego bankiera a kapitanem Piotrem Carey'em, przybitym do ściany własnym harpunem, istnieje przepaść, której nie można zapelnąć szeregiem logicznych, następujących po sobie wydarzeń. To też z tem większą uwagą słuchaliśmy opowiadania młodego człowieka.

— Więc, jak mówię, zbiegły bankier Neligan był moim ojcem. Bankructwo to bolało naprawdę tylko jego, Dawson usunął się od wszystkiego. Miałem wówczas dopiero dziesięć lat, ale wystarczyło to już, abym odczuł całą hańbę i zarzut, jaki dotknął naszą rodzinę. Mówiono powszechnie, że mój ojciec skradł wszystkie papiery wartościowe, które leżały w banku w depozycie i uciekł z nimi. Otóż to nie jest prawdą. Był on święcie przekonany, że zdoła wszystko doprowadzić do porządku i zapłacić należne pieniądze każdemu wierzycielowi, jeżeli tylko będzie miał czas na przeprowadzenie nowych interesów. Na swoim małym jachcie odjechał do Norwegii tuż przedtem, zanim wydano rozkaz aresztowania go. Przypominam sobie dokładnie tę ostatnią noc, kiedy pożegnał nas, niestety, na

zawsze. Pozostawił nam spis papierów wartościowych, jakie zabrał ze sobą i złożył przysięgę mojej matce, że powróci, aby odzyskać utraconą cześć i zapłacić wszystkie należitości, tak, aby nikt z tych, którzy mu zawierzyli, nie poniósł szkody.

Odetchnął ciężko i spojrzał na nas spokojniejszym wzrokiem.

— Tak się sprawa naprawdę przedstawia. Ale, niestety, od owej chwili nie słyszeliśmy już nic o moim biednym ojcu. Jacht i on sam, zaginęli bez śladu. Sądziiliśmy oboje, moja matka i ja, że nieszczęśliwy ojciec, okręt i zabrane papiery wartościowe, leżą na dnie móza. Ale mieliśmy jednego wiernego przyjaciela, pewnego kupca, który wiedział o wszystkim. Otóż odkrył on niedawno, że kilka papierów wartościowych, które ojciec miał przy sobie, pojawiło się na targu londyńskim. Łatwo wyobrażają sobie panowie nasze zdumienie i przerażenie. Całe miesiące straciłem na to, aby wykryć jaką drogą dostały się te pieniądze na giełdę, wreszcie po długich poszukiwaniach, trudnościach i omyłkach zdołałem stwierdzić, że sprzedawał je kapitan Piotr Carey, właściciel tej chaty.

Oczywiście, starałem się dowiedzieć jakichś szczegółów o tym człowieku. Nie było to zbyt trudne do przeprowadzenia. Wykryłem, że Piotr Carey był komendantem statku, polującego na wieloryby i że właśnie powracał z wód polar-

nych wówczas, kiedy mój ojciec popłynął do Norwegii. Jesień owego roku była bardzo burzliwą, bez przerwy trwały długie niepogody i orkany, wywoływane południowym wichrem. Nie było nieprawdopodobnem, że jacht mojego ojca został zapędzony na północ i że tam spotkał okręt Piotra Carey'a. Bez względu na to, jak się sprawa przedstawiała, przedewszystkiem zajmowało mnie pytanie, co się stało z moim ojcem. Chodziło mi o zrehabilitowanie jego pamięci. Gdybym z pomocą świadectwa Piotra Carey'a zdołał dowieść, w jaki sposób te papiery wartościowe dostały się na giełdę, byłoby to także dowodem, że mój ojciec ich nie sprzedał i że nie miał żadnej osobistej korzyści z tego, że zabrał je z sobą.

— Przybyłem do Sussex, zamierzając zobaczyć się z nim i rozmówić. Ale właśnie wtedy nastąpiła jego nagła śmierć. W sprawozdaniu o oględzinach miejsca zbrodni wyczytałem opis jego kabiny, była tam także wzmianka, że kapitan przechowywał w niej stare księgi urzędowe swojego okrętu. Przyszło mi na myśl, że gdybym zobaczył, co się działo w sierpniu 1883 roku na pokładzie »Narwala«, może w ten sposób mógłbym rozjaśnić zagadkę śmierci mojego ojca. Próbowałem wczoraj w nocy wdrzeć się do chaty i zobaczyć te księgi, ale nie starczyło mi sił na otwarcie drzwi. Dzisiaj ponowiłem próbę, tym razem ze szczęśliwym wynikiem. Niestety, z nie-

zmierną rozpaczą przekonałem się, że karty, dotyczące tego miesiąca, są wydarte z księgi; w tej samej chwili wpadłem w ręce panów, jako więzień.

— Czy to już wszystko? — zapytał Hopkins stanowczym głosem.

— Tak jest, opowiedziałem panom wszystko. Odwrócił głowę, kiedy to mówił, aby uniknąć naszego wzroku.

— Więc istotnie nie możesz pan powiedzieć nic więcej?

Zawahał się.

— Nic, nic.

— Nie byłeś pan tutaj przed wczorajszą nocą?

— Nie.

— Więc jakże potrafisz nam pan to wytłumaczyć? — zawołał Hopkins tryumfującym głosem, podnosząc w górę znaleziony przez siebie notatnik, zawierający na pierwszej kartce inicjały naszego więźnia a na okładce krwawe ślady.

Nieszczęśliwy człowiek pochylił z rozpaczą głowę, zakrył twarz rękami i drżał na całym ciele. Widocznie złamał go ten cios.

— Skąd masz pan ten notatnik? — zawołał. — Nie wiedziałem nic o tem, myślałem, że zgubiłem go w hotelu.

— To już najzupełniej wystarcza — rzekł Hopkins surowo. — To co możesz pan jeszcze

powiedzieć na swoją obronę, powiesz już przed sądem. Teraz udasz się pan ze mną do urzędu policyjnego. Więc, mr. Holmes, serdecznie dziękuję panu i pańskiemu przyjacielowi, że tak uprzejmie i laskawie na moje wezwanie pospieszyliście mi z pomocą. A chociaż wobec zwrotu, jaki sprawa przybrała, obecność panów była tu zbyt dużą, bo i własnymi siłami byłbym sprawę doprowadził do obecnego pomyślnego wyniku, mimo to jestem panom niezmiernie zobowiązany. W hotelu w Brambletye są przygotowane dla panów pokoje, jeżeli pozwolą mi panowie towarzyszyć sobie, możemy się tam razem udać za chwilę.

— Cóż sądzisz o tej sprawie Watsonie — pytał Holmes nazajutrz, kiedy powracaliśmy do naszego mieszkania na Baker-street.

— O ile mogę poznać, nie jesteś szczególnie zadowolony z wyników śledztwa.

— Ależ przeciwnie, kochany przyjacielu, najzupełniej. Ale mimo to, nie odważyłbym się twierdzić, że metoda, jakiej używa Hopkins, jest dobra i polecenia godna. Wogóle mr. Stanley Hopkins, jak dotąd, sprawił mi rozczarowanie. Spodziewałem się po nim czegoś lepszego. Trzeba zawsze mieć przed oczyma wszystkie możliwe alternatywy i wyruszyć do boju w pełnym ryngtunku przeciwko wszelkim możliwościom. To musi być pierwszą i główną zasadą każdego śledztwa kryminalnego.

— A jakąż alternatywę możnaby tutaj jeszcze przypuścić?

— Możliwość znaleźć inne jeszcze wytłomaczenie — rzekł Holmes. — I to jest właśnie linia dochodzeń, jakie prowadzę. Być bardzo może, że nie doprowadzi do żadnego rezultatu. Więc tymczasem nie chcę o niej mówić. Bądź co bądź jednak pójdę tą drogą aż do końca.

W domu na Baker-street czekało na Holmesa kilka listów. Wziął jeden z nich, otworzył i zaledwie rzucił okiem, zaśmiał się tryumfująco.

— Wybornie, Watsonie, wybornie. Otóż widzisz, alternatywa zaczyna się rozwijać i uplastyczniać. Czy masz blankiety telegraficzne?... Dobrze, więc bądź łaskaw napisać następujące depesze:

«Summer, agent okrętowy Ratcliff Highway. Przysłać trzech ludzi punktualnie 10 przed południem. Bazyli».

— Znają mnie tam pod tem imieniem — dodał objaśniająco. — A teraz jeszcze jedna depesza:

«Inspektor policji Stanley Hopkins, 49 Lord-street Brixton. Proszę przybyć rano 9:30 śniadanie. Ważne. Jeżeli niemożliwe, odpowiedź telegraficznie. Sherlock Holmes».

Punktualnie o naznaczonej godzinie przybył inspektor Hopkins i zasiadliśmy razem do wybornego śniadania, które przygotowała poczciwa mrs. Hudson, nasza tyloletnia gospodyni.

Młody urzędnik policyjny był niezmiernie uradowany swym tryumfem i ciągle powracał do tego samego tematu.

— Więc sądzisz pan rzeczywiście, że rozwiązanie, do jakiego doszedłeś, jest trafne? Że nie można już nic dodać w tej sprawie? — spytał Holmes.

— Nigdy w życiu nie spotkałem wypadku mniej skomplikowanego i więcej jasnego.

— A jednak nie odważyłbym się twierdzić, że wszystko tak jasno wynika jedno z drugiego.

— Jestem wprost zdumiony tem, co pan mówisz, mr. Holmes. Czy można tu jeszcze w coś wątpić?

— Czy wytłómaczenie sprawy, jakie pan sobie wytworzyłeś, tłumaczy także każdy poszczególzny punkt?

— Niewątpliwie. Dowiedziałem się, że młody Neligan w dniu spełnienia zbrodni zamieszkał w hotelu w Brambletye. Przybył tam pod pozorem zwiedzania okolicy. Pokój jego znajdował się na parterze, mógł więc wychodzić w dzień i w nocy, kiedy mu się podobało. Też samej nocy udał się do Woodmans Lee, zobaczył w kabinie Piotra Careya i wszczął z nim kłótnię, podczas której zabił go harpunem. Potem, przerażony tem, co uczynił, uciekł z chaty, a przy tej sposobności zgubił notatnik, który przyniósł z sobą, aby wypytać się Piotra Careya o te rozmaite papiery wartościowe. Do tego przy-

znaje się nawet. Zapewne zauważyłeś pan, że niektóre liczby papierów są oznaczone punktami, inne, a tych jest przeważna liczba, nie mają żadnego znaku. Otóż tych papierów oznaczonych poszukiwano na giełdzie londyńskiej. Co do innych, Neligan przypuszczał zapewne, że są one w ręku Piotra Careya. I znowu sam młody człowiek przyznaje, że usilnie się starał wykryć je i dać w ten sposób zadośćuczynienie wierzycielom swego ojca. Po dokonaniem morderstwa i po ucieczce przez dłuższy czas nie śmiał się zbliżyć do chaty, wreszcie chęć otrzymania wiadomości, których potrzebował, przemogła bojaźń. To przecież wszystko nader jasne i proste.

Holmes uśmiechnął się nieznacznie i z niedowierzaniem potrząsnął głową.

— O ile mi się zdaje, mr. Hopkins, sprawa ta ma jedną słabą stronę, to mianowicie, że jest absolutnie niemożliwą. Czy próbowałeś pan kiedy przebić jakie ciało harpunem? Nie? A, to wielka szkoda. No, no, mój drogi panie, powinieneś koniecznie tym szczegółom poświęcić nieco uwagi. Mój przyjaciel Watson mógłby panu opowiedzieć, że niedawno całe rano oddawałem się temu ćwiczeniu. Nie jest to wcale łatwa sprawa, jakby się mogło wydawać i wymaga bardzo silnego i wprawnego ramienia. Ale to jeszcze nie wszystko. Cios ten był zadany z taką siłą, że ostrze broni przebiło ciało na wskrós i utkwilo głęboko w drewnianej ścianie. Czy możesz pan

sobie wyobrazić, że ten bezkrwisty, chudy młodzieniec miałby dość siły do podobnego uderzenia? I czy można przypuścić, że obaj, on i czarny Piotr, zapijali się późno w nocy rumem z wodą? A dalej: czy to był jego profil, który dwie noce przedtem widziano na szybie? Nie, nie, kochany panie Hopkins, musimy poszukać innego sprawcy, bardziej męskiego i groźnego.

Podczas mowy Sherlocka Holmesa, twarz młodego detektywa wydłużała się coraz bardziej. Walily się beznadziejnie wszystkie jego nadzieje i oczekiwania. Mimo to nie chciał bez walki ustąpić ze stanowiska.

— Nie możesz pan jednak zaprzeczyć, mr. Holmes, że Neligan był owej nocy w kabinie Piotra Careya. Zgubiony notatnik jest aż nazbyt wystarczającym dowodem. I zdaje mi się, że mam dość dowodów, aby sąd przyznał słusność moim twierdzeniom. Nawet w takim razie, gdybyś pan zdołał wynaleść jeszcze jakiś kruczek. A zresztą mr. Holmes, ja mam w rękę mojego zbrodniarza. A ten pański, ten bardziej męski i groźny sprawca, gdzie się znajduje?

— Jak mi się zdaje, idzie w tej chwili po schodach — odparł Holmes wesolo. — Sądzę, że dobrze uczynisz, Watsonie, biorąc rewolwer do ręki.

Holmes powstał z krzesła i położył na bocznym stoliku jakiś papier.

— Tak, teraz jesteśmy gotowi — rzekł.

Usłyszeliśmy kilka zachrypłych głosów w przedpokoju, a równocześnie mrs. Hudson otworzyła drzwi, zawiadamiając nas, że przybyło trzech ludzi, którzy pytają się o kapitana Bazyla.

Niech pani wpuszcza kolejno jednego po drugim — rzekł Holmes.

Pierwszy, który wszedł, był to mały, krępy człowiek, z czerwonymi policzkami i z siwiejącymi lekko włosami na skroniach. Holmes sięgnął do kieszeni i wyjął jakiś list.

— Jak się nazywasz? — zapytał.

— James Lancaster.

— Przykro mi bardzo mój dobry obywatelu, ale załoga statku już skompletowana. Oto masz tu pół suwerena za fatygę. Ale tymczasem, proszę bardzo, wejdź do tamtego pokoju i zaczekaj tam kilka minut.

Drugi marynarz, była to wysoka i chuda postać z cienkim, płowym włosem, z zapadłymi, biało żółtymi policzkami. Nazywał się Hugh Patins. I on otrzymał odmowną odpowiedź, pół suwerena nagrody za to, że przyszedł, a wreszcie zlecenie, aby się zatrzymał obok w pokoju.

Trzeci człowiek, starający się o zajęcie na statku sprawiał dziwne wrażenie. Dzika twarz buldoga była okolona gęstym zarostem, dawno nie strzyżonym, miał czarne wąsy i brodę, dwoje zuchwałych oczu żarzyło się pod cieniami gęstych, krzaczastych, zwisających brwi. Wchodząc do pokoju, pozdrowił nas i stanął w po-

zycy marynarza, obracając w rękach okrągłą czapeczkę.

— Nazywasz się? — pytał Holmes.

— Patrick Cairus.

— Władasz harpunem?

— Tak jest, panie kapitanie, polowałem dwadzieścia sześć razy.

— Jesteś gotów do podróży na morze północne?

— Tak, panie kapitanie.

— Jakiej żądasz płacy?

— Ośm funtów na miesiąc.

— Kiedy mógłbyś wyruszyć w drogę? Czy zaraz?

— Skoro tylko poczynię najpotrzebniejsze zakupy.

— Masz jakie świadectwa?

— Oto, panie kapitanie.

Wyciągnął z kieszeni paczkę zniszczonych i zatłuszczonych papierów.

Holmes przejrzał je szybko, a potem zwrócił stojącemu naprzeciw niego.

— Jesteś człowiekiem, jakiego potrzebuję — rzekł — Tam na stoliku leży kontrakt, musisz go tylko podpisać i wszystko będzie w porządku.

Marynarz przeszedł niezgrabnie przez pokój i ujął pióro do ręki.

— Czy tutaj mam podpisać? — zapytał, pochylając się nad stołem.

Holmes nagłym ruchem pochylił się nad nim i przesunął obie ręce nad jego ramionami.

— Tu właśnie! — zawołał.

Usłyszałem brzęk, jak gdyby łańcucha stalowego, a zaraz potem ryk, niby rozszalałego byka. W chwilę później Holmes i marynarz tarzali się po ziemi, pasując się z sobą. Był to człowiek tak strasznie silny, że nawet w kajdankach, które mu Holmes zarzucił na ręce z ogromną zręcznością, byłby niewątpliwie niebawem zdusił mojego przyjaciela, gdybyśmy obaj z Hopkinsem nie skoczyli mu na pomoc. Dopiero kiedy dotknąłem jego czoła zimną lufą rewolweru, zrozumiał, że wszelki jego opór jest daremny. Skrepowaliśmy mu sznurem nogi, poczem powstaliśmy zadyszani i zmęczeni straszną walką.

— Muszę doprawdy prosić pana, mr. Hopkins o przebaczenie za ten epizod — mówił Sherlock Holmes. — Obawiam się, że jajecznica zupełnie wystygła. Bądź co bądź jednak nie wątpię, że reszta śniadania będzie panu jeszcze lepiej, niż pierwej smakować, zwłaszcza wobec tego, że szczęśliwie doprowadziliśmy naszą sprawę do tak pomyślnego zakończenia.

Stanley Hopkins stał jak posąg, oniemiał ze zdumienia.

— Nie mam pojęcia, co myśleć o tem wszystkim, mr. Holmes — wyjąkał wreszcie, czerwieniąc. — Zdaje mi się teraz, że od samego

początku sprawy postępowałem jak idyota. Teraz rozumiem dobrze, że nie powinienem był ani na chwilę zapominać, iż byłem uczniem w tym wypadku, a pan nauczycielem i mistrzem. Nawet teraz, kiedy widzę, co pan zrobił, nie wiem wcale, ani dlaczego to zrobiłeś, ani co to wszystko wogóle znaczy?

Holmes uśmiechnął się i wesoło odpowiedział:

— No, no, nie ma się czem martwić, wszyscy uczymy się przez doświadczenie.

— A pańską nauką było teraz, że nigdy, nawet gdyby sprawa wydawała się niezmiernie prosta, nie należy tracić z oczu alternatywy. Byłeś pan tak zabsorbowany myślą o młodym Neliganie, że w pańskim umyśle nie było już miejsca na coś innego, więc także oczywiście na Patricka Cairusa, rzeczywistego mordercę Piotra Careya.

Nagle spokojną naszą rozmowę przerwał zachrypły głos marynarza.

— Nie mam do pana urazy — rzekł — że mnie tak podszedłeś i tak gwałtownie schwytaleś, ale chciałbym, abyś pan nazywał sprawę, tak, jak należy. Mówisz pan, że zamordowałem Piotra Careya, a ja twierdzę, że Piotra Careya zabiłem. I to jest wielka różnica.

Być może, że pan nie wierzy temu, co mówię, być może, że sądzi pan, iż chcę pana okłamać. Ale to sprawę nie zmienia.

— Ależ bynajmniej mój człowieku — odparł

Holmes. — Opowiedz nam wszystko, jak było, a chętnie ci uwierzymy.

— To się da krótko opowiedzieć, a przysięgam, na Boga, że każde słowo będzie prawdą. O, znałem dobrze Czarnego Piotra; kiedy wyciągnął nóż z kieszeni, przebiłem go harpunem z całej siły. Tu się nie można było wahać, wiedziałem z całą pewnością, że jeden z nas zginąć musi, ja, albo on. Więc on umarł. Tego morderstwem nazwać nie można. A zresztą dzisiaj wszystko mi jedno, równie dobrze zginę na szubienicy, jak byłbym zginął, przebity nożem Czarnego Piotra.

— Pocóż przyszedłeś do niego? — pytał Holmes.

— Opowiem panom wszystko od samego początku. Tylko, jeżeli łaska posadźcie mnie na krześle, bo mi tak strasznie niewygodnie mówić. Było to w roku 1883, kiedy się to stało, w sierpniu, Piotr Carey, był właścicielem »Narvala«, ja zakontraktowałem się do drugiego harpuna. Prawie wracaliśmy już z morza Lodowatego, walcząc z przeciwnymi wiatrami i olbrzymią falą morską, kiedy spotkaliśmy po drodze mały okręcik, pędzony wiatrem ku północy. Na statku był jeden tylko człowiek, nasz rodak. Załoga sądziła, że okręt zatonił i dlatego wszyscy wsiedli do łodzi ratunkowej, aby się udać ku wybrzeżom norweskim. Jak sądzę jednak, wszyscy zatoneśli. Tylko sam właściciel pozostał na statku.

Widząc jego rozpaczliwe położenie, przewieźliśmy go na nasz pokład; kapitan Piotr Carey, zabrał go do swojej kajuty i obaj prowadzili tam długie rozmowy. Jedynym pakunkiem, jaki zabrał z sobą, przechodząc na nasz okręt, była cynkowa puszka. O ile mi wiadomo, nikt nie dowiedział się nigdy jego nazwiska, zresztą już następnej nocy niezajomy zniknął w tajemniczy sposób. Opowiadano, że albo zrozpaczony skoczył do morza, albo też zmiotła go wysoka fala, która szalała przez całą noc. Tylko jeden człowiek wiedział, co się naprawdę stało z niezajomym, a tym człowiekiem ja byłem. Bo widziałem na własne oczy, jak Piotr Carey pochwyił go w nocy w pół, i przerzucił przez burzę. Stało się to późno w nocy, dwa dni pierwszej, zanim ujrzelśmy światła i brzeg Szwecji.

Zachowałem w tajemnicy ten wypadek, czekając cierpliwie, co dalej będzie, opowiadał Cairus. — W Szwecji kapitan z łatwością zatuszował całą sprawę, nikt zresztą nie wypytywał się dokładnie. Przyjęto do wiadomości, że jakiś obcy poniósł śmierć wskutek nieszczęśliwego wypadku, nikomu nie zależało na tem, aby zbadać tę sprawę. Niedługo potem, Piotr Carey sprzedał okręt i przestał polować na wieloryby, wiele lat minęło, zanim zdołałem odszukać jego mieszkanie. Ale byłem niemal pewny, że popełnił zbrodnię dlatego, aby przywłaszczyć sobie za-

wartość puszkę cynkowej; przypuszczałem też, że będzie mógł mi zapłacić, abym milczał dalej.

Za pośrednictwem pewnego majtka, który spotkał Czarnego Piotra w Londynie, dowiedziałem się, gdzie mieszka i udałem się do niego, by zażądać nagrody za milczenie. Pierwszej nocy mówił ze mną bardzo rozsądnie i oświadczył, że gotów jest mi dać pewną sumę, któraby wystarczyła mi na życie i pozwoliła porzucić żmudną pracę na morzu. W dwa dni później mieliśmy sprawę ostatecznie załatwić. Kiedy przyszedłem, kapitan był prawie zupełnie pijany, we wściekłym humorze. Usiedliśmy przy stole, zaczęliśmy pić i rozmawiać o dawnych, razem spędzonych czasach; ale im więcej pił, tem mniej podobał mi się jego wyraz twarzy.

Zauważyłem harpun, wiszący na ścianie, przyszło mi na myśl, że mógłbym go użyć, gdyby się na mnie rzucił.

Niedługo czekałem na to. Nagle zerwał się, plując i przeklinając, w oczach błyszczała mu żądza mordy, w ręku trzymał wielki nóż. Ale nie miał czasu wydobyć go z pochwy, niby błyskawicą rażony, padł na ścianę z harpunem w boku.

Boże, jak strasznie krzyknął — jego straszna wykrzywiona bólem twarz stała mi co noc przed oczyma i nie pozwala zasnąć. Potem zmarł. Stałem na środku kabiny, krew coraz silniej tryskała z rany, nasłuchiwałem przez chwilę

Ale dokoła panowała zupełna cisza, przestрах ustąpił, nabrałem znowu odwagi. Obejrzałem się do koła, tam na półce nad książkami stała puszka cynkowa. Miałem do niej takie samo prawo jak Piotr Carey, zabrałem ją więc i wyszedłem z chaty. Tylko, jak nierozsądny głupiec, pozostawiłem na stole kapciuch z tytoniem.

Teraz opowiem panom najzabawniejszą część całej historyi. Ledwie wyszedłem z kabiny, usłyszałem nagle jakiś szmer. Cofnąłem się ze ścieżki i ukryłem się w poblizkich zaroślach. Jakiś człowiek skradał się ku chacie, wszedł do środka, krzyknął, jak gdyby zobaczył upiora, a potem zaczął uciekać nieprzytomny, gdzie go oczy niosły, aż wreszcie zginął w oddali. Kto to był, albo też czego chciał, nie umiem odgadnąć. Gdy już zniknął w ciemnościach nocy, ruszyłem w drogę; przeszedłem dziesięć mil piechotą, w Tunbridge Wells wsiadłem do pociągu i przybyłem do Londynu, nie wiele mędrszy niż pierwiej.

Kiedy wreszcie znalazłem sposobność, aby otworzyć puszkę, przekonałem się, że nie było w niej pieniędzy, lecz papiery wartościowe. A papierów nie śmiałem sprzedawać. Tak więc straciłem noc nad Czarnym Piotrem, i zostałem w Londynie bez szylinga w kieszeni. Trzeba się było obejrzyć za jakimś zajęciem. Wtedy to znalazłem to ogłoszenie, zachęciła mnie wysoka płaca, poszedłem do ajenta okrętowego,

a on przysłał mnie tutaj. To wszystko, co wiem. I powtarzam: za to, że zabiłem Czarnego Piotra, sąd powinien mi być tylko wdzięczny, ponieważ oszczędziłem sprawiedliwości kosztów kopnego sznura do szubienicy.

Holmes powstał i zapalił fajkę.

— Bardzo jasne i dokładne sprawozdanie. A teraz sądzę, mr. Hopkins, że nie będziesz pan tracił czasu i odprowadzisz swojego więźnia w bezpieczne miejsce. Ten pokój nie nadaje się wcale na celę więzienną, a przytem mr. Patrick Cairus zajmuje swą osobą zbyt wielki kawał naszego dywanu.

— Mr. Holmes — rzekł Hopkins z rozrzewnieniem — nie wiem, w jaki sposób wyrazić panu moją wdzięczność. Chociaż prawdę mówiąc, i teraz jeszcze niezbyt dobrze pojmuję, jaką drogą doszedłeś pan do tego wyniku.

— Całkiem poprostu tą, że szczęśliwie od samego początku sprawy uchwyciłem właściwy punkt zaczepienia. I nie zaprzeczam wcale, że gdybym był odrazu wiedział o tym znalezionym notatniku, byłby on może i mnie wprowadził na trop fałszywy, jak się to z panem stało. Ale wszystko o czem słyszałem i wiedziałem, kazało mi iść w tym właśnie, a nie innym kierunku. Ta zdumiewająca siła fizyczna, ta zręczność w rzucaniu harpunem, rozwodniony rum, ten kapciuch ze skóry psa morskiego, napełniony grubym lichym tytoniem, wszystko dowodziło,

że zbrodnię popełnił marynasz i to poławiacz wielorybów. Byłem też przekonany stanowczo, że inicjały P. C. na kapciuchu były tylko wypadkowym zbiegiem okoliczności, a nie inicjałami Piotra Careya, co wynikało już z tego, że jak zeznała rodzina, palił nie wiele, a przytem nie znaleziono fajki w jego kabinie. Przypominasz pan sobie zapewne, że pytałem się, czy w kabinie znajdowała się whisky, czy brandy. A czy sądzisz pan, że możnaby znaleźć jakiegoś szczura ładowego, który mając do dyspozycji rozmaite wódki, piłby rum? Tak jest, mr. Hopkins, byłem pewny, że sprawca jest marynarzem.

— No, a jakże zdołałeś go pan odnaleźć?

— Mój drogi panie, to był problem niezmiernie łatwy do rozwiązania. Przypuściwszy, że człowiek ten był marynarzem, trzeba było przypuścić dalej, że znał kapitana, czyli innemi słowy należał do załogi »Narvala«. Zasięgnąłem bowiem wiadomości, że kapitan Piotr Carey nie posiadał nigdy innego okrętu. Trzy dni poświęciłem na to, aby telegrafować do Dundee i sprawdzić nazwiska całej załogi »Narvala« w roku 1883.

Kiedy wśród nich znalazłem nazwisko Patricia Cairusa i kiedy się dowiedziałem, że był zakontraktowany do rzucania harpunem, poszukiwanie szybko zaczęło się zbliżać ku końcowi.

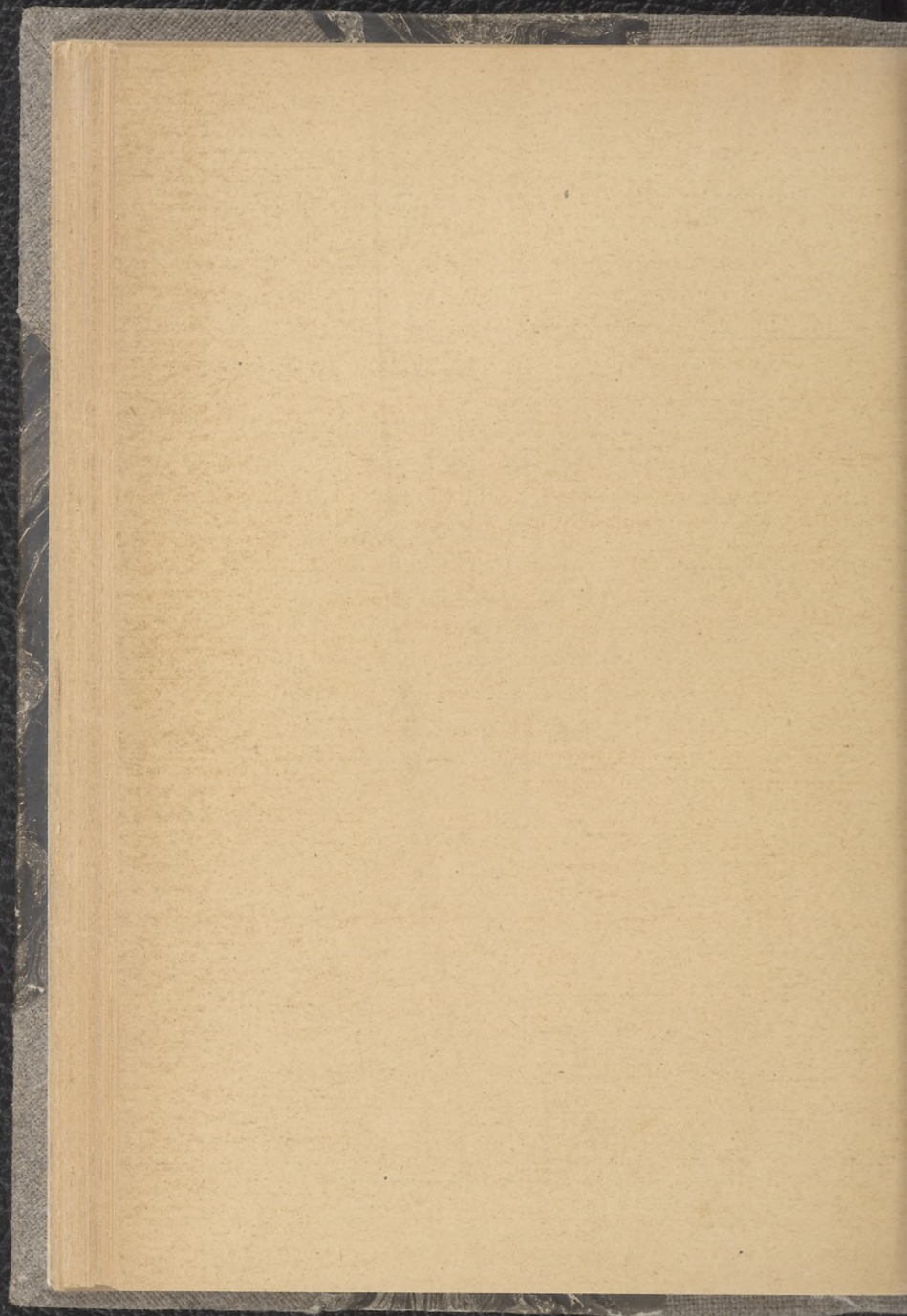
Przypuszczałem, że człowiek ten prawdopodobnie znajduje się w Londynie i że chętnie opuściłby ład stały na pewien przeciąg czasu.

Dlatego spędziłem kilka dni w Eastend, wymyśliłem wyprawę polarną, ogłosiłem bardzo zachęcające warunki dla harpunierów, którzy chcieliby wstąpić do służby kapitana Bazyla... i oto widzisz pan wynik mojej pracy.

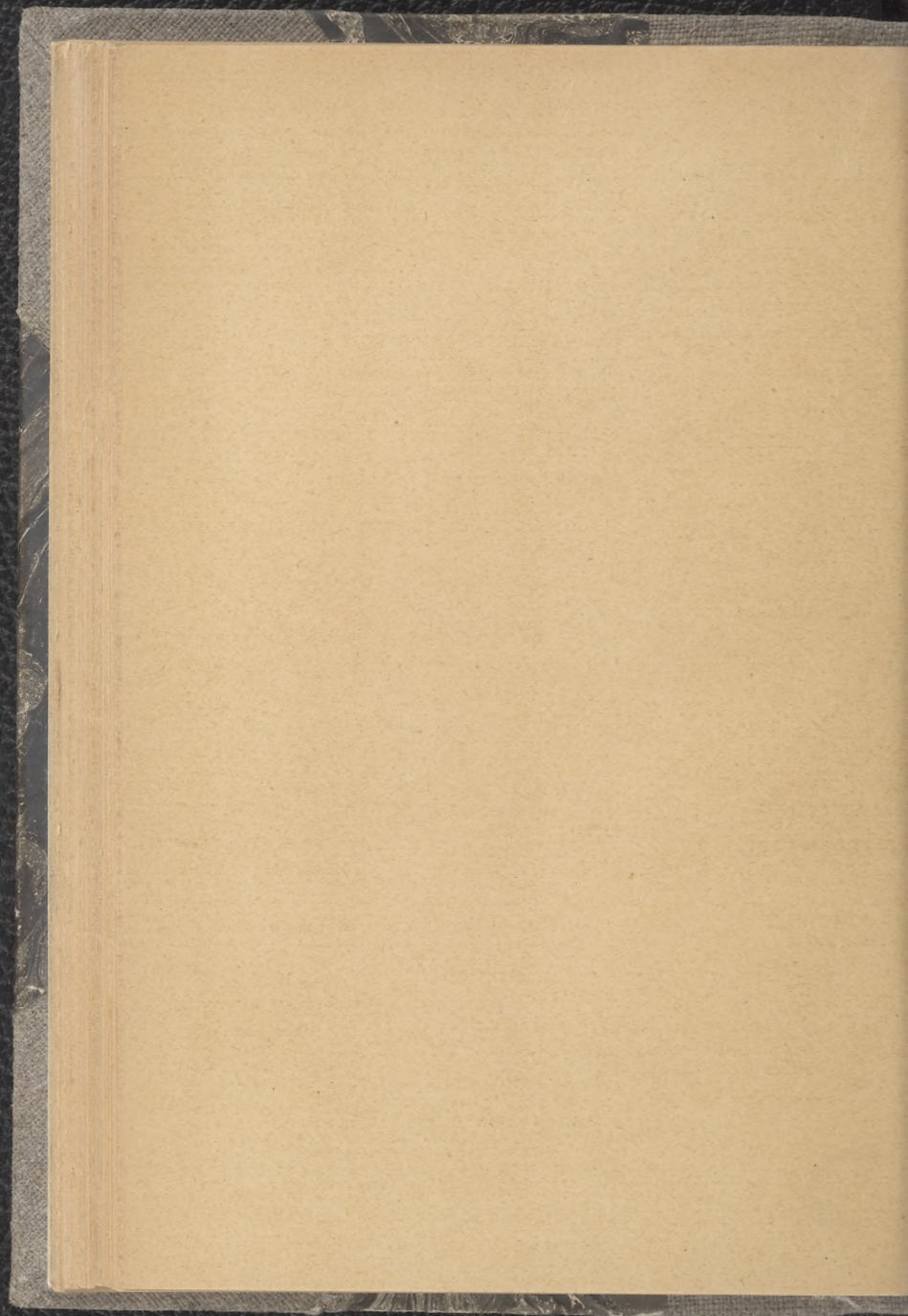
— Cudowna historia — wołał Hopkins z uniesieniem — cudowna historia.

— Trzeba teraz jak najszybciej pomyśleć o wypuszczeniu z więzienia młodego Neligana — mówił Holmes. — Mam też nadzieję, mr. Hopkins, że przeprosisz go pan należycie za przykrości, jakich doznał z powodu ciebie. Należy mu oddać puszkę cynkową. Oczywiście wszystkie papiery wartościowe sprzedane przez Piotra Careya, są na zawsze stracone. Dorożka czeka na dole, mr. Hopkins, możesz pan odwieźć nią więźnia. A gdybyś mnie pan potrzebował w ciągu procesu, to adres mój i Watsona: Północna Norwegia.





EZAW I JAKÓB



Na małej scenie naszego mieszkania przy Backer Street rozegrało się sporo nadzwyczajnych wypadków; ludzie dramatycznie wchodzili i schodzili ze sceny. Ale nie mogę sobie przypomnieć bardziej gwałtownego i budzącego wprost przestрах wejścia, jak wówczas, gdy przybył do nas po raz pierwszy pan dr. Thorneycroft Huxtable, M. A. G. h. D. etc. Jego kartę wizytową, która wydawała się za małą, aby pomieścić całą godność i ciężar piastowanych przez niego dostojeństw akademickich, doręczono nam kilka sekund pierwej; niebawem wszedł i on sam we własnej osobie — tak dumny, tak pompatyczny, tak pełen godności, że wydawał się ucieleśnieniem świadomej sobie wielkości i powagi. Ale skoro tylko wszedł, ledwie drzwi się za nim zamknęły, zachwiał się w stronę stojącego opodal stołu, usiłował oprzeć się na nim, lecz wnet runął jak długi na ziemię. I oto na niedźwiedziej skórze przed naszym kominkiem

leżała ta majestatyczna postać bez przytomności i bez czucia. Zerwaliśmy się z miejsc, przez kilka chwil wpatrywaliśmy się z milczącym zdziwieniem w tę potężną nawę ludzką, która opowiadała o jakichś gwałtownych i niosących zagładę burzach, tam daleko na szerokim oceanie życia.

Potem Holmes podłożył mu poduszkę pod głowę, ja zaś zbliżyłem kieliszek brandy do jego ust. Miałem przytem sposobność przypatrzeć mu się bliżej. Ciężkie, wybladłe oblicze było całe pofałdowane zmarszczkami troski, obwisłe powieki, zamykające oczy nie miały w sobie kropli krwi, szerokie usta zaciskały się w kątach boleśnie, broda była nieogolona. Kołnierz i koszulę pokrywał pył, pochodzący widocznie z długiej podróży, włosy były zmierzwiłone, w nieładzie oblepione na pięknej głowie.

Patrząc na niego, nie można było wątpić, że człowieka tego dotknął cios ciężki.

— No, co się dzieje z naszym gościem, Watsonie? — pytał Holmes.

Dotknąłem ręką jego puls, który drgnął tylko nieznacznie, niby wąż nitka pod skórą.

— Zupełne wyczerpanie — odpowiedziałem — a może to być także tylko głód i zmęczenie.

— Bilet jazdy tam i z powrotem z Mackleton w Anglii północnej — rzekł Holmes, wyjmując z kieszeni kamizelki naszego gościa bilet

kolejowy. — Niema jeszcze dwunastej godziny, niewątpliwie wczesno rano wyruszył w drogę.

Pomarszczone powieki zaczęły drżeć, para szarych, wygasłych oczu, spojrzała na nas zdziwionym wzrokiem.

W chwilę później leżący zerwał się, stanął na nogach, rumieniec wstydu oblał jego twarz.

— Przebacz mi pan tę moją słabość, mr. Holmes; jestem trochę przemęczony. Dziękuję panom bardzo za starania i opiekę nademną. Smiem jeszcze prosić o szklankę mleka i o kawałek bulki, jestem przekonany, że siły natychmiast mi powrócą. Przybyłem tu osobiście, mr. Holmes, aby się zapewnić, że pan pojedziesz ze mną; obawiałem się, że telegram, chociażby najrozpaczliwiej zredagowany, nie przekona pana o absolutnej nagłości sprawy. Chwili zwlekać nie można!

— Skoro czujesz pan już, że ci siły wracają...

— Jestem już zupełnie zdrowy i pokrzepiony. I wprost zrozumieć nie mogę, jakim sposobem osłabienie mogło mną tak bardzo owładnąć. Ale do rzeczy. Chciałbym mr. Holmes, abyś pojechał pan ze mną do Mackleton, najpierwszym pociągiem, jaki odchodzi w tamtą stronę.

Mój przyjaciel potrząsnął przecząco głową, ku niezmiernemu niezadowoleniu naszego gościa.

— Towarzysz mój, dr. Watson, może potwierdzić, że jestem teraz ogromnie zajęty. Tylko jakiś wypadek nadzwyczajnie ważny mógłby mnie

nakłonić do opuszczenia Londynu w obecnej chwili.

Gość nasz porwał się z miejsca i wyciągnął ręce do góry.

— Pan się pyta o ważny wypadek? Jakto? Czyżbyś pan nie słyszał nic jeszcze o wprowadzeniu jedyne go syna księcia Holderness?

— Co? Księcia Holderness? Byłego ministra? Więc wprowadzono mu syna?

— Tak jest, mr. Holmes. Usiłowaliśmy ukryć ten wypadek, aby się nie dostał do wiadomości prasy, ale wczoraj *Globe* pomieścił już pogłoskę. Sądziłem, że miałeś pan już w ręku ten dziennik.

Holmes wyciągnął długie szczuple ramię i wyszukał w bibliotece tom podręcznej encyklopedyi.

— Holderness, szósty książę, *K. G. P. C.**) — poprostu pół alfabetu! Baron Beverley, Earl of Carston — mój Boże, pokażna lista. Lord-porucznik of Hallamshire od roku 1900, zaślubił Edytę, córkę Sir Karola Appledore 1888. Spadkobierca i jedyny syn lorda Saltire. Posiada około 250.000 akrów roli, kopalnie w Lancashire i Wallii. Adresy: Carlston-House Terrace; Holderness Hall, Hallamshire; Carston Castle, Bangor, Wallia. Lord admiralicyi od r. 1872; pierwszy sekretarz — no, no, niema co mówić, bez wąt-

*) Skrócenie tytułów *Knight of the Garter* (Rycerz orderu Podwiązki) i *Privy cancellor* (Tajny radca).

pienia jeden z najznamienitszych poddanych Korony.

— Z najznamienitszych, a może i najbogatszych. Już z tego, co słyszałem o panu, wiem, że jesteś pan biegły w prowadzeniu interesów. Spodziewam się też, że pracujesz pan głównie z powodu zamiłowania do spraw tego rodzaju. Bądź co bądź jednak niech pan przyjmie do wiadomości, że książę Holdernesse oświadczył już, iż ofiaruje temu czek na 5.000 funtów szterlingów, kto mu wskaże, gdzie się jego syn znajduje, a dalszy tysiąc funtów szterlingów temu, kto wykryje człowieka, czy ludzi, którzy uprowadzili młodego księcia.

— Istotnie książęca propozycja — odparł Holmes. — Zdaje mi się kochany Watsonie, że nie odmówimy naszego towarzystwa doktorowi Huxtable w jego podróży do Anglii północnej. A teraz, doktorze Huxtable, skoro pokrzepiłeś się szklanką mleka, może zechcesz laskawie przedstawić nam, co się stało, kiedy się stało, jak się stało, a wreszcie co dr. Thorneycroft Huxtable, kierownik zakładu wychowawczego w Mackleton ma wspólnego z tą sprawą i dlaczego dopiero we trzy dni po wypadku — wnoszę to ze stanu pańskiej brody — przybywa tutaj, aby skorzystać z moich skromnych usług.

Nasz gość spożył tymczasem mleko i bulkę i niebawem powrócił blask jego oczu, policzki zaróżowiły się, a barwa twarzy stała się jeszcze

żywsza, kiedy zaczął mówić i przedstawiać nam sytuację z wielką jasnością i plastyką.

— Przedewszystkiem muszę wam powiedzieć, moi panowie, że mój zakład jest szkołą przygotowawczą. Jestem jej założycielem i kierownikiem. Może nazwisko moje nie jest panom zupełnie obce, może któryś z panów przypomina sobie dzieło Huxtable'a «Komentarze do Horacego»? Otóż zakład mój jest, bez przesady, najlepszą i najbardziej polecaną szkołą przygotowawczą w Anglii. Lord Leverstoke, Earl of Blackwater, Sir Cathcart Soames, wszyscy powierzali mi swoich synów. Ale wydawało mi się, że moja szkoła doszła do punktu największego rozkwitu, kiedy przed trzema tygodniami książę Holdernesie przysłał do mnie swego sekretarza mr. Jamesa Wildera z wiadomieniem, że zamierza oddać pod moją pieczę młodego lorda Saltire, dziesięcioletniego chłopca, swego jedynaka i spadkobiercę. Nie przypuszczałem wówczas, że będzie to prolog do nieszczęścia, druzgoczącego moje życie.

— Dnia 1 maja — ciągnął dalej dr Huxtable — na początku kursu letniego przybył chłopiec do zakładu. Był to zachwycający młody człowiek; niebawem czuł się u nas zupełnie jak we własnym domu. Mogę jeszcze dodać — a sądzę, że nie popełnię przez to niedyskrecyi, zwłaszcza, że częściowe zwierzenia w podobnych wypadkach są absurdem — mogę więc dodać, że chłopiec nie był szczęśliwy w rodzicielskim

zamku. Jest to publiczną tajemnicą, że pożycie dostojnej pary książęcej było bardzo niezgodne i że cała sprawa zakończyła się wreszcie rozwodem na podstawie obopólnej umowy, poczem księżna zamieszkała w południowej Francji. Stało się to na krótki czas przedtem, a wszyscy wiedzą, że chłopiec był ogromnie przywiązany do matki. To też po jej odjeździe z Holdernesse Hall popadł w melancholię i to było głównym powodem, dla którego ojciec postanowił umieścić go w moim zakładzie. Po czternastu dniach młody lord zaprzyjźnił się ze wszystkimi, zdawało się, że jest zupełnie szczęśliwy.

— Po raz ostatni widziano go dnia 13 maja, w nocy ubiegłego poniedziałku. Pokój jego znajdował się na drugim piętrze, wchodziło się do niego przez inną większą salę, gdzie spali dwaj uczniowie. Chłopcy ci ani nic nie widzieli, ani nie słyszeli, tak więc wydaje się wykluczonym, aby młody Saltire tą drogą wymknął się z zakładu. Okno pokoju było otwarte, tuż pod niem znajduje się silna krata, porośnięta bluszczem i sięgająca aż do ziemi. Nie znaleźliśmy wprawdzie przy ścianie śladów jego nóg, ale jest to niewątpliwie jedyne możliwe wyjście w tym wypadku. Nieobecność chłopca odkryto we wtorek o godzinie 7 rano. Wychodząc, wdział zwykle ubranie szkolne, czarny tużurek i ciemno-szare spodnie. Oczywiście nie może być mowy o tem, aby ktoś obcy wszedł do pokoju, jest też abso-

lutnie pewnem, że nie slyszano ani krzyków, ani odgłosów jakiejś walki; Caunter, starszy z chłopców, sypiających w pokoju obok, ma sen ogromnie lekki i byłby się był natychmiast zbudził.

— Kiedy dowiedziałem się o zniknięciu lorda Saltira, przeczytałem natychmiast spis nazwisk członków całego zakładu: uczniów, nauczycieli i służby. Otóż stwierdziliśmy, że lord Saltire nie uciekł sam jeden. — Równoczenie z nim zniknął niemiecki nauczyciel, Heidegger. Jego pokój znajdował się również na drugim piętrze, ale na najdalszym końcu domu, chociaż po tej samej stronie, co pokój młodego lorda. I on widocznie położył się do łóżka, bo pościel była zgnieciona; okazało się też, że wyszedł z domu nie zupełnie ubrany, koszula i skarpetki leżały na ziemi przy łóżku. Nie ulega wątpliwości, że spuścił się na dół po kracie z bluszczem, można było dokładnie rozróżnić ślady jego stóp na murawie przed domem. Rower, umieszczony w drewnianej budce obok trawnika, zabrał ze sobą.

— Profesor Heidegger — kończył dr Huxtable — był w moim zakładzie już od dwóch lat, miał jak najlepsze świadectwa. Ale był to człowiek milczący, zamknięty w sobie i dlatego nie cieszył się sympatją ani w kole innych nauczycieli, ani wśród uczniów. Nie udało nam się odnaleźć żadnego śladu zbiegów i dzisiaj, we czwartek, wiemy o nich tak samo niewiele, jak wiedzieli-

śmy we wtorek. Oczywiście pojechałem natychmiast do Holderness Hall, oddalonego tylko o kilka mil, sądziłem bowiem, że chłopiec wskutek nagłego uczucia tęsknoty za domem rodzinnym powrócił do ojca. Ale tam nie wiedziano o niczem. Książę jest strasznie oburzony; co się mnie tyczy, widziałeś pan sam przed chwilą ten stan nerwowego wyczerpania, którego powodem stało się poczucie niepewności i ciężącej na mnie odpowiedzialności. O, mr. Holmes, jeżeli kiedykolwiek nie wahałeś się wyteńczyć wszystkich sił dla wykrycia prawdy, to błagam cię, abyś to teraz uczynił. Bo w ciągu całego życia nie spotkasz wypadku, któryby bardziej na to zasługiwał.

Sherlok Holmes słuchał z nadzwyczajnem zajęciem sprawozdania tego nieszczęśliwego dyrektora. Ściągnięte brwi, głęboka zmarszczka między nimi wskazywały wyraźnie, że nie potrzebował wezwania i zachęty, aby skoncentrować całą swą uwagę na ten problem, który pomijając już związane z nim ogromne zyski finansowe, tak silnie działać musiał na jego miłość do spraw skomplikowanych i niezwykłych. W ciągu opowiadania wyjął z kieszeni notatnik i zapisał jedną czy dwie uwagi.

— Jest to wielka opieszałość ze strony pana, że wcześniej nie zwróciłeś się do mnie o pomoc, — rzekł bardzo surowo. — Wskutek tego będę miał wiele trudności do zwalczenia zaraz przy rozpoczęciu śledztwa. Bo naprzykład wydaje mi się

całkiem niemożliwym, aby z tej kraty bluszczowej i z tego podeptanego trawnika doświadczony znawca i obserwator nie mógł nic wyczytać. — Oczywiście dzisiaj zapóźno już na to.

— Przyjmuję nagane, mr. Holmes, chociaż nie poczuwam się do winy. Jego wysokość chciała za każdą cenę uniknąć skandalu. Książę obawiał się, że jego nieszczęście rodzinne stanie się dla świata tematem plotek i domysłów, a zawsze żywił do tego głęboki wstręt.

— A przecież odbyło się już śledztwo, prowadzone przez urzędników policyjnych?

— Tak jest, mr. Holmes. I dało nawet zrazu bardzo pocieszające rezultaty. Punkt wyjścia znalazł się natychmiast, ponieważ doniesiono nam, że widziano jakiegoś chłopca w towarzystwie starszego mężczyzny, którzy bardzo wczesnym porannym pociągiem odjechali z pobliskiej stacyi. Ale wczoraj otrzymaliśmy wiadomość, że odszukano tych nieznajomych w Liwerpolu i że z naszą sprawą nie pozostają w żadnym związku. Są to ludzie zupełnie obcy. Zrozpaczony niepowodzeniem, cierpiąc strasznie wskutek tej nieszczęśliwej tajemnicy, postanowiłem po nieprzebranej nocy najpierwszym pociągiem udać się wprost do pana i błagać, abyś zechciał dopomóc nieszczęśliwemu człowiekowi.

— Domyślałem się, że badania na miejscu zarzucono zupełnie, kiedy policya wpadła raz na trop fałszywy.

— Nikt ani nie pomyślał o dalszem prowadzeniu śledztwa, wszyscy byli najmocniej przekonani, że sprawa jest na dobrej drodze.

— Oczywiście. I w ten sposób zmarnowano trzy dni. Prawdę mówiąc, nie można było bardziej powikłać wszystkiego i gorzej sprawy poprowadzić.

— Rozumiem to i przyznaję. Niestety zbyt późno doszedłem do tego przekonania.

— Ale nie trzeba jeszcze tracić nadziei; rozwiązanie problemu nie jest niemożliwe. I bardzo się cieszę, że będę się mógł zająć tą sprawą. Lecz proszę pana jeszcze o kilka wyjaśnień. Czy nie stwierdziłeś pan przypadkiem, aby między tym niemieckim nauczycielem a zaginionym chłopcem istniał jakiś stosunek przyjaźni lub zaufania?

— Absolutnie żaden.

— Czy nauczyciel udzielał lekcji w klasie, do której chodził młody lord?

— Nie. O ile wiem, a zdaje mi się, że się nie mylę, chłopiec nie mówił nigdy z tym nauczycielem.

— To bardzo ciekawe. A czy lord Saltire posiadał także rower?

— Nie.

— Więc może brakuje w zakładzie jakiegoś innego roweru?

— Nie.

— Czy jesteś pan tego pewien?

— Najzupełniej.

— Zadziwiająco. Nie przypuszczasz pan chyba na seryo, aby ten nauczyciel niemiecki odjechał w nocy na swoim rowerze, trzymając chłopca na ramionach?

— Ani nie pomyślałem o tem.

— Więc jakąż utworzyłeś pan sobie teorię, która mogłaby wytłómaczyć to zniknięcie?

— Sądzę, że zabranie roweru mogło mieć tylko na celu wprowadzenie pościgu na trop fałszywy. Można było rower ukryć gdzieśkolwiek, a obaj uciekający poszli pieszo.

— Zapewne, tak możnaby to tłómaczyć, ale byłby to z ich strony bardzo niedorzeczny pomysł; jak pan sądzi? Wszak w szopie było jeszcze więcej rowerów?

— O tak, było ich kikanaście.

— Więc czy pan nie sądzi, że gdyby nauczyciel chciał być obudzić podejrzenia, iż uciekli na rowerach, byłby zabrał jeszcze jeden rower, a potem ukrył oba?

— Zdaje mi się, że byłby chyba tak postąpił, a nie inaczej.

— Niewątpliwie; tu dwu zdań mieć nie można. Ale wobec tego niema też mowy o teorii wprowadzenia na fałszywy trop. Mimo to jednak ta historia z rowerem jest nieocenionym punktem wyjścia całego naszego śledztwa. Prócz tego ma i inne dobre strony: rowerem nie można tak łatwo ukryć, ani zniszczyć, jakby się mogło

wydawać. Ale jeszcze jedno pytanie: Czy w przed-
dzień ucieczki odwiedzał kto młodego lorda?

— Nie.

— Czy otrzymał jaki list?

— Tak jest, mr. Holmes.

— Czy wiadomo panu, od kogo ten list po-
chodził?

— Od Jego Książęcej Mości.

— Czy otwierasz pan listy przychodzące do
uczniów zakładu?

— Nie.

— Więc jakże możesz pan wiedzieć, że list
ten pochodził od ojca młodego księcia?

— Na pieczęci był wyryty herb książy, adres był napisany dobrze mi znanem, chara-
kterystycznym pismem księcia. Oprócz tego
książe przypomina sobie dokładnie, że właśnie
w ten dzień wysłał list do syna.

— Czy poprzednich dni chłopiec odbierał ja-
kie listy?

— Żadnych, o ile sobie przypominam.

— A czy otrzymywał kiedy listy z Francyi?
To bardzo ważne.

— Nie, nigdy.

— Oczywiście pojmujesz pan do czego zda-
ją wszystkie moje zapytania. Albo chłopca
uprowadzono przemocą, albo też uciekł dobro-
wolnie. Ale jeżeli uciekł dobrowolnie, musiał
mieć do tego jakąś podniętę, inaczej nie zdecy-
dowałby się na to, nie uczyniłby tego bez po-

wodu. To przecież zupełnie zrozumiałe. Skoro zaś nikt go nie odwiedzał, więc zachęta do ucieczki, namowa musiała nadejść listownie. I dlatego tak mi zależy na tem, aby się dowiedzieć, kto korespondował z chłopcem w ostatnim czasie.

— Obawiam się, że w tej kwestyi nie bardzo zdołam panu dopomóc. O ile wiem, listy, jakie otrzymywał, pochodziły tylko od ojca, poza tem od nikogo innego.

— I, jak pan mówileś, właśnie w dzień ucieczki otrzymał list od niego. Czy stosunek ojca do syna był bardzo przyjacielski?

— Książęca Mość nikomu nie okazuje nigdy zbytnej laskawości. Książę zanadto jest zajęty wielkimi, publicznymi sprawami, wskutek czego zwyczajne uczucia ludzkie prawie nie mają przystępu do jego serca. Mimo to jednak zawsze obchodził się z chłopcem bardzo łagodnie, chociaż na swój sposób.

— Ale sympatyje młodego lorda skłaniały się raczej ku matce?

— Tak jest.

— Czy mówił to wyraźnie?

— Nie.

— Więc sam książę...?

— Ależ nie, jakże możnaby nawet przypuścić, aby książę wtajemniczał mnie w takie prywatne sprawy.

— Jakimże zatem sposobem mogłeś się pan o tem dowiedzieć?

— Kilkakrotnie rozmawiałem bardzo poufnie z sekretarzem Książęcej Mości, z panem Jamesem Wilderem. On to dał mi dość szczegółowe informacje o życiu, upodobaniach i sympatyach lorda Saltira.

— Tak. Toby mi wystarczyło. Ale jeszcze jedno: czy ostatni list księcia do syna znaleziono może w pokoju chłopca?

— Nie, chłopiec zabrał go widocznie. — Mr. Huxtable spojrział nagle z niepokojem na zegarek. — Ale zdaje mi się, mr. Holmes, że już czas, abyśmy ruszyli na dworzec Euston.

— Każę przywołać dorożkę — odparł Holmes — za kwadrans będziemy panu służyć. Dobrzeby też było, jeżeli zamierzasz pan wysłać telegram do domu, mr. Huxtable, abyś mieszkańców zakładu i okolicznych sąsiadów pozostawił w przekonaniu, że poszukiwania odbywają się jeszcze w Liwerpoolu, albo gdziekolwiek indziej. Tymczasem spokojnie będę się mógł zająć pracą w pańskim własnym domu. A kto wie; może ślady nie są jeszcze tak zatarte, aby dwóch starzych, wytrawnych wyźłów, jak Watson i ja, nie mogło już nic wywęszyć.

Tego samego jeszcze wieczora oddychaliśmy świeżem, wzmacniającem powietrzem północnej Anglii w okolicy, gdzie się znajduje słynna szkoła Dra Huxtable. Było już późno wieczorem, kiedy przybyliśmy na miejsce. Na stole w hali parterowej leżał bilet wizytowy; nadbiegający

służący zaczął coś szeptać do ucha pana domu, poczem Dr Huxtable zwrócił się ku nam nagłym ruchem z widocznym wzruszeniem.

— Książę i mr. Wilder są w mojej pracowni. Jeżeli panowie pozwolą, przedstawię was zaraz Książęcej Mości. Chodźmy na górę.

Znałem oczywiście niejednego portret słynnego dyplomaty, mimo to jednak nie łatwo było sobie go wyobrazić, bo rysy księcia różniły się znacznie od tych portretów. Był to smukły, poważnie wyglądający mężczyzna, bardzo starannie ubrany, twarz miał podłużną, chudą, nos orli, zanadto długi, prawie groteskowy. F rwa twarzy była trupio blada, a wydawała się jeszcze bledsza wskutek kontrastu z długą, ostro przyciętą, ognisto rudą brodą, która spływała na białą kamizelkę, ozdobioną tylko łańcuszkiem od zegarka, przeciągniętym przez środek. Stojąc na dywanie przed kominkiem, książę wyglądał jak posąg kamienny. Kiedy weszliśmy do pokoju, spojrzał na nas zdziwionym, nawpół objętym wzrokiem. Przy nim z boku stał młody człowiek; przypuszczałem, że jest to mr. James Wilder, prywatny sekretarz księcia. Był niski, nerwowy, pełen życia, miał inteligentne, jasno-niebieskie oczy i ruchliwe rysy twarzy. On to rozpoczął rozmowę zdecydowanym, stanowczym tonem.

— Przybyłem dzisiaj rano trochę za późno, doktorze Huxtable, aby powstrzymać pana od tej zamierzonej podróży do Londynu. Dowie-

działem się bowiem, że postanowiłeś pan udać się do mr. Sherlocka Holmesa i prosić go, aby objął kierownictwo śledztwa. Jego Książęca Mość, doktorze Huxtable, był przerażony, że ośmieliłeś się pan uczynić taki krok, nie zasiągnąwszy pierwszej rady.

— Skoro się dowiedziałem, że usiłowania policyi nie odniosły żadnego skutku... — tłómaczył się zakłopotany dyrektor.

— Jego Książęca Mość nie sądzi bynajmniej, aby policyi nie udało się osiągnąć żadnych rezultatów. Przeciwnie...

— Ależ doprawdy mr. Wilder...

— Wszak wiesz pan chyba, doktorze Huxtable, jak Jego Książęcej Mości zależy na tem, aby uniknąć wszelkiego skandalu. Właśnie dlatego starał się, aby jak najmniej osób wtajemniczać w tę sprawę.

— Złe można każdej chwili bardzo łatwo naprawić — usprawiedliwiał się drżącym głosem dyrektor — mr. Holmes może przecież powrócić do Londynu pierwszym pociągiem, który odchodzi ze stacyi.

— W to bardzo wątpię — odparł Holmes głosem uprzejmym aż do przesady. — To północne powietrze jest tak wspaniałe i przyjemne. Skoro tu już jestem, skorzystam ze sposobności i przepędzę dni kilka wśród tych torfowisk. Zająęcia z pewnością mi nie braknie. Oczywiście zależy to zupełnie od pańskiej dobrej woli, czy

znajdę gościnię pod pańskim dachem, czy też poszukam jej w domu zajezdnym.

Widziałem, jak nieszczęśliwy dyrektor wil się niespokojnie, nie wiedząc, jak ma postąpić. Dopiero głęboki, stentorowy głos rudobrodego księcia, brzmiący jak tam-tam, wzywający gości na obiad, wyratował go z tego kłopotliwego położenia.

— Godzę się zupełnie na to, panie doktorze Huxtable, co powiedział przed chwilą mr. Wilder. Byłbyś pan postąpił daleko lepiej, gdybyś pan zapytał przedtem, jakie jest moje zdanie. Ale stało się. Teraz, skoro wtajemniczyłeś pan już mr. Holmesa w całą sprawę, byłoby w istocie niedorzecznością, gdybyśmy nie skorzystali z jego laskawej ochoty, niema też żadnego powodu, mr. Holmes, abyś pan szukał gościny w niewygodnym zajeździe, przeciwnie, cieszyłbym się bardzo, gdybyś zechciał zamieszkać u mnie w Holderness Hall.

— Dziękuję bardzo Waszej Księżęcej Mości — odparł Holmes. — Sądzę jednak, że korzystniej będzie ze względu na cel mojego badania, abym pozostał na miejscu wypadku.

— Zależy to wyłącznie od pańskiej woli, mr. Holmes. Poza tem i mr. Wilder i ja gotowi jesteśmy służyć panu każdą informacją, jakiejbyś pan potrzebował.

— O, prawdopodobnie będę zmuszony odwiedzić w tym celu księcia pana — rzekł Holmes. — Tymczasem chciałbym tylko zapytać, czy

i w jaki sposób tłómaczy ksiązę pan to dziwne zniknięcie syna.

— Jest to dla mnie sprawa wprost nie możliwa do wytłómaczenia.

— Wybacz ksiązę pan, że potrącę pewną strunę, która może księciu panu nie będzie przyjemną, ale, niestety, jest to bardzo ważne i nie mam innego sposobu dowiedzenia się o tem. Czy ksiązę pan sądzi, że księżna ma w tem coś wspólnego, że może przyłożyła do tego rękę?

Wielki minister drgnął nerwowo i zwlekał z odpowiedzią.

— Zdaje mi się, że o tem nie może być mowy, — rzekł wreszcie.

— Prócz tego możnaby kwestyę wytłómaczyć jeszcze w inny sposób, także dosyć prawdopodobny, mianowicie, że porwano dziecko, aby wymusić okup. Czy nie stawiano księciu panu podobnej propozycyi?

— Nie, panie.

— Jeszcze jedno pytanie ośmielę się zadać Waszej Książęcej Mości. Słyszałem, że ksiązę pan pisał do syna w tym samym dniu, kiedy się zdarzył ten wypadek.

— Nie, pisałem list dzień przedtem.

— Oczywiście, ale właśnie owego dnia otrzymał ten list.

— Tak jest.

— Otóż czy było może w tym liście coś ta-

kiego, co mogłoby wytrącić go z równowagi, albo też nakłonić go do popełnienia tego czynu.

— Nie, panie, z wszelką pewnością.

— A czy książę pan sam oddał ten list na pocztę? — pytał dalej Holmes.

Zanim książę mógł odpowiedzieć, sekretarz jego wtrącił się do rozmowy i zawołał z pewnem poruszeniem:

— Jego Książęca Mość nie zwykł sam odnosić listów na pocztę. List ten został położony wraz z innymi na biurku w kancelaryi, a potem ja sam wrzuciłem wszystkie do skrzynki pocztowej.

— Czy jesteś pan pewny, że i ten list był między oddanemi na pocztę?

— Tak jest. Zauważyłem go.

— Ile listów napisał książę pan w tym właśnie dniu?

— Dwadzieścia a może i trzydzieści, prowadzę bardzo ożywioną korespondencyę. Ale to przecież nie może mieć w danym wypadku żadnego znaczenia?

— Nie zupełnie! — odparł Holmes.

— Co do mnie — mówił dalej książę — poleciłem urzędnikom policyjnym, aby zwrócili baczną uwagę na południową Francyę. Wprawdzie, jak już mówiłem, nie sędzę, aby księżna ośmieliła się przedsięwziąć coś tak niesłychanego. Ale chłopiec miał zupełnie przewrócone w głowie, więc bardzo jest możliwe, że uciekł do niej z po-

mocą i z namowy tego niemieckiego nauczyciela. A teraz, doktorze Huxtable, zdaje mi się, że czas już, abyśmy powrócili do zamku.

Wiedziałem, że było jeszcze wiele pytań, które Holmes chętnie byłby postawił, ale stanowcze odezwanie się księcia wskazywało aż nazbyt wyraźnie, że rozmowa skończona. Zresztą nie można się było dziwić. Dla tej wybitnej, arystokratycznej natury musiało być bardzo nieprzyjemnem wtajemniczać obcego człowieka w najbardziej prywatne sprawy rodzinne; obawiał się może, że jakieś nowe pytanie mogłoby rzucić jeszcze silniejsze światło na dyskretnie tajniki dziejów książęcego rodu.

Skoro tylko wyszedł z sekretarzem z pokoju i wsiadał do powozu, przyjaciel mój, z charakterystycznym dla jego istoty zapalem, zajął się natychmiast badaniem. Najpierw przeszukaliśmy i zbadali dokładnie pokój chłopca. Rezultat był tylko jeden, absolutna pewność, że ucieczka nastąpiła przez okno. Pokój niemieckiego nauczyciela i znajdujące się w nim przedmioty nie dały nam żadnego punktu oparcia. W jednym miejscu krata z bluszczem złamała się widocznie pod ciężarem jego ciała, przy świetle latarni widzieliśmy na trawniku odcisnięte ślady jego stóp. Ten odcisk na zielonej, krótko strzyżonej murawie był jedynem naocznem świadectwem tej trudnej do wytlómaczenia, nocnej ucieczki. Poza tem nie zostało po niej ani śladu.

Następnie Sherlock Holmes wyszedł z domu; powrócił dosyć późno, bo dopiero około północy. Postarał się gdzieś w okolicy o wielką mapę sztabu jeneralnego, przyniósł ją do mojego pokoju, rozłożył na łóżku, nad nią na środku umieścił lampę, potem zapalił spokojnie fajkę, rozpatrywał się w mapie, kiedy niekiedy dymiącym bursztynem fajki wskazywał mi szczególnie interesujące linie.

— Jeżeli mam prawdę powiedzieć, kochany Watsonie — rzekł — ta sprawa przerasta niemal moje siły. Ma ona jednak bezwarunkowo kilka nadzwyczaj zajmujących punktów. W tym krótkim przeciągu czasu, odkąd tu przybyliśmy, zdołałem się już po części zorientować w szczegółach geograficznych, które dla naszego badania są niezmiernie ważne, i które się nam bardzo mogą przydać. Spójrz na tę mapę. Ten czarny czworobok, to zakład wychowawczy naszego doktora. Wbijam tu szpilkę. Patrzmy dalej: ta linia przedstawia główną drogę, jak widzisz, okrąża ona zakład ze strony wschodniej i zachodniej, widać też wyraźnie, że droga na przestrzni przeszło jednej mili niema żadnej odnogi. Jeżeli więc nasi zbiegowie poszli traktem rządowym, musieli iść tą właśnie drogą, a nie inną.

— Tak, to zupełnie zrozumiałe.

— Ale nie koniec na tem. Wskutek szczęśliwego zbiegu okoliczności możemy aż do pewnej granicy stwierdzić dokładnie, co się działo

wzdłuż tej drogi owej nocy, kiedy nastąpiła ucieczka. W tym punkcie, gdzie obecnie oparłem fajkę, stał na straży policyjant od godziny 12 w nocy do 6 rano. Jak widzisz, w tem miejscu jest pierwsze skrzyżowanie drogi. Otóż człowiek ten twierdzi stanowczo, że podczas całego trwania służby ani na chwilę nie opuścił posterunku i jest absolutnie przekonany, że gdyby tamtędy szedł jakiś chłopiec czy mężczyzna, musiałby ich być widzieć. Rozmawiałem dzisiaj wieczorem z tym policyjantem i o ile mi się zdaje, można mu zupełnie zawierzyć. W ten sposób ta strona drogi byłaby zamknięta i wykluczona z naszego badania, chodzi teraz o drugą stronę. W tem miejscu — Holmes wskazał znowu na mapę — znajduje się gospoda «Pod czerwonym bykiem». Owej nocy gospodyni była chora. Posłano więc po lekarza do najbliższego miasteczka, do Mackleton, ale lekarz przybył dopiero rano, ponieważ musiał przez noc czuwać przy innym chorym. Wskutek tego służba w gospodzie i rodzina chorej gospodyni nie spali przez całą noc, czekając na jego przybycie; co chwilę ten lub ów wychodził przed dom i patrzył na drogę, czy lekarz nie przyjeżdża. Oświadczają oni, że nie widzieli, aby ktośkolwiek przechodził drogą w ciągu nocy.

Jeżeli świadectwo ich można uważać za wiarygodne, w takim razie moglibyśmy szczęśliwie wykluczyć z naszego śledztwa i tę część drogi,

czyli innemi słowy oprzeć się na tem przekonaniu, że uciekający wogóle nie poszli drogą bitą.

— No, a jakże wytłómaczyć kwestyę roweru — wtrąciłem.

— Oczywiście, pytanie to musi się nasunąć i zaraz się niem zajmniemy. Ale przedewszystkiem rozumiemy dalej w rozpoczętym kierunku.

Skoro więc zbiegowie nie poszli rządowym traktem, musieli przeciąć teren na południe, lub na północ od zakładu wychowawczego.

To nie ulega wątpliwości. Rozważmy więc kolejno oba możliwe wypadki. Na południe od domu znajduje się, jak widzisz, wielki szmat ziemi uprawnej, pociętej miedzami na drobne części, otoczone tu i owdzie kamiennem oparkaniem. Przyznaję, że przejechać tędy rowerem niemożna; wynika stąd, że tę myśl trzeba zupełnie usunąć z rachuby. Pozostaje więc tylko teren północny i nim trzeba się zająć dokładniej. Przypatrzmy się mu. Tutaj oto leży lasek, nazwany na mapie »Żebracze drzewo«, dalej na ogromnej przestrzeni rozciąga się torfowisko w części tak bagniste, że ziemia usuwa się z pod nóg; nazywa się ono Lower-Gill, obejmuje przeszło dziesięć mil kwadratowych, a wreszcie powolnie przechodzi w teren pagórkowaty. Tutaj, od strony tych lasów, jest Holdernes Hall; odległość od zakładu dra Huxtable do zamku, wynosi rządowym traktem dziesięć mil drogi; przez torfowisko dostać się tam można szybciej,

odległość jest nie większa jak sześć mil. Jest to przestrzeń wyjątkowo pusta. Kilku osadników, kopiących torf, dzierżawi tam małe parcele, na których hodują owce lub bydło rogate. Poza tem jedynemi istotami, zamieszkującemi tę okolice są ptaki wodne. Pustkowie ciągnie się aż do traktu rządowego, prowadzącego do Chesterfield. Jak widzisz, jest w tem miejscu kościółek, kilka małych domów i gospoda. Zaraz obok zaczynają się strome wzgórza. Tam więc przede wszystkim musimy jutro rozpocząć nasze poszukiwania.

— Ale kwestya jazdy rowerem nie da się w ten sposób wytłomaczyć — powtórzyłem z uporem.

— No, no, przesadzasz, mój drogi — odparł niecierpliwie Holmes. — Dobry jeździec nie musi koniecznie jechać po bitej drodze, zresztą na torfowisku jest dosyć ścieżek, a nie trzeba zapominać, że księżyc świecił i noc była bardzo jasna. Hola! a to co znowu?

Usłyszeliśmy nagle niecierpliwe kołatanie do drzwi, w chwilę później wszedł do pokoju Dr. Huxtable. W rękę trzymał niebieską czapeczkę, używaną przy grach na wolnem powietrzu, z białą odznaką.

— No, nareszcie mamy jakiś punkt oparcia! — zawołał ze wzruszeniem. — Dzięki Bogu trafiliśmy na ślad tego kochanego chłopca; oto jego czapka.

— Gdzie ją znalezione?

— W wozie cyganów, którzy w ostatnich dniach obozowali na torfowisku. We wtorek wynieśli się stąd chyłkiem, dzisiaj dopiero odszukała ich policya i przeprowadziła dokładną rewizyę. Przy tej sposobności znalezione czapeczkę młodego lorda.

— Czy wyjaśnili w jaki sposób dostała się w ich posiadanie?

— Próbowali się wykręcać, klamać. Twierdzili mianowicie, że znaleźli ją we wtorek rano przypadkiem na torfowisku. Ale te lajdaki z pewnością wiedzą, gdzie się chłopiec znajduje. Dzięki Bogu, wszyscy siedzą już w więzieniu, zamknięci na dziesięć rygli. Ale obawa przed karzącą sprawiedliwością, albo sakiewka księcia, otworzą im już usta; pierwszej czy później poznają wszystko, co wiedzą.

Doktor rozmawiał jeszcze z nami przez chwilę, potem wyszedł z pokoju.

— I to dobre — zauważył Holmes, gdy się drzwi zamknęły. — Przynajmniej potwierdza to teorię, że powinniśmy szukać tylko w stronie torfowiska Lower-Gill, aby osiągnąć jakieś rezultaty. Policya, prawdę mówiąc, nie zrobiła dotąd absolutnie nic, z wyjątkiem uwięzienia tych cyganów. Ale powróćmy do naszej teorii. Otóż w tem miejscu, jak widzisz Watsonie, torfowisko jest przecięte strumieniem. Na mapie zaznaczono wyraźnie bieg tej rzeczki, widać

też, że gdzieś rozszerza się w moczary, zwłaszcza na linii między zakładem a Holder-nesse Hall. Od kilku dni panują upały, więc daremnie byłoby szukać śladów, tylko w tem jednym miejscu mogły pozostać i tam właśnie mam nadzieję je znaleźć. Obudzę cię wczas rano, spróbujemy obaj rozświetlić nieco tę dziwną tajemnicę.

Dzień ledwie świtał, kiedy się przebudziłem i ujrzałem przy łóżku długą, chudą postać Hol-mesa. Był zupełnie ubrany, o ile się zdawało, wychodził już nawet z domu.

— No, więc załatwiłem już trochę — rzekł. — Zbadałem dokładnie trawnik, szopę drewnianą, gdzie są umieszczone rowery, przeszedłem się nawet do lasku. A teraz wstawaj i ubieraj się szybko. Obok w pokoju przygotowano już śniadanie, zjedz i ruszamy w drogę, czeka nas bowiem dzisiaj długa i żmudna praca.

Oczy jego błyszczały gorączkowo, policzki były zarumienione radością mistrza, który widzi, że wszystko jest gotowe do wykonania wielkiego dzieła. Zawsze dziwiłem się tej zmianie. Ten tryskający energią, ruchliwy, niecierpliwy człowiek, był zupełnie niepodobny do zamkniętego w sobie, bladego marzyciela z Bakerstreet. Czulem też, patrząc na tę giętką postać, pełną życia, temperamentu i nerwowości, że dzień rzeczywiście będzie pracowity.

A jednak rozpoczął się najstraszniejszym roz-

czarowaniem. Ożywieni dumną nadzieją zwycięstwa, kroczyliśmy przez brunatne, uginające się pod nogami torfowisko, pokrzyżowan tysiącem ścieżek, wydeptanych przez owce. wreszcie doszliśmy do szerokiego, jasno-zielonego pasa, oddzielającego nas od Holdernesse, do moczar. Nie ulegało wątpliwości, że chłopiec musiał przechodzić przez moczar, jeżeli szedł ku rodzicielskiemu domowi, a jeżeli przechodził, w takim razie musiał pozostawić ślady. Niestety, szukaliśmy ich daremnie. Ani chłopiec, ani niemiecki nauczyciel nie zostawili żadnego znaku swej obecności. Przyjaciel mój szedł zasępiony brzegiem moczar, gorliwie i uważnie się przyglądając wszystkim szlamowatym plamom na bagnistej powierzchni. Śladów owiec było tam wiele, w pewnym miejscu, o kilka mil dalej, pozostały także krowy odciski nóg, nic więcej.

— Niepowodzenie numer pierwszy! — rzekł Holmes, patrząc posepnie na uginające się pod stopami trzęsawisko. — Ale tam widzę jeszcze drugi moczar, między obydwoma znajduje się wążki pasek twardego gruntu. Hola, hola, hola! a to co znowu?

Stanęliśmy na wążkiej, czarnej ścieżce, środkiem jej biegła wyraźnie wyciśnięta na błotnistej ziemi linia kół roweru.

— Hurra! — zawolałem z radością — otc jesteśmy na tropie!

Ale Holmes nie podzielał mojego zachwyty;

wstrząsnął z niedowierzaniem głową, na twarzy jego malowało się raczej zakłopotanie i niepewność niż radość.

— Tak, tak — mówił powoli. — To ślady roweru, nie ulega wątpliwości, ale niestety nie tego roweru, którego szukamy. Znam około czterdzieści dwie firm, wyrabiające rowery i wiem, jakie każdy system zostawia ślady od kół. To jest, jak łatwo rozpoznać, system Dunlop z pneumatykiem poprzecznie na zewnątrz karbowanym. Nasz nauczyciel mr. Heidegger miał rower systemu Palmers, który pozostawiłby podłużne kreski jako ślad. Tak więc pewnem jest, że nie są to ślady niemieckiego nauczyciela.

— A więc jeżeli nie nauczyciela, to może chłopca — zawołałem.

— To nie jest wykluczone, ale, aby to przypuścić, musielibyśmy wpierw udowodnić, że chłopiec miał rower do rozporządzenia. Niestety, dotąd wszystko przemawia przeciwko temu. Bądź co bądź, jak widzisz, ślady te pozostawił człowiek, który jechał w kierunku od zakładu dra Huxtable.

— Albo też w stronę szkoły.

— Nie, nie, tu pomylić się nie można, mój drogi Watsonie. Głębszy odcisk na ziemi pochodzi oczywiście od koła tylnego, na którym opiera się ciężar jadącego. Możesz tu zauważyć kilka miejsc, gdzie tylne koło przeszło torem przedniego i zatarło płytsze ślady. — Tak więc ja-

dący przybywał bezwarunkowo od strony szkoły. Nie wiem, czy rower ten stoi w jakim związku z naszą sprawą i z naszym badaniem, w każdym jednak razie przyjrzyjmy się trochę jego kierunkowi, zanim opuścimy te miejsca.

Zgodziłem się na jego projekt i zaczęliśmy iść za śladem, lecz, wyszedłszy z bagnistej części łąki, wnet straciliśmy go z oczu. Teraz szliśmy dalej ścieżyną i zatrzymaliśmy się dopiero w miejscu, gdzie ją przecinało źródło, rozlewające się w kałużę. Tutaj znowu widać było ślad roweru, aczkolwiek prawie zupełnie zatarty kopytami bydła. Linia, wyciśnięta przez koła, urywała się tu zupełnie, ścieżka zaś zwracała się prosto ku małemu gaikowi, zakrywającemu tyły zakładu wychowawczego Dra Huxtable. — Rower bez wątpienia musiał wyjechać z tych właśnie za- rośli.

Sherlok Holmes usiadł na przydrożnym kamieniu, podparł brodę rękami i zamyślił się głęboko. Stałem obok niego, nie mówiąc ani słowa. Milczenie trwało długo. Wypaliłem dwa papierosy, zanim Holmes ruszył się i dał znak życia.

— Tak, tak — przemówił wreszcie, jak gdyby nawpół do siebie — i to byłoby możliwe, że sprytny człowiek zmienił pneumatyki kół, aby pozostawić ślady, wprowadzające w błąd najprzebieglejszych wyżłów policyjnych. Ale gdyby to było prawdą, to byłbym dumny, że mogę się zmierzyć ze zbrodniarzem, który jest zdolny do

podobnych pomysłów... Tymczasem jednak zastanawianie się nad tą kwestyą nie da żadnego wyniku, dlatego też wróćmy raczej na nasze bagnisko, bo czeka nas jeszcze wiele pracy; trzeba je całe zbadać dokładnie.

Rozpoczęliśmy więc znowu systematyczne badanie krok za krokiem całego brzegu bagnistej części torfowiska. Usilna nasza praca wnet zdobyła nagrodę. — Jedno z głębszych i szerszych miejsc bagna przecinała błotnista droga. Kiedy zbliżyliśmy się do niej, Holmes spojrział i wydał nagle okrzyk radości.

Przez środek drogi widać ślad, niby wiązka drutów telegraficznych. To był pneumatyk systemu Palmers.

— Otóż i pan nauczyciel! — zakrzyknął Holmes tryumfującym głosem. — Zdaje się, że wszystkie moje kombinacje były racjonalne i trafne; nieprawda, Watsonie!

— Mogę ci tylko powinszować powodzenia, mój drogi.

— Do ostatecznego jeszcze daleko, tak, jak daleką jest droga, którą jeszcze musimy przebyć. Ale, proszę cię, zejdź trochę na bok, pojedziemy powoli naprzód, śledząc uważnie trop. Tylko obawiam się, że nie zaprowadzi on nas bardzo daleko.

Szliśmy ciągle naprzód i przekonaliśmy się niebawem, że całą tę część torfowiska przecinały ciągle miejsca bardziej grzązkie. Tak więc,

choć w pewnych chwilach traciliśmy ślad z oczu, niedługo odnajdywaliśmy go znowu.

— Patrz, patrz — mówił Holmes, mając wzrok ciągle utkwiony w linię wyciśniętą kołami roweru — tu, w tem miejscu, jadący niewątpliwie zaczął przyspieszać szybkość jazdy. To widoczne i zupełnie zrozumiałe. Spójrz tylko na ten odcisk, w którym wyraźnie widać ślady obu kół: oba ślady są równie głębokie. Można to wytłómaczyć tylko w ten sposób, że jadący przeniósł ciężar swego ciała na kierownik i na koło przednie, jak to zawsze się dzieje, gdy chcemy szybciej jechać. Tam do diabła! A to co znowu? Przewrócił się?!

Ujrzelśmy szeroki, nieregularny pas błota, który na przestrzeni kilku stóp zupełnie zalewał ślady kół roweru. Dalej widać było odciski nóg w błocie, potem ślad roweru pojawiał się na nowo.

— Prawdopodobnie poślizgnął się i upadł — zawołałem.

Holmes, zamiast odpowiedzi, podniósł w górę zgniecioną gałąź jakiegoś kwitnącego krzewu. Z niezmiernem przerażeniem zauważyłem, że wszystkie liście były splamione krwią. Teraz dopiero zauważyłem także na samej ścieżce i wśród trawy moczaru dwie ciemne plamy rozlanej krwi.

— Bardzo źle — zawołał Holmes — bardzo źle. Mój drogi Watsonie, ani kroku naprzód, zejdź na bok, jak możesz najdalej, aby nie za-

trzeć żadnej linii. Można tu wyczytać dziwną historię. Upadł raniony w tem miejscu, potem podniósł się z ziemi, wsiadł znowu na rower i pojechał dalej. Więc cóż się stało? Przecież nie znać tu śladu innego człowieka! Bydło na ścieżce! Trudno przecież przypuścić, że został powalony rogami byka. To niemożliwe, absolutnie wykluczone. A jednak prócz niego nie było tu nikogo więcej. Musiałby był pozostawić ślady. Więc teraz naprzód Watsonie. Teraz mając za przewodnika ślady krwi i odcisk kół roweru, nie stracimy go już z oczu.

Poszukiwanie nasze nie trwało bynajmniej długo.

Ślady kół roweru zaczęły zataczać na mokrej i błyszczącej od wilgoci ścieżce coraz bardziej fantastyczne kęgi. Nagle, spojrzawszy przed siebie, dojrzałem błysk metalu w pośrodku gęstych zarośli. Wyciągnęliśmy z nich rower z pneumatykami systemu Palmers. Pedał był zgięty, cała przednia część straszliwie umazana krwią i błotem. Z przeciwnej strony zarośli widać było wystający but. Pobiegliśmy tam i oto leżał poszukiwany przez nas nieszczęśliwy jeździec. Był to smukły mężczyzna z pełną brodą, w okularach, jedno szkło było wybite. Przyczynę śmierci można było rozpoznać na pierwszy rzut oka.

Padł uderzony w głowę strasznym ciosem, który zdruzgotał nawet część czaszki. Że pomimo otrzymania takiej rany, potrafił się jesz-

cze zerwać z ziemi i próbował jechać dalej, to dowodziło tylko ogromnej energii życiowej i wielkiej odwagi tego człowieka. Na nogach miał, buty, wdziane wprost bez skarpetek, z pod rozpiętego surduta wyglądała nocna koszula.

Nie mogliśmy wątpić, że leży przed nami niemiecki nauczyciel, p. Heidegger.

Holmes obrócił ciało twarzą do góry, ostrożnie i ze czcią. Obejrzał je uważnie. Potem usiadł na ziemi i zamyślił się głęboko. Z wyrazu twarzy jego wywnioskowałem, że straszne to odkrycie nie bardzo posunęło naprzód nasze badania.

— Istotnie — rzekł — dość trudno wiedzieć co mamy obecnie począć z tym fantem. Co do mnie, pragnąłbym prowadzić śledztwo w dalszym ciągu. Straciliśmy już tyle czasu, że nie możemy dalej marnować ani jednej chwili. Z drugiej strony, obowiązkiem naszym jest zawiadomić policję o tem, cośmy odkryli, aby zajęto się ciałem tego biednego człowieka.

— Więc ja wrócę i dam znać.

— Jesteś mi tutaj potrzebny. Poczekajno. Widzisz tego chłopaka, co kraje torf? Zawołaj go i każ sprowadzić policję.

Za chwilę chłopak wiedział, gdzie ma się udać i nie bez strachu spełnił rozkaz Holmesa, udając się do dr. Huxtable.

Holmes wziął mnie za rękę.

— A teraz, mój drogi — rzekł — wiedz, że otrzymaliśmy dzisiaj dwa punkty oparcia. Jeden,

to rower, opatrzony pneumatykiem Palmera; oto do czego doszliśmy jego śladem. Drugim punktem jest drugi rower, z połatany pneumatykiem od Dunlopa. Zanim udamy się, gdzie nas zaprowadzi, spróbujemy zestawić wszystko, co się da wyciągnąć z dotychczas zebranych szczegółów. Znając je dokładnie i po porządku, potrafimy je wyzyskać, jak się da najlepiej. Do tego trzeba przede wszystkim oddzielić rzeczy istotne od nieistotnych. Nasamprzód wbij sobie dobrze w pamięć to, że chłopak bezwarunkowo musiał wydaleć się z zakładu dobrowolnie. Wyszedł oknem i uciekł albo sam, albo też z kimś jeszcze. To pewna.

Nie zaprzeczałem.

— Tak. A teraz zajmijmy się tym biedakiem nauczycielem. Chłopak był ubrany, wychodząc z zakładu, wiedział więc z góry, co będzie robił. Ale nauczyciel nie miał nawet skarpetek na nogach, działał przeto pod wrażeniem chwili, wybiegając na podwórze.

— Bez wątpienia.

— Dlaczego zatem wyszedł? Dlatego, że przez okno swojej sypialni zobaczył, jak malec ucieka. Chciał go dogonić i przyprowadzić z powrotem. Wsiadł na rower, gonił za chłopakiem i w tej pogoni zaskoczyła go śmierć. Oto wszystko.

— Takby się mogło zdawać.

— Teraz przechodzę do części krytycznej. Pierwszym odruchem działalności każdego czło-

wieka, byłoby tutaj pędzić za zbiegiem pieszo. Przecież wie on, że musi chłopaka w końcu dogonić, bo jest odeń starszy i wytrzymalszy. Ale nasz nauczyciel nie postąpił tak. Naprzód wziął rower. Mówiono mi, że był świetnym cyklistą. Nie postępowałby tak, nie brałby roweru, gdyby wiedział, że chłopak ucieka pieszo i może być dogoniony pieszo. Zatem młody książę musiał mieć jakiś środek lokomocyi, inny prócz własnych nóg.

— Bicykl... ten drugi bicykl?...

— Idźmy dalej w rekonstrukcyi. Człowiek ten znajduje śmierć o dziesięć kilometrów od zakładu. Ginie nie od kuli, która może paść z pistoletu, pozostającego w ręku chłopaka w danym razie. Ginie od straszego ciosu, zadanego potężnym ramieniem. A ucieczka była tak szybka, że świetny cyklista, jakim był ów Niemiec, dogonił uciekających dopiero na dziesiątym kilometrze od zakładu. Badając zaś grunt naokoło miejsca tragedyi, znajdujemy tylko ślady bydła, nie mniej i nie więcej. Szedłem daleko w koło. Na pięćdziesiąt kroków w promieniu niema tutaj żadnej ścieżki. Tamten drugi cyklista mógł nie mieć nic do czynienia z właściwym mordercą, zaś do koła niema żadnych śladów ludzkiej stopy.

— Ale to niemożliwe! — zawołałem.

— Bardzo dobra uwaga. To w istocie niemożliwe. Sam to właśnie stwierdzam raz jeszcze.

I dlatego mój sposób przedstawiania rzeczy musi być w jakimś punkcie fałszywy. Ale widziałeś sam wszystko. Gdzie tu może kryć się omyłka?

— A może nauczyciel rozłupał sobie czaszkę, upadając z roweru w pełnym biegu?

— Jakto na bagnie?

— W takim razie moja mądrość zupełnie wyczerpana.

— No, no, tylko nie rozpaczaj! Rozwiązywa-
liśmy już trudniejsze zagadki. Tu mamy przy-
najmniej bogaty materiał! Idzie tylko o to, aby
go wyzyskać, jak należy. Dlatego chodź teraz
za mną. Z Palmera wyciągnęliśmy już wszy-
tko, co się dało. Teraz musimy zobaczyć, co
nam da ów polatany Dunlop.

Stanęliśmy na tropie i poszliśmy po nim ka-
wał naprzód. Wkrótce jednak bagniska utwo-
rzyły wielki zakręt porosły zielskiem, a rze-
czulka pozostała za nami w tyle. Tu już nie
było żadnych śladów Dunlopa. Ostatni ślad,
z miejsca gdzie się gubił, mógł prowadzić zaró-
wno do Holdernesse Hall, którego wieżyce wi-
dzieliśmy na lewo o parę mil w oddali, albo też
do malej, szarej wioseczki, która leżała naprze-
ciw nas, przy drodze do Chesterfield.

Zbliżyliśmy się do brudnego, szkaradnego za-
jazdu, który nad drzwiami miał szyld w postaci
koguta. Holmes jęknął nagle i uchwycił mnie
konwulsyjnie za ramię, aby uchronić się przed
upadkiem. Zwicchnął nagle nogę w kostce. Był

też odrazu bezsilny. Zaledwie dowlókl się do drzwi, w których stał jakiś starszy człowiek, brudny i odpychającej postaci, pałący fajkę.

— Jak się pan ma, panie Reuben Hayes? — spytał Holmes.

— Kto pan jesteś, i skąd wiesz, jak się nazywam? — spytał ów człowiek, mierząc nas nieufnym wzrokiem. Oczy miał bardzo przebiegle.

— Przecież nazwisko pańskie jest na szyldzie u góry — odparł spokojnie Sherlock. — Łątwo zresztą poznać człowieka, który siedzi na progu własnego domu. Czy nie ma pan w wozowni czegoś nakształt bryczuszki?

— Nie. Nie mam.

— Widzi pan, że ledwie idę.

— To nie chodź pan.

— Ależ nie mogę nogi postawić na ziemi.

— To skacz pan i koniec.

Obejście pana Reubena było, jak widzimy, dalekiem od uprzejmości. Ale Holmes przyjął to z dziwnym spokojem umysłu.

— Ale człowiecze — zawołał — tu przecież nie mogę zostać. Muszę odjechać stąd, a w jaki sposób, to już mi obojętne.

— Mnie również — odparł gospodarz.

— Mam ważną sprawę w Holderness Hall. Dałbym panu suwerena za pożyczanie memu przyjacielowi roweru, aby udał się tam i sprowadził konie.

Gospodarz nastawił uszu.

— Dokąd to pan chce się dostać?

— Do Holderness Hall.

— Książę jest zapewne pańskim przyjacielem — syknął ironicznie gospodarz, mierząc wzrokiem nasze obłocone ubrania.

Holmes zaśmiał się dobrodusznie.

— W każdym razie ucieszy się, widząc nas u siebie.

— Dla czego?

— Bo przynosimy mu wiadomość o synu, który zginął bez wieści.

Tutaj gospodarz drgnął, całkiem widocznie.

— Jesteście panowie na tropie?

— Widziano go w Liverpoolu. Spodziewają się, że lada chwila będzie odkryty.

I znów twarz gospodarza zmieniła wyraz, tym razem w duchu zadowolenia. Nagle stał się bardzo uprzejmy.

— Wprawdzie — zaczął — miałbym więcej od wielu ludzi powodów, aby księciu nie życzyć dobrze, byłem w swoim czasie woźnicą u niego, traktował mnie gorzej psa i wypędził wreszcie bez świadectwa, uwierzywszy na słowo pewnemu lajdakowi, kupcowi zboża, ale cieszę się, że o młodym lordzie słyszano w Liverpoolu. Pomogę też panom zawieść na zamek tę dobrą nowinę.

— W takim razie serdeczne dzięki. — Tylko przedtem chciałbym coś zjeść. Potem da mi pan swój rower.

— Nie mam roweru.

Holmes wy dostał suwerena.

— Powiadam panu, że roweru nie mam. Dam panu parę koni. Te zawiozą pana do zamku.

— Niech i tak będzie — zakończył Holmes — A teraz chciałbym co zjeść, później zaś pogadamy.

Weszliśmy do kuchni i gospodarz pozostawił nas samych.

Rzecz szczególna, jak prędko noga przestała Holmesa boleć! Od rana nie jedliśmy nic, więc ultra-skromna wieczerza bardzo nam smakowała. Holmes, spożywszy jadło, pograżył się w myślach i chodził po kuchni, przystając od czasu do czasu przed oknem. Okno to wychodziło na brudny dziedziniec. W kącie znajdowała się mała kuźnia, w której pracował jakiś zamorusany chłopak. Po drugiej stronie były stajnie. Noc zaczęła szybko zapadać.

Nagle Holmes zerwał się z krzesła, na którym był usiadł i krzyknął głośno:

— Teraz mam! Zdaje mi się, że mam!

— Co? Co?

— Tak, tak być musi! Przypominasz sobie, że widzieliśmy na błocie ślady krów?

— Gdzie?

— Wszędzie. Naprzód na bagnie, potem na ścieżce, a potem znowu w tem miejscu, gdzie zginął ten biedaczysko Heidegger.

— Dobrze. A ile krów szło tamtędy? Widziałeś, jak pasły się na torfowisku?

— Ile mi się zdaje, nie widziałem żadnej.

— To rzecz szczególna. Przez całą drogę ślady krów a na pastwisku ani jednej... To ciekawe, prawda?

— Bardzo ciekawe i dziwne.

— Racya. A teraz namyśl się dobrze i przypomnij sobie, jak wyglądały te ślady. Czy przypominasz sobie?

— Przypominam.

— A pamiętasz i to, że ślady raz szły po dwa obok siebie, a czasem po trzy i po jednym?

Holmes ilustrował swe zapytania, układając na stole okruszki z chleba.

— Nie, tego sobie nie przypominam.

— Zato ja pamiętam doskonale. Mógłbym na to przysiąc. Tak, czy tak, pójdziemy sobie spokojnie i zbadamy to jeszcze raz. Ale jakież ze mnie głupiec, aby natychmiast nie wyciągnąć z tego wniosków, jak się należy.

— Jakich wniosków?

— Ależ bardzo prostych. Cóż to za szczególna krowa, co idzie na przemiany wolno, potem klusem i galopem! O, taki podstęp nie zrodził się w mózgownicy byle szynkarza wiejskiego! Teraz wiem już wszystko. Idzie mi tylko o to, co robi ten młodzieniec w kuźni. Wyślijnijmy się trochę na podwórze i przypatrzmy mu się dobrze, jeżeli tylko będzie można.

Naprzód skierował się Holmes ku stajni, w której stały dwa zszerszeniałe, stare konie. Holmes podniósł jednemu z nich nogę, spojrzął i zaśmiał się z cicha.

— Stare podkowy, lecz nowo przybite. Dopiero co. Stare żelazo, ale gwoździe nowe. W istocie, ten przypadek zasługuje na nazwę klasycznego. A teraz do kuźni.

Chłopak pracował dalej, nie troszcząc się wcale o nas. Holmes przeszukiwał bystrym wzrokiem kupy żelaza i drzewa, leżące bezładnie na ziemi.

Nagle usłyszeliśmy za sobą kroki. Obejrzeliliśmy się. Przed nami stał gospodarz.

Twarz miał zmienioną, oczy błyszczały dziko. W rękę ścisnął laskę grubą, okutą żelazem i następował na nas tak gwałtownie, że uradowałem się szczerze, namacawszy w kieszeni lufę rewolweru.

— Czego tu chcecie! — krzyknął — czego tu szukacie dyabelskie szpicle?

Holmes nie stracił zimnej krwi.

— Ależ panie Reuben — odparł z uśmiechem — możnaby myśleć, że obawiasz się, abyśmy czego nie odkryli w istocie!

Szynkarz powściągnął wybuch wściekłości i zaśmiał się fałszywym śmiechem, jeszcze straszniejszym i bardziej groźnym, niż poprzednia eksplozja gniewu, podbudzanego strachem.

— Szukaj pan sobie do sądnego dnia! Nic tu

nie znajdziesz. Ale widzi pan dobrodziej, ja bardzo nie lubię takich panów, co bez mego pozwolenia obwąchują mi cały dom. To też bardzo się ucieszę, gdy szanowni panowie dobrodziejże zapłacą rachunek i zabrają się jak najrychlej na cztery wiatry.

— No, no, panie Reuben... nie mieliśmy przecież żadnych złośliwych zamiarów! Oglądaliśmy tylko obiecane konie. Ale zdaje mi się, że będę się mógł dosztykutać na miejsce piechotę. To niedaleko? Prawda?

— Do samej bramy będzie niecałe dwa kilometry. Droga idzie tędy, w lewo.

Zapłaciliśmy i wyszli. Szynkarz przeprowadził nas nieufnym wzrokiem.

Nie uszliśmy jednak daleko. Na pierwszym zakręcie, który skrył nas przed szynkarzem, Holmes stanął i zwrócił się do mnie.

— W tym domu «ciepło» — jak mówią dzieci przy zabawie w chowanie chustki. Teraz czuję, że z każdym krokiem zbliżamy się do celu. Nie, nie, teraz nie mogę stąd odejść tak na sucho. Nie mogę w żaden sposób.

— Mógłbym przysiąc, — wtrąciłem — że ten człowiek wie o wszystkim. Nigdy nie widziałem twarzy tak wybitnie lajdackiej.

— Takie zrobił na tobie wrażenie? Czekaj, z tego wzgórką zobaczymy jeszcze raz szynk i kuźnię. O, tam. Ciekawe to miejsce, bardzo ciekawe. Popatrzmy jeszcze trochę.

Zaczęliśmy się drapać na mały pagórek z szarego wapienia, bardzo stromy. W tym celu zeszedliśmy nieco z drogi. Jeszcze nie weszliśmy na szczyt, gdy na drodze pokazał się jakiś cyklista. Pędził bardzo szybko.

— Na ziemię! — syknął Holmes, przygniatając mnie równocześnie silną dłonią.

Zaledwie skryliśmy się za ścianą wzgórza, gdy koło nas przeleciał ów cyklista, otoczony chmurą pyłu. Na chwilę tylko udało mi się rzucić okiem na jego bladą, struchlałą twarz. Twarz ta była jak gdyby karykaturą oblicza eleganckiego pana Jamesa Wildera, którego mieliśmy przyjemność oglądać wczoraj.

— Sekretarz księcia — szepnął Holmes, jak gdyby obawiał się, że ktoś nas podsłuchuje. — Prędko; trzeba zobaczyć, co będzie robił!

Szybko zaczęliśmy wspinać się po kamieniach i nareszcie dotarliśmy do punktu, z którego było widać drzwi szynkowni. Przy ścianie obok drzwi był oparty rower Wildera. Koło domu nie było nikogo. W oknie również. Zmrok zapadał coraz szybciej, aż nareszcie słońce zaszło za wieżycę Holdernesse Hall. W ciemności ujrzeliśmy dwie latarnie małego wózka, który ukazał się na podwórzu szynkowni. Wkrótce doszedł naszych uszu tętent podków. Wózek wyjechał na drogę i szalonym pędem potoczył się w kierunku Chesterfield.

Holmes stał chwilę, zapatrzony.

— Jak ci się zdaje, Watsonie, co to było? — spytał.

— Coś podobnego do ucieczki!...

— Na wózku był tylko jeden człowiek. To dobrze widziałem. Nie był to z pewnością Wilder. Ten jest teraz przy drzwiach.

Istotnie przez otwarte drzwi padała na drogę smuga światła, a w niej można było odróżnić doskonale szykowną postać sekretarza. Wilder stał, nachylony w ciemność, jak gdyby oczekując na kogoś. Wreszcie dały się słyszeć kroki, w świetle ukazała się na chwilę jakaś druga postać, drzwi zamknęły się i ciemność zapanaowała znowu. W pięć minut potem ujrzeliśmy w jednym z okien pierwszego piętra światło lampy.

— Coś dziwnego się dzieje «Pod kogutem» — rzekł z uśmiechem Holmes.

— Szynkownia jest po drugiej stronie domu i nie na pierwszym piętrze.

— Tak jest. Panowie ci są zatem, jeżeli tak się można wyrazić, osobistymi gośćmi gospodarza. A teraz trzeba się zapytać, co taki Wilder ma tu do roboty i to wieczorem, i kto jest ten drugi pan, na którego tutaj czekał? Chodźmy. — Trzeba trochę zaryzykować i przyjrzeć się sprawie z blizka.

Po chwili byliśmy na drodze i podkradliśmy się z cicha do drzwi szynkowni. Rower stał przy ścianie.

Holmes potarł zapalną i oświetlił na chwilę tylne koło. Potem zaśmiał się z cicha. Nachyliłem się i przy ostatnich iskierekach zapalniczki ujrzałem... połatany pneumatyk Dunlopa.

Znajdowaliśmy się właśnie pod samem oświetleniem oknem.

— Muszę tam zajrzeć — szepnął Holmes — schyl się i zeprzyj się o ścianę. Wejść ci na plecy.

Przez chwilę czułem jego stopy na ramionach, po sekundzie Holmes był już na ziemi.

— Chodźmy — rzekł z zadowoleniem. — Nasza robota zakończona na dzisiaj. Nie sądzę, abyśmy się dowiedzieli czegoś więcej. Do zakładu kawałek drogi, a im prędzej tam będziemy, tem lepiej.

Przez całą drogę, która prowadziła po torowisku, Holmes nie otworzył ust. Doszedłszy do zakładu, zboczył raz jeszcze i udał się dalej na stację w Mackleton, aby wysłać, jak mówił, parę depeesz. Jeszcze późno w noc słyszałem głos jego. Pocieszał pana Huxtable, który był strasznie przybity z powodu śmierci nauczyciela. Następnie usłyszałem kroki Holmesa przy swoich drzwiach. Za chwilę wszedł do mnie spokojny i zadowolony, bez śladu zmęczenia.

— Wszystko dobrze, mój kochany — rzekł. — Przyrzekam ci, że przed wieczorem doczekasz się rozwiązania naszej tajemnicy.

Następnego dnia z rana, około 11, przecho-

dziliśmy razem słynny szpaler grabowy w Holderness Hall. Przeprowadzono nas przez wspinałe, sklepione wejście z czasów królowej Elżbiety i oznajmiono nasze przybycie księciu panu. W pokoju księcia znaleźliśmy Wildera, skromnego i grzecznego, lecz ze śladami nieprzespanej nocy na gładkiem, wygolonym obliczu. Strach czaił się w jego trwożliwych oczach i drgających wargach.

— Panowie chcieliby widzieć się z księciem? Bardzo mi przykro, że się panowie fatygowali w czasie, gdy książę jest niezdrów. Tragiczna wiadomość zwała go z nóg zupełnie. Wczoraj otrzymaliśmy depeszę od pana Huxtable, donoszącą o odkryciach pańskich.

— Ja muszę widzieć się z księciem.

— Książę jest w sypialni.

— W takim razie pójdę tam.

— Zdaje mi się, że leży w łóżku.

— To nic nie szkodzi.

Zimny ton Holmesa był wskazówką, że nie ustąpi za żadną cenę. Wilder zrozumiał to.

— W takim razie... na pańską odpowiedzialność książę będzie zawiadomiony o pańskim przybyciu.

Po półgodzinie mniej więcej ukazał się książę. Był jeszcze bardziej blady niż zwykle, ramiona zgięte czyniły go starszym o wiele, niż poprzednio się wydawał. Grzecznie, lecz chłodno przywitał nas i usiadł przy stole.

— Czem mogę panom służyć?

Holmes patrzył znacząco na sekretarza, który czaił się za krzesłem swego pana.

— Książę pan daruje. Chciałbym mówić bez świadków.

Wilder pobladł jeszcze bardziej i obrzucił Holmesa zjadliwym spojrzeniem.

— Zatem, jeżeli książę pan sobie życzy, to...

— Może lepiej będzie, aby pan wistocie wyszedł. Teraz słucham pana, panie Holmes.

Mój przyjaciel czekał jeszcze, aż za odchodzącym sekretarzem zamkną się ciężkie dębowe podwoje.

— Otóż, proszę księcia — zaczął Holmes — sprawa przedstawia się tak: ja i mój kolega Dr. Watson otrzymaliśmy od Dra Huxtable zapewnienie, że za rozwiązanie tej smutnej zagadki jest wyznaczoną nagroda. Radbym usłyszeć potwierdzenie tego z ust księcia.

— Potwierdzam.

Holmes ciągnął spokojnie dalej.

— Jeżeli mój informator się nie mylił, suma przyrzeczona wynosiła pięć tysięcy funtów za wykrycie, gdzie się znajduje młody książę.

— Tak jest.

— I dalszy tysiąc dla człowieka, który odkryje ludzi, którzy młodego księcia porwali i trzymają w ukryciu.

— Tak jest.

— Zatem trzeba odkryć nie tylko tego, co

dokonał porwania, ale i tego, czy tych, którzy obecnie trzymają młodego księcia w ukryciu?

— Ależ naturalnie — zawołał książę z odzieniem niecierpliwości. — Jeżeli pan wywiążesz się dobrze z zadania, nie będziesz miał powodu uskarżać się na skąpstwo. Ręczę panu.

Mój przyjaciel począł zacierać ręce z takim wyrazem chciwości, że zdziwiłem się niesłychanie. Ta strona jego charakteru była mi dotychczas zupełnie obcą.

— Zdaje mi się — rzekł — iż tam na biurku leży książeczka czekowa księcia pana. Czy nie mógłby książę wystawić mi czeku na sześć tysięcy funtów? Możliwy go zaraz zaadresować. Interesa moje załatwia «Capital und Counties Bank» na Oxford Street.

Książę skamieniał. Wyprostowawszy się w fotelu, patrzył tępym wzrokiem na Holmesa. Nie mówił nic.

— Cóż to za żarty, panie Holmes? — przerwał nareszcie milczenie. — Zdaje mi się, że ani chwila, ani sama kwestya nie usposabiają do żartów.

— To nie żarty. Nigdy w życiu nie mówiłem bardziej seryo, jak teraz.

— Cóż pan zatem chce powiedzieć?

— To, że zarobiłem, jak sądzę, na nagrodę. Wiem, gdzie się znajduje młody książę i wiem, przynajmniej w części, kto go porwał i trzyma w ukryciu.

Książę pobladł teraz tak, że ruda jego broda wydawała się jeszcze czerwieńszą w zestawieniu z trupią bladością twarzy.

— Gdzie on?

— Przeszłej nocy był w szynku «Pod kogutem». Zapewne jest tam i teraz. O dwa kilometry od bram parku Holderness Hall.

Książę wyprostował się na fotelu; potem pochylił się jeszcze niżej, jak przedtem.

— A kogo pan oskarża?

Odpowiedź Sherlocka Holmesa była wprost zdumiewająca. Powstał, poszedł do stołu i położył rękę na ramieniu księcia.

— Oskarżam księcia pana — rzekł spokojnie. — A teraz czy mogę poprosić o podpisanie czeku?

Nigdy nie zapomnę wyrazu, jaki przybrała twarz księcia w tej chwili. Zerwał się z fotelu, upadł nań znowu, znowu się zerwał i zaczął bić rękami w próżnię jak człowiek, który tonie. Potem, opanowując się ostatnim wysiłkiem, usiadł znów przy stole i ukrył twarz w dłoniach. Zapanowało milczenie.

Po paru minutach zwrócił się do Holmesa.

— Czy wie pan wszystko? — spytał, nie podnosząc głowy.

— Widziałem ich razem ubiegłej nocy — odparł zagadkowo mój przyjaciel.

— Czy prócz Dra Watsona wie kto jeszcze o tej sprawie?

— Nie mówiłem z nikim więcej.

Książę drżącą ręką chwycił za książeczkę czekową i przysunął sobie pióro.

— Dotrzymam słowa, panie Holmes i podpiszę zaraz przyrzeczony czek, chociaż dane, zebrane przez pana, są mi bardzo nie na rękę. Przyrzekając nagrodę, nie marzyłem nawet, iż rzeczy wezmą taki obrót! Ale pan i pański przyjaciel umiecie dochować tajemnicy, jak sądzę?

— Nie rozumiem księcia — odpowiedział chłodno Holmes.

— W takim razie wyrażę się jaśniej. Skoro dwaj tylko panowie wiecie o całym zajściu, niema przyczyny, aby rozchodziło się dalej. Zdaje mi się, że jestem panu winien dwanaście tysięcy funtów? Czy nie tak?

Ale Holmes uśmiechnął się tylko i potrząsnął głową przecząco.

— Nie zdaje mi się, aby sprawa mogła być załatwioną w ten sposób i tak łatwo. Przecież mamy tu do czynienia jeszcze ze śmiercią nauczyciela.

— Ależ James nic o tem nie wiedział. To tamten, szynkarz, do którego, nieszczęściem prawdziwie, zwrócił się o pomoc.

— Ja jednak muszę trzymać się stanowiska, że kto dopuszcza się jednej zbrodni, staje się moralnym uczestnikiem każdej innej zbrodni, która z niej wynika.

— Pod względem moralnym ma pan zupełną

slusznosc. Co do ustawy, to ta mowi inaczej. Nikt nie moze byc skazany za morderstwo, w ktorem nie uczestniczyl, o ktorem nie wiedzial i ktore budzi w nim wstret tak samo, jak we mnie, albo w panu. Zaledwie dowiedzial sie o wszystkim, James wypowiedal sie przedemna jak najskrupulatniej, przejety zalem i zgroza. Natychmiast tez zerwal z morderca. Och, panie Holmes! Pan musisz go uratowac! Proszę pana o to, blagam! Pan musisz go uratowac!

Ksiaze zaprzestal daremnych wysilkow, aby panowac nad soba. Ze wzburzeniem, widocznem w kazdym ruchu, zaczal chodzic po pokoju szybkim krokiem; od czasu do czasu chwytal sie za glowe. Nareszcie zdoal sie nieco uspokoić i usiadl znów przy stole.

— Przed przyjsciem tutaj, nie mowiles pan z nikiem, panie Holmes — rzekl. — Uznaje to w zapelnosci i widze, ze mam do czynienia z dyskretnym czlowiekiem. Obecnie trzeba zlozyc narade i zmniejszyc, o ile sie da, fatalny skandal.

— Bardzo slusnie — odparl Holmes. — Sądze, ze zdolamy osiagnac ten cel, tylko zachowujac sie nawzajem z zapelną otwartoscia. Czy nie tak?

Ksiaze przywtorzyl skinieniem glowy.

— Jestem zdecydowany pomagac księciu we wszystkim, o ile sil mi starczy. Ale, aby móżdż to uczynić, muszę wiedziec do najdrobniejszych

szczegółów, jak rzecz się miała. Dotychczas mogę wnosić tylko tyle, że słowa księcia odnosily się do Jamesa Wildera i że on nie jest mordercą.

— Nie jest. Morderca uszedł.

Holmes uśmiechnął się nieznacznie.

— Książę nie słyszał, być może, o niejakiem uznaniu, które mi oddają ludzie; w przeciwnym razie nie sądziłby, że tak łatwo ujść przedemną... Reuben Hayes został wczoraj w nocy aresztowany na moje zlecenie... Tak jest. O jedenastej w nocy, w Chesterfield. Dziś z rana doniósł mi o tem telegraficznie dyrektor policji tamtejszej. Telegram otrzymałem z rana, nim wyszedłem od Dra Huxtable.

Książę upadł na fotel i z przerażeniem patrzył na Holmesa.

— Mogłoby się wydawać, że to, co pan czyni, przechodzi ludzkie siły. Więc pan schwytałś Hayesa? Bylbym z tego bardzo rad, gdybym się nie obawiał, że to pogorszy położenie Jamesa...

— Pańskiego sekretarza?

— Nie, panie Holmes, mojego syna.

Teraz przysłała kolej na Holmesa objawić najwyższe zdumienie.

— Muszę wyznać, że to dla mnie rzecz zupełnie nowa. Czy mogę prosić o jakieś wyjaśnienie?

Książę przechylił się jeszcze bardziej w fo-

telu, spuścił oczy w ziemię, i powoli, przestając od czasu do czasu, zaczął:

— Nie mam zamiaru ukrywać nic przed panem. Zgadzam się w tem z panem zupełnie, że tylko zupełna otwartość jest najlepszą polityką w tym wypadku. Zupełna i ścisła, choćby nawet miała być przykrą. Bo też i sytuacja, w jaką mnie wpędziła głupota i szaleństwo Jamesa, jest zupełnie niezwykłą. Gdy jeszcze byłem bardzo młodym człowiekiem, panie Holmes, kochałem... kochałem tak, jak tylko raz w życiu można kochać. Ofiarowałem tej kobiecie swe nazwisko, lecz odrzuciła je, odrzuciła z miłości dla mnie, obawiając się, że ten związek zniweczy moją karierę. Próżne były błagania. To też, gdyby była została przy życiu, nigdybym nie poślubił innej, nigdy w życiu. Ale umarła i pozostawiła mi to jedyne dziecko, które kochałem i wychowałem przez pamięć dla niej. Nie mogłem wyznać przed światem, że jestem jego ojcem, lecz wychowałem je, jak umiałem najstarszanniej, a odkąd wyrosło, przyjąłem je do swego boku...

James rychło odkrył moją tajemnicę i odtąd zaczęły się dla mnie dni wielkich przykrości. James co chwila dawał do poznania, jakie prawa ma do udziału w mem stanowisku i czego żąda. Żądał wielu rzeczy, nieraz pod groźbą, że sprokokuje straszny skandal. To byłoby dla mnie rzeczą straszną, więc godziłem się na wszystko,

byle okupić spokój. Jego obecność przy mnie nie była też bez wpływu na nieszczęsny obrót, jaki przybrało me pożycie małżeńskie. Przedewszystkiem zaś nienawidził mego syna i... dziewczica, całą nienawiścią, do jakiej tylko jest zdolny. Możecie panowie spytać, dlaczego w takim razie trzymałem Jamesa przy sobie? Jeżeli mam wam dać jaką odpowiedź, to tę, że w twarzy jego widzę twarz jego matki i że musiałem cierpieć dla jej pamięci. Każdy jego rys, to rys jej, to przypomnienie; nie mogłem go odprawić. Ale bałem się bardzo, że wyrządzi jaką krzywdę Arturowi, t. j. lordowi Saltyre — i dlatego umieściłem syna w zakładzie Dra Huxtable'a.

Książę zatrzymał się na chwilę.

— James zapoznał się z tym Hayesem — ciągnął dalej — gdyż Hayes dzierżawił odemnie grunta, James zaś jest moim sekretarzem. Hayes był zawsze lotrem, ale, rzecz dziwna, James zawarł z nim odrazu bliższą znajomość. Prawda, że zawsze tkwiła w nim dążność do przyjaźnienia się z osobami z niższej sfery. To też James, postanowiwszy uprowadzić lorda Saltyre, użył do tego pomocy Hayesa. Przypomina pan sobie, że wysłałem niedługo przedtem do Artura list? Otóż James otworzył ten list i włożył weń kartkę, w której prosił Artura, aby ten wyszedł z zakładu zobaczyć się z nim w lasku, leżącym tuż przy szkole. Podpisał księżnę i dzięki temu udało mu się skłonić chłopaka do przyjsia.

Zamieniliśmy z Holmesem znaczące spojrzenie. Holmes miał rację, jak się okazywało.

— Tego samego wieczora — ciągnął dalej książkę — James udał się do zakładu na rowery (opowiadam panom tylko to i wszystko to, co mi wiadomo od niego samego) i powiedział Arturowi, którego zastał w lasku, że matka chce się z nim zobaczyć i będzie go oczekiwała o północy na owej łące. Niech wyjdzie z zakładu, a w lasku znajdzie człowieka na koniu, który go weźmie na siodło i zawiezie do matki. Biedny chłopak uwierzył, uczynił, jak mu kazano, wsiadł na konia i ruszyli. Zdaje się, że ścigano ich (James dowiedział się o tem dopiero wczoraj) i że Hayes uderzył ścigającego ich człowieka kijem w głowę. Człowiek ten, jak panowie wiedzą, umarł z ran poniesionych przy tem spotkaniu. Hayes zaniósł Artura do szynku «pod kogutem» i zamknął go tam w jednym z pokoi na piętrze, pilnie go strzegąc. Zresztą opiekę nad nim objęła żona Hayesa, dobra kobieta, jak się zdaje, lecz zawojowana zupełnie przez męża i pilnowana przezeń na każdym kroku.

Opowiadanie księcia zbliżało się ku końcowi.

— Oto — rzekł — tak się rzeczy miały w chwili naszego pierwszego spotkania. Nie wiedziałem o niczem wówczas.

— Zapytacie teraz panowie — ciągnął dalej książkę — co mogło popchnąć Jamesa do tego czynu? Przypomnijcie sobie historję bibijną

o Ezawie i Jakóbie. James czuł się pokrzywdzonym, uroił sobie, że on to powinien być dziedzicem mych wszystkich posiadłości, wszelkimi sposobami dążył do zdobycia tych praw, które mu nie przysługiwały. Gdy nie skutkowały słowa i namowy, chwycił się podstępów. Sądził, że przez porwanie syna wymusi na mnie wszelkie ustępstwa i że wtedy uczynię zadość jego uroszczeniom. Wiedział dobrze, iż nigdy nie zawezwę przeciw niemu interwencji władz i policji. Przypuszczam, że zamierzał po usunięciu lorda Saltyre grać w świecie jego rolę i nakłonić mnie do oddania mu majoratu. Artur byłby się chował gdzieś za granicą pod obcym nazwiskiem. Prawda, że podobnej zamiany ról jeszcze mi nie zaproponował, ale mam wszelkie dane, aby twierdzić to z całą pewnością. Lecz wypadki następowały po sobie dość szybko, tak, że nie miał czasu urzeczywistnić swych planów.

— Więc to moje przybycie przeszkodziło mu — spytał Holmes.

— Tak sądzę, przedewszystkiem odkrycie ciała tego biednego profesora. Dowiedziawszy się, że biadak został zabity, James struchlał. Było to wczoraj. Właśnie siedzieliśmy razem w tym pokoju, gdy przyszła wiadomość. Telegram przysłał dr Huxtable. James był tak przygnębiony, że w jednej chwili skryształizowało się we mnie podejrzenie, które do tej pory odzywało się tylko słabo. Nieraz myślałem sobie, że to on

dopuszczył się zbrodni, lecz nie śmiałem tego wyznać sam przed sobą. Dopiero gdy zobaczyłem, jak był zgnębiony, natarłem z miejsca i wymusiłem na nim zupełne przyznanie, złożone ze słzami skruchy. Prosił mnie na wszystko, abym trzy dni zachował milczenie. Szło mu o uratowanie Hayesa. Dziwne miał względy dla tego łotra. Chciał mu uratować życie i dać pieniądze na wyjazd, a uczynił to wczoraj, bo zgodziłem się na jego prośbę. Czyniłem to zawsze, niestety. Ja sam nie mogłem iść zaraz za dnia do tego szynku, aby nie obudzić podejrzeń, lecz uczyniłem to późnym wieczorem, aby uściskać syna. Znalazłem go w dobrym zdrowiu, aczkolwiek straszna scena, jakiej był świadkiem, wywarła na nim głębokie, przygnębiające wrażenie. Związany przyrzeczeniem w obec Jamesa, musiałem się zgodzić na pozostawienie syna jeszcze przez trzy dni pod opieką żony Hayesa, kobiety bardzo poczciwej i nieraz za tę poczciwość kатовanej przez tego łotra. Przy tem... nie można było zawiadomić policji o wszystkim, nie mówiąc jej zarazem, gdzie znajduje się morderca, a niewiedzialem też, jak zakończyć sprawę tak, aby nie przyczyniła się do ruiny życiowej mego Jamesa. To mój syn, panowie chciejcie o tem pamiętać...

Po krótkim milczeniu książę skończył temi słowy:

— Żądałeś pan, abym był otwartym, panie

Holmes. Jestem nim. Opowiedziałem wszystko, nie nie kryjąc i nie nie upiększając. Niechże pan odplaci mi teraz tą samą monetą.

— Nie zawaham się ani chwili — odparł Holmes — i nasamprzód czuję się w obowiązku wyjaśnić księciu, że w obec ustawy postawił się w bardzo fałszywym położeniu. Księżę dopomógł do ucieczki zbrodniarza; nie mogę wątpić o tem, że pieniądze, jakie wręczył Wilder Hayesowi, pochodziły z kasy księżęcej...

Księżę skłonił głową na znak potwierdzenia.

— Zatem sprawa jest istotnie bardzo poważną. A jeszcze bardziej karygodne, mojem zdaniem, było postępowanie księcia w stosunku do młodszego syna. Zostawiać go jeszcze trzy dni w tej jaskini zbójeckiej...

— Ależ przyrzekano mi solennie...

— Czem są przyrzeczenia dla ludzi tego rodzaju? Księżę nie ma teraz najmniejszej gwarancyi, czy syn jego nie zniknie raz jeszcze! Aby nie psuć honoru swemu starszemu synowi, człowiekowi, który dopuścił się przestępstwa, wystawia księżę młodszego na wielkie niebezpieczeństwo, w sposób zupełnie niepotrzebny i karygodny. Tego żadną miarą nie da się usprawiedliwić!

Lord Holderness nie przywykł prawdopodobnie do takiego traktowania i to we własnym domu. Zaczerwienił się z gniewu, lecz milczał, powściągany głosem sumienia.

Holmes ciągnął dalej.

— Jestem gotów dopomóc księciu, pod jednym wszakże warunkiem.

— Jakim?

— Pod tym, że książe zadzwoni na służącego i każe mu spełnić natychmiast wszystko, co tylko uznam za stosowne zarządzić.

Nie mówiąc ani słowa, książe pocisnął guzik elektrycznego dzwonka. Wszedł służący.

— Ucieszysz się zapewne, mój przyjacielu — zaczął Holmes — skoro się dowiesz, że panicz się znalazł; książe życzy sobie, aby natychmiast zaprzężono konie i posłano «pod koguta», aby przywieść lorda Saltyre do Holdernesse Hall.

— A teraz — ciągnął dalej po odejściu służącego — możemy znów zająć się przyszłością, skoro z teraźniejszością już się załatwili. Nie jestem urzędnikiem i nie ma żadnego powodu, abym mówił wszystkim wszystko, co wiem, jeżeli tylko cel ostateczny i zasady sprawiedliwości tego nie wymagają. Co do Hayesa, to rzecz inna. Tego lotra czeka szubienica i gdybym wiedział, że jedno słowo moje go ocali, milczałbym bez wahania. Nie wiem, co myśli zeznawać, nie mam jednak wątpliwości, iż książe potrafi znaleźć drogę do przedłożenia mu, iż milczenie jest tutaj w jego własnym interesie rzeczą niezbędną. Policja będzie przypuszczała, że on to sam uprowadził dziecko, aby wymusić okup. Nie widzę też z mego stanowiska żadnej przyczyny infor-

mować ją, że było inaczej, bo po co? Sprawy to nie zmieni. Nie ma też powodu, aby książę zajmował w tej sprawie inne stanowisko. Na jedno wszakże czuję się w obowiązku zwrócić uwagę księcia...

— A mianowicie?

— Że obecność Wildera w tym domu może pociągnąć za sobą tylko fatalne skutki.

— Jestem tego samego zdania, panie Holmes i postanowiłem już, że James musi opuścić Anglię i szukać szczęścia w Australii.

— W takim razie pozwoliłbym sobie jeszcze dodać, że skoro książę sam doszedł do przekonania, iż obecność Wildera była przyczyną wszystkiego złego w małżeńskim pożyciu księcia, w takim razie należałoby...

Książę przerwał szybko...

— To już uregulowane. Dziś z rana odszedł list do księżnej.

Holmes powstał i ujął za kapelusz.

— A więc pozwolę sobie powiedzieć, że ja i mój przyjaciel możemy sobie gratulować pod każdym względem owoców naszego badania. Nim jednak opuścimy Holdernes Hall, prosiłbym, jeżeli można, o jedno małe wyjaśnienie. Ten lotr Hayes podkuł swoje konie podkowami, naśladującymi racice krowie. Czy tego niezwykłego podstępu nie zawdzięcza Wilderowi?

Na twarzy księcia odbiło się wielkie zdziwienie. Stał chwilę zamyślony, a potem zapro-

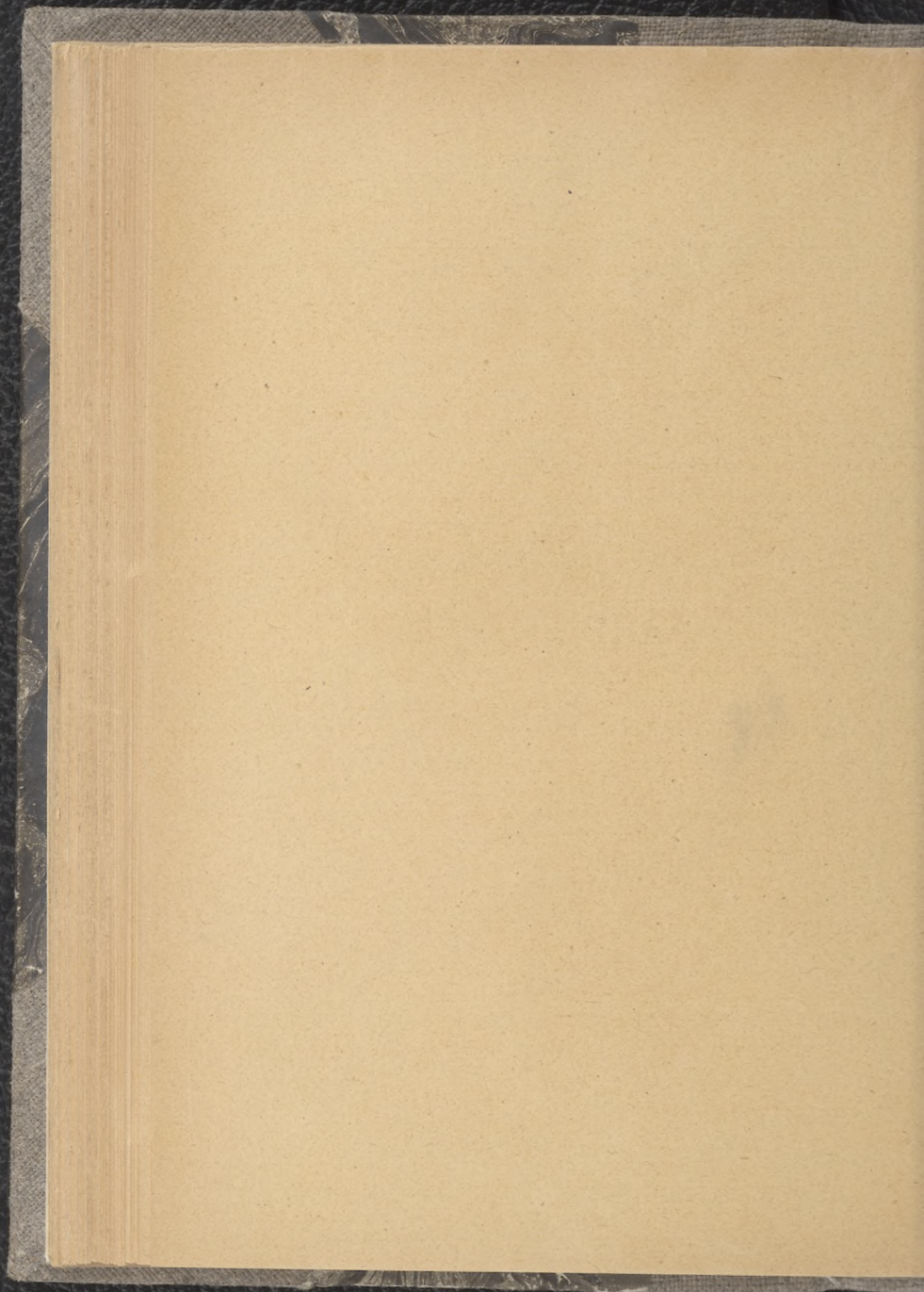
wadził nas do wielkiej sali muzeum zamkowego. Otworzył szafkę oszkloną i wskazał na napis umieszczony na niej. Napis ten brzmiał:

Podkowy znalezione w fosie zamku Holdernesse Hall, przeznaczone do podkuwania koni. Pod spodem mają kształt racicy, aby zmylić ślad przed pogonią. Zachodzi przypuszczenie, że należały one do jednego z rycerzy-rabusiów, ongi posiadacza Holdernesse Hall w wiekach średnich.

Holmes otworzył szafkę i pudełko, w którym były schowane podkowy i pociągnął po nich zwilżonym palcem. Na skórze osadziła się zaraz warstewka świeżego błota.

— Dziękuję księciu — rzekł, zamykając szkatułkę.

GARBUS.



Było to w kilka miesięcy po mojem ożenieniu się. Pewnego letniego wieczora siedziałem późno w nocy w moim gabinecie, paląc fajkę i nudząc się nad jakimś angielskim romansem. Cały dzień przepędziłem wśród wyężdżającej pracy, mimo to jednak nie byłem jeszcze senny. Moja żona udała się już na spoczynek, także służba, zwolniona od zajęć, znajdowała się już u siebie. Prawie wstałem, aby wytrząsnąć popiół z fajki i nałożyć na nowo tytoniu, gdy nagle rozległ się głos dzwonka u drzwi wchodowych.

Spojrzałem na zegar, prawie dochodziła godzina dwunasta. Trudno było przypuścić, aby ktoś jeszcze o tej porze przybywał w odwiedziny, raczej chciano mnie wezwać do jakiegoś chorego. Wydłużyła mi się mina, bo po całodziennym trudzie nie była to zbyt zachęcająca perspektywa. Ale mimo to zszedłem na dół i otworzyłem bramę. Ku mojemu niezmiernemu zdziwieniu ujrzałem Sherlocka Holmesa.

— Ach, więc jesteś w domu, drogi Watsonie — rzekł Holmes — Przychodzę wprawdzie późno, ale widocznie nie zapóźno, skoro jesteś jeszcze ubrany.

— Proszę cię, chodź dalej. Bardzo się cieszę.

— Byłeś zdziwiony, widząc mnie, ale zdaje się, przyjemnie zdziwiony. Hm, ciągle jeszcze palisz ten sam gatunek tytoniu co za kawalerskich czasów. Ta odrobina popiołu na twoim rękawie nie pozostawia żadnych wątpliwości. Czy możesz mnie przenocować u siebie?

— Z przyjemnością.

— Mówiłeś mi kiedyś, że wasz pokój gościnny jest zawsze w pogotowiu, a widzę, że obecnie nie masz u siebie nikogo, bo na wieszadłach wisi tylko jeden kapelusz.

Podałem mu tytoń; usiadł naprzeciwko mnie i przez chwilę w milczeniu puszczał kłęby dymu przed siebie. Wiedziałem dobrze, że tylko bardzo ważna sprawa mogła go sprowadzić do mnie o tej porze, lecz czekałem cierpliwie, póki sam nie uzna za stosowne wtajemniczyć mnie w swe zamiary.

— Jak widzę, masz obecnie sporo zajęcia — rzekł, mierząc mnie bacznie spojrzeniem.

— Tak jest, dzisiaj zwłaszcza miałem sporo roboty — odparłem — ale skądże ty możesz o tem wiedzieć.

Holmes uśmiechnął się z zadowoleniem.

— Znam przecie twoje nawyczki, drogi Wat-

sonie. Jeżeli masz tylko niewielką drogę przed sobą, idziesz piechotą. Gdy czeka cię wiele interesów, bierzesz doróżkę. A widzę również, że buty twoje noszą ślady używania, lecz nie są zabłocone. Stąd naturalny wniosek, że musiałeś jeździć doróżką, czyli innemi słowy miałeś wiele zajęć.

— Wybornie — zawołałem.

— Po prostu — odpowiedział — To tylko mały przykład, jak zapomocą wnioskowania dojść można do wyników, które zadziwiają słuchacza, jeżeli ten lub ów szczegół całości pominie się milczeniem. Zawsze trzeba znaleźć tylko te powiązania psychologiczne, a sprawa staje się jasna. Ale nie zawsze się to udaje. Ot w tej chwili ja znajduję się w takim położeniu. Trzymam w ręku rozmaite nici niezmiernie niezwykłej sprawy, nad którą niejeden człowiek dobrze łamałby sobie głowę. Niestety brakuje mi kilku takich węzłów i ani rusz nie mogę zorientować się jasno w całości. Ale muszę je znaleźć, Watsonie, muszę związać tę przerwana nić, dojść aż do kresu.

Oczy Holmesa zabłysnęły ogniem, wychudłe policzki zaróżowiły się lekko. Na krótką chwilę podniosła się zasłona, zakrywająca zawsze jego wewnętrzną istotę, myśli i pragnienia; przejawiała się jego prawdziwa natura, namiętna, niezmiernie wrażliwa. Ale gdy drugi raz spojrziałem na niego, rysy twarzy były już nieruchome,

twarde, niby oblicze jakiegoś czerwonego indyana, nieprzeniknione, obojętne. To był zwyczajny wyraz jego twarzy, który powodował, że większość ludzi, znających Holmesa, widziała w nim tylko maszynę raczej, niż myślącego, czującego człowieka.

— Problem, jakim się obecnie zajmuję — mówił dalej Holmes — wydaje mi się wcale zajmujący. Niektóre szczegóły są nawet naprawdę niezwykle. Wytworzyłem sobie już pewne zdanie o tej sprawie i zdaje mi się, że posunąłem się znacznie ku rozwiązaniu. Gdybyś chciał mi być pomocnym przy ostatniej mojej próbie, wyświadczyłbyś mi wielką przysługę.

— Ależ bardzo chętnie.

— Czy mógłbyś jutro rano udać się ze mną do Aldershot?

— Owszem. Jakson zastąpi mnie u moich chorych.

— W takim razie odjedziemy ze stacyi Waterloo o godzinie 11:10.

— Dla mnie zupełnie odpowiednia pora.

— Jeżeli nie jesteś jeszcze bardzo znużony, w takim razie już teraz opowiem ci dokładnie o wszystkim, co zaszło i co pozostaje jeszcze do zrobienia.

— Byłem zmęczony zanim przyszedłeś, ale teraz czuję się zupełnie rzeźki.

— Będę się streszczał, o ile to będzie możliwe i przedstawię ci tylko najistotniejsze szcze-

góły. Być może zresztą, że czytałeś już w piśmiech o tym wypadku. Zwykle interesujesz się temi kwestyami. Chodzi tu o śmierć pułkownika Barclay'a z 117 pułku, stojącego załogą w Aldershot. Miał on zostać zamordowany.

— Nie, o tem nie słyszałem.

— Wypadek ten wydarzył się dopiero przed dwoma dniami, a wiadomości o nim nie rozeszły się jeszcze zbyt szeroko. Sprawa przedstawia się jak następuje:

— Pułk Nr 117 jest, jak wiesz zapewne, jedynym z najslawniejszych pułków irlandzkich. Dokazywał on cudów waleczności podczas wojny krymskiej, jako też podczas powstania w Indyach, a odznaczał się też zawsze przy każdej innej sposobności. Aż do ubiegłego poniedziałku dowodził nim pułkownik James Barclay, dzielny, stary wojak. Barclay wstąpił do służby jako prosty żołnierz; z powodu zasług, jakie położył w wojnie indyjskiej, został mianowany oficerem, a wreszcie stanął na czele tego samego pułku, w którym niegdyś nosił karabin.

— Pułkownik Barclay ożenił się, gdy był podoficerem. Żona jego nazywała się Nancy Devoy i była córką dawnego feldfebla z tego samego korpusu. Gdy młodzi małżonkowie zmienili swą sytuację towarzyską, po awansie Barclay'a, nie obeszło się bez nieporozumień. Ale oboje byli jeszcze bardzo młodzi, ogromnie szybko zorientowali się i dostosowali się do zmienio

nych stosunków, a pani pułkownikowa cieszyła się w kołach żon oficerów taką samą sympatyą, jak pułkownik Barclay wśród swoich towarzyszy broni. Dodam jeszcze, że pani Barclay była bardzo piękną kobietą, a nawet dziś jeszcze, po trzydziestoletnim pożyciu małżeńskim, jest osobą zwracającą powszechną uwagę dystyncją i szlachetnością rysów.

— Pożycie domowe pułkownika Barclay było jak się zdaje, bardzo szczęśliwe.

— Major Murphy, któremu zawdzięczam znajomość większości szczegółów tej sprawy, twierdzi, że nigdy nikt nie słyszał o jakichś nieporozumieniach między małżonkami; pułkownik, jak powszechnie mówią, uwielbiał żonę. Jeżeli musiał się oddalić od niej na dzień lub dwa, niepokoił się ciągle o jej zdrowie, mówił tylko o niej. Natomiast pani pułkownikowa, aczkolwiek była wierną i oddaną żoną, mniej objawiała swą troskliwość o męża, przynajmniej w obec obcych. Mimo to w całym pulku uważano ich za kochające się, wzorowe małżeństwo, w ich wzajemnym stosunku nie było nic, co mogłoby przygotować świat na straszną tragedję, jaka się rozegrała w ich domu.

— Pułkownik Barclay miał jednak rozmaite właściwości charakteru. W zwyczajnych warunkach był to wesół, dobroduszny żołnierz starej daty, niekiedy jednak unosił się, a wtedy okazywał się ogromnie mściwym i bezgranicznie

gwałtownym. Lecz w stosunkach z żoną właściwości te nigdy nie wychodziły na jaw. Pułkownik miał jeszcze inne charakterystyczne cechy. Zarówno major Murphy, jak i oficerowie, z którymi miałem sposobność rozmawiać, stwierdzają, że niekiedy zauważali u niego szczególne przygnębienie, jakie go nagle ogarniało. Nieraz, gdy brał udział w wesołych pogawędkach towarzyszy i weselił się wraz z nimi, nagle milknął wśród żartów i wesołości, jak gdyby przygniotła go jakaś niewidzialna dłoń. Przez kilka następnych dni trawiła go zawsze posepna zaduma. Prócz tego wszyscy wspomniani wyżej panowie spostrzegli u niego dziwny rodzaj zabobonnej trwogi. Mianowicie pułkownik bał się zostawać samotnie, zwłaszcza gdy zapadł zmierzch. W obec jego silnej i męskiej natury była to właściwość trudna do wytłómaczenia i często budziła powszechne zdziwienie.

— Pierwszy batalion 117-stego pułku stał już od kilku lat załogą w miejscowości Aldershot. Oficerowie żonaci wynajmowali zwykle mieszkania poza obrębem koszar, a pułkownik Barclay mieszkał przez cały czas w willi Lachine, oddalonej mniej więcej o pół mili angielskiej od koszar północnych. Dom jest dokoła otoczony drzewami i krzewami, które zwłaszcza od strony zachodniej pokrywają przestrzeń długości około trzydziestu metrów aż do gościńca. Pułkownik, jego żona, woźnica, i dwie służące, to byli je-

dyni mieszkańcy willi; małżonkowie nie mają dzieci, rzadko też przybywał ktoś do nich w gościnie.

— A teraz muszę ci przedstawić to, co się wydarzyło w willi Lachine w poniedziałek, między godziną dziewiątą a dziesiątą wieczorem. Pulownikowa jest katoliczką i brała zawsze bardzo czynny udział w dobroczynnych pracach instytucji imienia św. Jerzego, która zajmuje się głównie rozdzielaniem odzieży między biedaków. O godzinie 8-mej miało się odbyć posiedzenie w instytucji, dlatego pani Barclay kazała wcześniej niż zwykle podać wieczerzę, aby potem mieć już czas wolny. Kiedy wychodziła z domu, woźnica słyszał jej rozmowę z mężem i twierdzi, że pożegnali się bardzo serdecznie, a pulownikowa przyrzekła mu, że niebawem powróci. W sąsiedniej willi pani Barclay spotkała się z panną Morrison, biorącą również udział w pracach instytucji, i wraz z nią udała się na posiedzenie, które trwało około trzech kwadransy. Mniej więcej o kwadrans na dziesiątą obie panie wracały już do domu i rozstały się bardzo serdecznie w pobliżu swych mieszkań.

— Na zachodniej stronie willi Lachine znajduje się mały pokój jadalny. Ma on drzwi szklane wiodące do ogródka, otoczonego tylko niskim murem, zakończonym u góry kratą żelazną. Dostęp do willi z gościńca jest więc niezmiernie łatwy. Pani Barclay, powróciwszy do domu, udała się do tego pokoju. Okiennice nie były

jeszcze zamknięte, bo wieczorami małżonkowie rzadko tu siadywali. Sama zapaliła lampę, zadzwoniła na pokojówkę i rozkazała jej wbrew codziennym zwyczajom, podać sobie szklanke herbaty. Pułkownik siedział obok w dużym pokoju jadalnym, a usłyszawszy, że żona powróciła, przeszedł do pokoju bufetowego. Woźnica widział go stojącego na progu. Wtedy ostatni raz widziano go żywym.

— Gdy w dziesięć minut później wróciła pokojówka, niosąc herbatę, przestraszyła się, słysząc w pokoju gwałtowny spór między pułkownikiem i jego małżonką. Zapukała do drzwi, ale nikt jej nie odpowiedział; nacisnęła klamkę, lecz drzwi były z wewnątrz zamknięte na klucz. Wobec tego pobiegła z powrotem do kuchni i opowiedziała o kłótni kucharce i woźnicy. Wszyscy troje udali się na górę i stanawszy przed drzwiami, nadsluchiwali, co się wewnątrz dzieje. Wszyscy troje zgadzają się w tem zeznaniu, że było słyhać tylko głos pułkownika i jego żony, a żadnej obcej osoby. Barclay mówił cichemi, oderwanemi zdaniami, tak że podsłuchujący nie mogli zrozumieć jego słów. Natomiast ton głosu pani pułkownikowej był nadzwyczaj rozdrażniony i pełen gorzycy. Gdy podniosła głos, uniesiona widocznie gniewem, można było wyraźnie słyseć, co mówiła.

«Ty nikczemny tchórze — powtarzała kilkakrotnie — cóż teraz będzie? Oddaj mi moje

utracone szczęście! Nie potrafię oddychać tem samem powietrzem, coty, nędzny, nikczemny łotrze!»

— Nagle z piersi pułkownika wydarł się straszny krzyk przerażenia, potem słychać było jakiś ciężki upadek i znowu rozpaczliwe jęczenie pani Barclay. Jęki te nie ustawały. Woźnica, przekonany, że wewnątrz stało się jakieś nieszczęście, począł dobijać się do drzwi, a gdy to nie pomagało, próbował je wywalić przemocą. Ale drzwi były mocno osadzone, a przerażone dziewczęta biegały po korytarzu jak obłąkane i nie chciały mu przyjść z pomocą. Wówczas użył innego sposobu; pobiegł do głównych drzwi, a potem do ogródka, do którego prowadziły szklane drzwi z pokoju. Jak zwykle w porze letniej jedno skrzydło okna było otwarte, dzięki czemu bez trudności dostał się do wnętrza. Pani Barclay przestała już jęczeć, leżała bez przytomności na kanapie, nieszczęśliwy pułkownik był rozciągnięty na ziemi, głowa zboczona krwią dotykała prawie krat kominka.

— Widząc, że pułkownik już nie żyje i że nie pomoże mu żadna pomoc, woźnica postanowił ratować przedewszystkiem panią Barclay i wołając służące, chciał otworzyć drzwi. Ale wbrew swemu oczekiwaniu natrafił na nową trudność. Drzwi były zamknięte, a klucz wyjęty, mimo poszukiwań nie mógł go nigdzie znaleźć. Wreszcie więc wyskoczył znowu przez okno i pospieszył po policję. Przywołany ślusarz otwo-

rzyl drzwi, policya i lekarz weszli do pokoju. Przedewszystkiem przeniesiono do sypialni panią Barclay, która jészcze ciągle była nieprzytomna, a na którą oczywiście padały silne podejrzenia. Potem ułożono zwłoki pułkownika na kanapie i przystąpiono do szczegółowego zbadania całego pokoju.

— Na głowie zmarłego pułkownika była śmiertelna rana, długości dwa cale; najprawdopodobniej zadano mu silny cios jakimś tępym narzędziem. Nie trzeba było długo szukać za narzędziem zbrodni. W pobliżu leżał drewniany harap, szczególnego kształtu, z kościaną rękojeścią. Pułkownik posiadał piękną kolekcję broni, zebraną jeszcze podczas jego służby w zamorskich krajach, policya przypuszczała więc, że niezwykły harap do niej należał. Wprawdzie służba utrzymywała, że nigdy nie zauważono tego narzędzia, ale łatwo mogli go nie dostrzedz w obec tego, że w domu było bardzo wiele niezwykłych przedmiotów. Poza tem nie udało się znaleźć nic, coby zwracało szczególniejszą uwagę. Jedno tylko jest dotąd tajemnicą: co stało się z kluczem. Mimo troskliwego szukania nie znaleziono go ani w pokoju ani w sukniach pułkownikowej, ani kieszeniach Barclay'a.

— Tak przedstawiała się sprawa, gdy wtorek rano udałem się do Aldershot, aby z polecenia majora Murphy dopomódz policji w jej usiłowaniach. Przyznasz, że już to samo, co ci

opowiedziałem, wystarczało, aby podniecić moją ciekawość. Nie dosyć na tem. Badania, jakie przedsięwziąłem, przekonały mnie aż nazbyt dowodnie, że wypadek ten jest bez porównania ciekawszy i charakterystyczniejszy, niż się wydawało z pozoru. Zanim przystąpiłem do zbadania miejsca wypadku, przesłuchałem pierwszej służbę. Przesłuchanie to potwierdziło wspomniane już fakta. Tylko pokojówka Jane przypominała sobie szczegół, o którym dotychczas nie było mowy. Oświadczyła ona, że gdy stała z herbatą przed drzwiami, państwo jej rozmawiali w pokoju tak cichym głosem, że nie rozumiała ani słowa. Jedyne z tonu rozmowy wywnioskowała, że małżonkowie klóć się z sobą. Ale wiesz, że umiem wyciągnąć zawsze z człowieka wszystko, co wie. Otóż gdy zacząłem stawiać jej krzyżowe pytania, przypomniała sobie nagle, że pani jej wymieniła dwukrotnie imię Dawid. Szczegół ten jest o tyle ważny, że może wyjaśnia on przyczynę kłótni. Imię pułkownika brzmi James, więc nie mogła się przesłyszeć.

— Najgłębsze jednak wrażenie zarówno na służbę, jak na policję wywarły rysy twarzy pułkownika, wykrzywione rozpaczą i przestraszchem. Malowała się w nich tak beznadziejna trwoga, taka groza, że kilka osób omal nie zemdlało na sam widok trupa. Pułkownik przewidział zapewne grożący mu los, straszny skurecz przestraschu pozostał na twarzy po zgonie. Po-

twierdza to pod pewnym względem zapatrywania policyi i pozwala przypuszczać, że pułkownik widział, iż żona zamierza go zamordować. To, że rana znajduje się z tyłu głowy, nie dowodzi niczego, zdaniem policyi, ponieważ można to wytłómaczyć w ten sposób, iż Barelay odwrócił się trochę, aby uniknąć grożącego mu ciosu. Zeznania żony pułkownika byłyby oczywiście niezmiernie ważne. Niestety, dotąd nie można jej było przesłuchać, bo ma gwałtowną gorączkę nerwową i nie odzyskała jeszcze przytomności. Tymczasem więc przesłuchano pannę Morrison, która, jak sobie przypominasz, była towarzyszką pani Barelay podczas jej spaceru w krytyczny wieczór. Panna Morrison nie umiała jednak podać powodu rozdrażnienia pułkownikowej i twierdzi, że rozstała się z towarzyszką po spokojnej, towarzyskiej rozmowie.

— Zbadawszy to wszystko i przesłuchawszy świadków, usunąłem się w zaciszny kącik domu i paląc fajkę, próbowałem ułożyć w duchu całą sprawę, oddzielić istotne fakta od okoliczności ubocznych. Nie ulegało wątpliwości, że najważniejszym punktem zaczepienia całego problemu było tajemnicze zniknięcie klucza. Nie znaleziono go w pokoju, pomimo najstaranniejszego śledztwa, więc musiał zostać usunięty. Ale tego nie uczynił ani pułkownik ani jego żona, to było pewne. A zatem w pokoju musiała być jeszcze jakaś trzecia osoba. To jasne, nieprawdaż?

Osoba ta weszła niewątpliwie przez okno, bo to było jedyną drogą w tym wypadku. Mogłem więc śmiało przypuścić, że znajdę jakieś ślady tej zagadkowej istoty albo w domu albo w ogrodzie, na drodze lub na trawniku. Zastosowałem moje wypróbowane metody, które znasz dawno, drogi Watsonie. Wreszcie udało mi się znaleźć ślad, ale ślad dziwny, który mnie zdziwił niezmiernie. Nie wątpiłem ani przez chwilę, że w pokoju był jakiś obcy człowiek, odkryłem wyraźnie ślady jego stóp w pięciu rozmaitych miejscach: na gościńcu, w punkcie, gdzie przechodził przez niski mur, na trawniku i na pokostowanych parapetach okna, przez które dostał się do pokoju. Przez trawnik biegł pospiesnym krokiem, bo odciski podeszwy są znacznie głębsze niż obcasów. Ale już pierwszej wywnioskowałem, że była w pokoju trzecia osoba, więc nie zdziwiło mnie to wcale. Natomiast zdumiałem się, ujrawszy ślady jego towarzysza.

— Jego towarzysza? — zawołałem.

Holmes wyjął z kieszeni wielki arkusz jedwabnego papieru i rozpostarł go ostrożnie na kolanach.

— Jak ci się zdaje, co to być może? — zapytał.

Papier był pokryty odciskami stóp jakiegoś małego zwierzęcia. Można było wyraźnie rozróżnić stopę o pięciu członkach i ślady długich pazurów.

— To pies — odpowiedziałem.

— Czy słyszałeś kiedy, aby pies spacerował po portyerach? Znalazłem wyraźne ślady, że to zwierzę wybiegło w górę po portyerze.

— Więc małpa.

— Małpa nie ma takiej nogi.

— A zatem cóż to być może?

— Ani pies, ani kot, ani małpa, ani wogóle żadne znane nam zwierzę. Próbowałem zrekonstruować w umyśle jego wymiary. Oto są cztery odciski nóg, zwierzę stało spokojnie. Odległość między nogą przednią a tylną wynosi mniej-więcej piętnaście cali. Dodajmy do tego szyję i głowę, a możemy przypuścić, że zwierzę ma najmniej dwie stopy długości, a może i więcej, jeżeli uwzględnimy jeszcze ogon. A teraz zastanówmy się nad innymi wymiarami: nieznanemu nam zwierzęciu poruszało się, widzisz tutaj odległość jego kroków, szerokość ich nie wynosi nigdzie ponad trzy cale. Wyciągnijmy wniosek, wypływający niezmiernie jasno z tych pomiarów: zwierzę ma ciało ogromnie długie i nie stosunkowo krótkie nogi. Na nieszczęście nie było tak uprzejme, aby zostawić nam próbkę swego owłosienia. Ale bądź co bądź wygląda tak, jak ci je przedstawiłem. Można jeszcze dodać, że należy do mięsożernych.

— A to z czego wnioskujeś.

— Z tego, że wybiegło w górę po portyerze.

W pobliżu drzwi wisiała klatka z kanarkiem, rabuś nasz miał widocznie smak na ptaszka.

— Ale jakież to było zwierzę?

— Ba, gdybym to wiedział, badanie moje byłoby niezmiernie ułatwione. Zalewie mogę przypuszczać do jakiej należy rodziny, a i to niezbyt pewnie.

— I sądzisz, że zwierzę to pozostaje w jakimś związku ze zbrodnią.

— To jeszcze kwestya niewyjaśniona. Bądź co bądź, jak widzisz, zrobiłem już ładny krok naprzód. Dochodzimy do przekonania, że człowiek ten przyglądał się z ulicy klótni między pułkownikiem a jego żoną, — okiennice nie były zamknięte, w pokoju paliła się lampa. Dalej widzimy, że towarzyszyło mu jakieś nieznanne zwierzę, że przebiegł po trawniku i przez okno dostał się do pokoju i że zamordował pułkownika Barclay'a. To ostatnie nie jest zbyt pewne, bo nie jest także wykluczone, że pułkownik, zobaczywszy tylko przybysza, padł przerażony na ziemię i roztrzaskał sobie głowę o wystającą kratę kominka. Tę ranę z tyłu można różnie wytłómaczyć. Wiemy wreszcie, że nieproszony gość, wychodząc z pokoju, zabrał w niewiadomym celu klucz od drzwi wchodowych.

— A jednak po tem, co powiedziałaś, sprawa wydaje mi się jeszcze mniej zrozumiałą, niż pierwiej — wtrąciłem.

— Masz słuszość. Dowodzi to niewątpliwie,

że problem ten jest bardziej zagadkowy, niż policya przypuszczała zrazu. I dlatego po dokładnym namyśle postanowiłem jeszcze raz przebieść pamięcią całą sprawę, ale z innego punktu widzenia. Pewnem było, że pani Barclay, wychodząc z domu o godzinie ósmej, pożegnała się z małżonkiem bez gniewu. Wprawdzie nigdy nie okazywała mu szczególnej czułości, ale woźnica słyszał wyraźnie słowa pożegnania i gotów przysiądz, że były one zupełnie serdeczne. Niemniej jest pewnem, że po powrocie do domu udała się do innego pokoju, niż zazwyczaj, tam, gdzie nie spodziewała się zastać męża, że kazała sobie o niezwyklej porze podać szklankę herbaty — jak wiesz, jest to ulubiony środek kobiecy na uspokojenie nerwów — i że wreszcie zaraz, skoro mąż wszedł do pokoju, zaczęła mu czynić gwałtowne wyrzuty. A zatem między godziną ósmą a dziewiątą stało się coś, co zmieniło zupełnie ustrój jej umysłu i jej uczucia dla męża. Panna Morrison towarzyszyła jej przez ten cały czas, więc pewnem było, że musi ona wiedzieć coś więcej o tej sprawie, chociażby, niewiedzieć jak, zaprzeczała.

— Najpierw przyszło mi na myśl, że może między starym Barclay'em a panną Morrison istniały jakieś czule stosunki i że pułkownikowa dowiedziała się o nich podczas przechadzki z panną Morrison. W ten sposób możnaby tłómaczyć gniew

pani Barclay po powrocie do domu, jakoteż twierdzenie młodej panny, że w ciągu tej godziny nie zaszło nic szczególnego. Ale z drugiej strony ta aluzya jakaś do imienia Dawida, a prócz tego wielka miłość, jaką pułkownik okazywał żonie, co wszyscy zgodnie stwierdzają. Tu już rodziły się wątpliwości. Wreszcie przekonujący argument: jak wytłumaczyć sobie w takim razie zjawienie się, owego obcego człowieka? Jak wytłómaczyć zniknięcie klucza? — Tak więc pierwsze przypuszczenie o stosunkach Barclay'a z panną Morrison odrzuciłem zupełnie, jako nie wytrzymujące żadnej krytyki. To jednak tem silniej utwierdzało mnie w przekonaniu, że młoda dama, gdyby tylko zechciała, mogłaby wyjaśnić, z jakiej przyczyny miłość pani Barclay do jej męża zamieniła się nagle w nienawiść. Postanowiłem udać się do panny Morrison, aby jej wykazać, że mam pewność, iż w jej ręku spoczywa rozwiązanie zagadki. Co więcej postanowiłem ją przekonać, że wszelkie zatajanie tego, co się stało, będzie najgorszą przysługą dla jej przyjaciółki, bo w takim razie będzie ona bezwarunkowo obwiniona o zamordowanie męża.

— Panna Morrison jest to osóbką wątłą, zgrabna, o płowych włosach, z bardzo pokorną miną. Nie brak jej ani bystrości umysłu, ani zdrowego rozsądku. Przez chwilę milczała i namyślała się patrząc w ziemię, potem podniosła oczy, spoj-

rzala na mnie śmiało i udzieliła mi następujących, nadzwyczaj ciekawych informacji:

«Przyrzekłam mojej przyjaciółce — rzekła — że zachowam tę sprawę w tajemnicy, a nie zwykłam łamać danego słowa. Ale w obec tego, że pani Barclay grozi tak ciężkie i straszne oskarżenie, w obec tego, że leży chora, bezprzytomna i nie może zeznawać, jest moim obowiązkiem nie taić niczego. I, o ile zdołam, chętnie panu dopomogę w pańskich usiłowaniach, opowiem dokładnie wszystko, co zaszło w ubiegły poniedziałek. Posiedzenie w zakładzie św. Jerzego zakończyło się około trzech kwadransy na dziewiątą. Pożegnaliśmy obecne panie i ruszyliśmy w stronę domu. Musiałyśmy przechodzić przez ulicę Hudson, która zwykle o tym czasie bywa cicha i pusta. Po lewej stronie ulicy paliła się latarnia. Przechodząc koło niej, spotkałyśmy jakiegoś człowieka, który wyglądał jak kaleka. Głowę miał wrośniętą głęboko między ramiona, na plecach garb, nogi wykrzywione, całe ciało pogiete w dziwacznej linii. Na plecach niósł jakąś skrzynkę, przewieszoną pasami przez ramiona. Garbus spojrział na nas pod latarnią, przystanął i zawołał strasznym głosem: «Boże mój, to przecież Nancy!» Pani Barclay zbladła jak trup i byłaby upadła na ziemię, gdyby nie to, że kaleka podtrzymał ją ramieniem. Chciałam już przywołać policję, ale spostrzegłam ku

niezmiernemu zdziwieniu, że pułkownikowa rozmawia bardzo uprzejmie z tym człowiekiem.

«— To ty Henryku — rzekła drżącym głosem — od trzydziestu lat uważałam cię za umarłego.

«— Bo też nim jestem — odpowiedział garbus takim głosem, że dreszcz przerażenia przebiegł moje ciało. Twarz jego była ponura i odrażająca, zjadliwy blask jego oczu ciągle jeszcze prześladuje mnie we śnie. Miał włosy i brodę przyproszone siwizną, skórę zwiędłą i pomarszczoną.

«— Moja droga — zwróciła się do mnie pani Barclay — bądź tak dobra i idź powoli naprzód. Chcę rozmówić się z tym człowiekiem. O, nie obawiaj się o mnie! — Aczkolwiek usiłowała nadać pewność swemu głosowi, wargi jej drżały, była ciągle śmiertelnie blada.

« Uczyliłam, jak żądała; oboje rozmawiali z sobą przez kilka minut. Potem pani Barclay podeszła ku mnie z oczyma płonącymi gniewem, kaleka stał jeszcze w blasku latarni i podnosił w górę zaciśnięte pięści, jak gdyby oszalały wściekłością. Pułkownikowa w ciągu całej drogi nie przemówiła ani słowa; gdy miałyśmy się już rozstać, uściśnęła mnie serdecznie i prosiła, abym nie wspominała nikomu o tem spotkaniu. — «Jest to mój dawny znajomy — rzekła — którego los dotknął bardzo ciężko». — Gdy przyrzekłam jej milczenie, ucałowała mnie gorąco. Wtedy widziałam się z nią po raz ostatni. Te-

raz więc, wiesz pan wszystko, co zataiłam przed policją; nie miałam bowiem wyobrażenia, jakie nieszczęście grozi mojej przyjaciółce. Złamałam przyrzeczenie, ale pewna jestem, że przyniesie jej to tylko pożytek, jeżeli prawda się wykryje».

— Zrozumiesz chyba, Watsonie, — ciągnął dalej Holmes, skończywszy opowiadanie — że wyznanie panny Morrison było dla mnie błyskiem światła w czarnej nocy. Wszystko, co dotąd wydawało mi się szeregiem niewiążących się z sobą faktów, mogłem teraz ułożyć w logiczne następstwo, zaczynałem tworzyć sobie pewne wyobrażenie o przebiegu całego wypadku. Najpierwszem i najważniejszym zadaniem musiało być oczywiście odszukanie człowieka, który wywarł na panią Barclay tak niezwykle wrażenie. Pomyslałem zaraz, że jeżeli mieszka jeszcze w Aldershot, to nie będzie go trudno odnaleźć. Mieszka tam wogóle niewiele osób z klas niższych, a kaleka z pewnością nie mógłby się ukryć. Cały dzień poświęciłem na poszukiwania, wreszcie w nocy udało mi się go znaleźć. Było to dzisiaj wieczorem, drogi Watsonie. Człowiek ten nazywa się Henryk Wood i wynajmuje mieszkanie na tej samej ulicy, gdzie spotkał się z panią Barclay. Bawi on w tej miejscowości dopiero od pięciu dni. Przedstawiłem się gospodyni domu jako urzędnik, prowadzący spisy mieszkańców i dowiedziałem się od niej rozmaitych rzeczy.

Człowiek ten zajmuje się pokazywaniem sztuczek magicznych. Gdy noc zapadnie włóczy się po szynkach i urządza przedstawienia. W skrzynce na plecach nosi jakieś zwierzę, którego gospodyni niezmiernie się obawia, bo nigdy jeszcze nie widziała podobnego stworzenia. Twierdzi ona, że zwierzę jest wytresowane i bierze udział w przedstawieniach. Gospodyni oświadczyła także, że nie pojmuje, jak człowiek może żyć z tak pokrzywionymi członkami. Niekiedy lokator jej mówi jakimś dziwnym językiem, do niczego niepodobnym; w ostatnich dwóch dniach był zrospaczony i zdenerwowany, jęczał i szlochał prawie bez przerwy. Nie brakuje mu wcale środków do życia, dał jej nawet znaczną sumę do przechowania, wśród pieniędzy tych znajduje się także nieznana jej zupełnie, złota moneta. Pokazała mi to dziwo, i wyobraź sobie moje zdumienie, była to indyjska rupia. — Tak więc przedstawiłem ci wszystko co sam wiem, drogi Watsonie. Zapewne domyślasz się już, do czego potrzebuję twojej pomocy. Jest zupełnie jasnym, że człowiek ów poszedł owego wieczora, za panią Barclay i przez okno zobaczył spór między małżonkami. Wdarł się do pokoju, przy czem tajemnicze zwierzę uciekło mu ze skrzyni. O tem zaś, co zaszło w pokoju, nie może nam nikt udzielić lepszych informacyi, jak on sam.

— I zamierzasz go o to zapytać?

— Oczywiście. Ale muszę to uczynić w obecności jakiegoś świadka.

— I ja mam być tym świadkiem?

— Tak jest, jeżeli się na to zgodzisz. — Zre-sztą zadanie nasze jest nader proste. Jeżeli wyjaśni mi sprawę, to rozstaniemy się zgodnie. Jeżeli odmówi wyjaśnień, nie pozostaje nic innego, jak postarać się o rozkaz aresztowania.

— Ale któż ci zaręczy, że będzie czekał w mieszkaniu, póki nie przyjdziemy.

— O, zarządziłem już potrzebne środki, aby nam nie umknął. Kilku moich chłopaków z Bakerstreet stoi na straży, malcy pójdą za nim wszędzie, gdzie się ruszy. Bądź więc spokojny, zastaniemy go jutro w jego mieszkaniu przy ulicy Hudson. Lecz teraz byłoby zbrodnią, gdybyśmy nareszcie nie udali się na spoczynek.

Spaliśmy zaledwie kilka godzin. Już wczes-rano znajdowaliśmy się na miejscu smutnej tra-gedyi, a potem, udaliśmy się szybko na ulicę Hudson. Aczkolwiek Holmes umiał dobrze ukry-wać wszystkie swoje uczucia, to jednak zauwa-żyłem dzisiaj u niego zdenerwowanie z trudem tylko pokonywane. I ja także doznawałem pe-wnego niepokoju, jak myśliwiec, który idzie na spotkanie zwierzyny; byłem też bardzo zado-wolony, że los pozwolił mi uczestniczyć w tym zagadkowym dramacie.

— Jesteśmy na miejscu — rzekł Holmes, skręcając w jedną z ulic pobocznych — Ale

oto biegnie Simpson, aby mi dać sprawę z powierzonego mu zadania.

— Jest w domu, jest w domu, mr. Holmes — wołał ulicznik, pędząc naprzeciw nas.

— Dobrze, Simpsonie — rzekł mój przyjaciel, głaskając go po głowie. — No chodźmy Watsonie, mieszka w tym domu.

Holmes posłał kalece swoją kartę wizytową i kazał mu powiedzieć, że chce się z nim rozmówić w bardzo ważnej sprawie.

W kilka minut później stanęliśmy naprzeciw człowieka, którego tak pragnęliśmy widzieć. Pomimo ciepła na dworze, siedział skulony przy kominku, w pokoju było tak parno jak w piecu. Cała jego postać była dziwnie pokrzywiona, lecz na wychudłej, słońcem spalonej twarzy znać było ślady dawnej piękności rysów. Spoglądał na nas nieufnie wyblakłemi oczyma, potem, nie mówiąc ani słowa, nie ruszając się z miejsca, wskazał nam dwa krzesła, stojące w pobliżu kominka.

— Jeżeli się nie mylę, mam przed sobą mr. Henryka Wood z Indyi? — rzekł Holmes przyjacielskim tonem. — Chciałbym pomówić z panem kilka słów o śmierci pułkownika Barclay'a.

— Skądże ja miałbym coś o tem wiedzieć?

— O to mi właśnie chodzi. Albowiem gdyby sprawa nie została wyjaśniona, to w takim razie pani Barclay, którą znasz pan dobrze jeszcze z Indyi, zostanie wedle wszelkiego pra-

wpodobieństwa oskarżona o zamordowanie swego męża.

Kaleka zerwał się przerażony.

— Nie wiem, kto panowie jesteście — zawołał — ani też skąd dowiedzieliście się o tem, co mówicie. Ale czy to prawda, co mówicie? Czy to prawda? Czy możecie przysiąc, że to prawda?

— Tak jest, mr. Wood. Oczekują tylko, aby pani Barclay odzyskała zupełną przytomność, a wówczas zostanie aresztowana.

— Wielki Boże! A może panowie także należycie do policyi?

— Nie.

— Więc cóż was ta sprawa obchodzi?

— Każdy człowiek powinien dążyć do tego, aby na świecie nie działa się niesprawiedliwość.

— Mogę przysiąc na to, że ona niewinna.

— Zatem pan jesteś mordercą?

— Nie, nie ja.

— A więc ktoś zabił pułkownika Barclay'a?

— Dosięgła go sprawiedliwość nieba. Ale to jedno mogę panom powiedzieć: Gdybym był roztrzaskał mu czaszkę, jak to zamierzałem, to byłaby to kara aż nazbyt zasłużona. Gdyby nie to, że sam strach zbrodniczego sumienia powalił go na ziemię, krew jego byłaby popłynęła najprawdopodobniej z mojej ręki. Chcesz pan, abym opowiedział wszystko? Dobrze, nie mam przy-

czyny nie ukrywać, a to, co powiem, z pewnością nie przyniesie mi ujmy.

— Oto siedzę tu przed panami, nieszczęśliwy kaleka nie mający niemal ani jednego całego żebra. A jednak był czas, kiedy kapral Henryk Wood był jednym z najpiękniejszych i najdzielniejszych żołnierzy 117-go pułku. Znajdowaliśmy się wówczas w Indyach, miejscowość owa nazywała się Bhurtee. Niedawno zmarły Barclay, był podoficerem w tej samej kompanii, w której służyłem. Ulubienicą pułku, najwspanialszą pięknością, jaka kiedykolwiek istniała na świecie, była Nancy Davoy, córka feldwebła. Dwóch ludzi ubiegało się o jej względy, ona wybrała jednego z nich. Patrzycie panowie na kalekę, nędzarza grzejącego się przy ogniu i będziecie się śmiać zapewne, gdy wam powiem, że kochała mnie, z powodu mojej wspaniałej postawy. Do mnie należało jej serce, ale ojciec jej postanowił, że powinna poślubić Barclay'a. Ja byłem lekkoduchem, zapalnym i porywczym, on miał większe wykształcenie, był dobrze widziany przez przełożonych. Dziewczyna była mi jednak wierną, już byłem pewny, że zostanie moją żoną, gdy nagle wybuchło powstanie, a wszystkie okropności piekła przepełniły kraj cały.

— Nasz pułk został zamknięty w Bhurtee, wraz z oddziałem artylerji, kompanją Sikhów i z całą ludnością cywilną, kobietami, dziećmi. Dziesięć tysięcy powstańców otaczało miasto,

czuwając nad nami jak sfora psów nad osaczoną zwierzyną. W drugim tygodniu oblężenia zaczęło brakować wody, rodziła się wątpliwość, czy generał Neill, maszerujący z wojskiem w głąb kraju, przyjdzie nam z pomocą. Niemożliwością było przebić się przez szeregi nieprzyjacielskie wraz z kobietami i dziećmi; jedynym ratunkiem mogła być odsiecz. Ale trzeba było zawiadomić armię angielską o naszej niedoli. W tej krytycznej chwili udałem się do komendanta twierdzy i oświadczyłem, że spróbuję się przekraść przez oblegające nas tłumy Hindusów i pospieszę do generała Neilla, błagać go o pomoc. Przyjęto chętnie moją propozycję. Ponieważ Barclay znał lepiej okolice miasta, niż ktokolwiek inny, więc omówiłem z nim plan mojej wyprawy, a on naznaczył mi dokładnie drogę najpewniej wiodącą do celu i pozwalającą zmylić czujność wroga. Jeszcze tego samego dnia z zapadnięciem nocy wyruszyłem w drogę. Miałem przynieść ratunek kilku tysiącom ludzi, ale myślałem tylko o niej jednej, o mojej ukochanej, gdy okryty ciemnością przekradałem się za mury twierdzy.

— Droga moja wiodła przez wyschłe łożysko rzeki, w którym spodziewałem się ukryć przed okiem patroli nieprzyjacielskich. Ale na najbliższym zakręcie drogi wpadłem w ręce sześciu uzbrojonych opryszków, czających się tam w ciemności. Daremnie próbowałem stawić opór;

powalono mnie na ziemię, związano mi ręce i nogi. Położenie moje było straszne. Ale stokroć większy ogarnął mnie smutek, gdy, odzyskawszy przytomność, zacząłem się przysłuchiwać rozmowom bandytów i gdy się dowiedziałem, że mój własny towarzysz, ten sam, który wyznaczył mi drogę, zdradził mnie z pomocą służącego Hindusa i wydał w ręce nieprzyjaciół.

— Nie będę się długo rozwodził nad kolejami mojego życia. W dzień później generał Neill przybył miastu z pomocą, Bhurtee zostało uratowane. Mnie zawlekli powstańcy do swych dalekich kryjówek i wiele lat upłynęło, zanim znowu zobaczyłem rodaków. Męczono mnie strasznie; próbowałem uciec, zostałem schwytany i dręczony znowu. Sami panowie widzicie na własne oczy, co się ze mną stało. Potem część bandytów uciekła do Napalu i zabrała mnie z sobą; stamtąd udali się w góry. Doszło do walki między powstańcami a tubylcami, tubylcy zwyciężyli, mnie, łup zwycięzki, zamieniono w niewolnika. Wreszcie udało mi się uciec. Powędrowałem ku północy zamiast na południe i dostałem się do Afganistanu. Tam błąkałem się przez długie lata, później udałem się do Pendżabu, gdzie żyłem przeważnie wśród krajowców, zarabiając na życie pokazywaniem czarodziejskich sztuczek, jakich się wyuczyłem w ciągu wędrówki.

— I po cóż miałem, nieszczęśliwy kaleka,

powracać do ojczyzny, odszukiwać towarzyszy młodości? Nawet żądza zemsty nie mogła mnie do tego nakłonić. Wołałem, aby Nancy i moi dawni koledzy przypuszczali, że Henryk Wood zginął bohatersko. Wołałem to, niż stanąć przed nimi jako niedołęga o kiju. Nikt nie wątpił w moją śmierć i byłem z tego zadowolony. Dowiedziałem się, że Barclay ożenił się z moją narzeczoną i że szybko awansował w górę aż do najwyższych godności pułkowych, ale przez wzgląd na nią milczałem o jego zbrodni. Ale gdy się człowiek starzeje, zaczyna tęsknić za ojczyzną. Długie lata marzyłem o cudnej zieleni łąk i lasów angielskich, wreszcie postanowiłem zobaczyć je raz jeszcze przed śmiercią. Miałem dosyć pieniędzy, zresztą przybywszy tutaj, wszedłem między żołnierzy, gdzie mi nie brakuje ładnego zarobku, bo znam naturę żołnierską i wiem co jej sprawia przyjemność.

— Opowiadanie pańskie jest istotnie nader zajmujące — rzekł Sherlock Holmes. — Słyszałem już o tem, w jaki sposób spotkałeś pan panią Barclay i w jaki sposób poznaliście się oboje. Potem poszedłeś pan za nią, nieprawda? Ujrzałeś pan przez okno, jak czyniła wyrzuty swemu mężowi i zmusiła go do wyznania zbrodni, której się wobec pana dopuścił. Gniew zapanował w pańskim sercu; szybko pobiegłeś pan przez trawnik i przez okno dostałeś się do pokoju.

— Tak jest panie, tak uczyniłem. Gdy Bar-

clay zobaczył mnie, twarz wykrzywiła mu się strasznie. Upadł na ziemię, jak gdyby rażony piorunem i uderzył głową o kratę przy kominku. Ale życie już pierwaj uleciało z jego ciała. Widok mój ugodził w jego zbrodnicze serce, jak zatruta strzała.

— A potem?

— Nancy zemdlala. Wyjąłem z jej ręki klucz od drzwi, chciałem je otworzyć i zawołać o pomoc. Ale po krótkim namyśle zdecydowałem się inaczej, postanowiłem uciec. Pozory zanadto przemawiały przeciwko mnie, w każdym zaś razie musiałbym wyjawic moją tajemnicę, gdyby mnie uwięziono. To też wsadziłem klucz do kieszeni i rozpocząłem polowanie za moim kochanym Teddy, który tymczasem wydrapał się na portyere. Przy tej sposobności upuściłem na ziemię moją indyjską laskę. Gdy Teddy był już w pudle, uciekłem, jak mogłem najszybciej.

— Któż to jest Teddy? — spytał Holmes.

Garbus wstał i otworzył małą skrzynię, stojącą w rogu pokoju. Natychmiast wyszło z niej piękne, brunatno-czerwone zwierzątko. Było gibkie i długie, miało długi, chudy nosek, króciutkie nogi i najwspanialsze czerwone oczy, jakie kiedykolwiek widziałem.

— To indyjski mangust! — zawołałem.

— Tak nazywają go niektórzy, a inni znowu mówią, że nazywa się ichneumon — rzekł garbus. — Ja nazywam mojego Teddy łapaczem

wężów, bo w mig chwytą kobrę. Mam tu w skrzynce także małą kobrę, której wyrwano zęby trujące, a Teddy poluje na nią co wieczór ku niezmiernej uciechu żołnierzy w kantynie. — Czy żądasz pan jeszcze jakich wyjaśnień?

— Być może, że jeszcze raz zwrócę się do pana, gdyby pani Barclay groziło naprawdę jakieś niebezpieczeństwo.

— W takim razie natychmiast zeznam wszystko przed sędzią.

— Oprócz tego nie sądzę, aby należało tę starą zbrodnię wywlekać na światło dzienne. To prawda, że postąpił z panem ohydnie, po łajdacku. Ale masz pan przynajmniej to zadowolenie, że przez trzydzieści lat dręczyły go wyrzuty sumienia z powodu tego zbrodniczego czynu, przez trzydzieści lat nie zaznał spokoju. — Ale widzę tam na ulicy majora Murphy. Bądź pan zdrow, mr. Wood, muszę się dowiedzieć, jaki obrót sprawa przybiera.

Dopędziliśmy majora, zanim jeszcze skręcił w boczną ulicę.

— Ach, to pan mr. Holmes. Czy słyszałeś pan już, że cały ten kram, wszystkie te dochodzenia były zupełnie niepotrzebne?

— Jakto?

— Lekarze ukończyli sekcję. Udowodniła ona, że Barclay zmarł z powodu apopleksyi.

Głowę roztrzaskał sobie już po śmierci. Więc rozwiązanie zagadki było jednak bardzo proste.

— Tak jest, niezwykle proste — rzekł Holmes z nawpół ironicznym uśmiechem. — No chodź, Watsonie. Jak sądzę, nie mamy tu już nic do czynienia w Aldershot.

— Jednego tylko nie rozumiem jeszcze — rzekłem, idąc z Holmesem w stronę dworca kolejowego. — Skoro pułkownik miał imię James, a tamten Henryk, cóż znaczył ów Dawid.

— To jedno jedyne słowo powinno mi być odrazu wyjaśnić całą sprawę, drogi Watsonie, gdybym był istotnie tak wielkim myślicielem, jakim mnie zawsze przedstawiasz. Była to najoczywistej treść wyrzutu.

— Wyrzutu?

— Tak, wyrzutu, jaki pani Barclay uczyniła swemu mężowi. Także król Dawid błędził czasami i schodził z drogi cnoty w zupełnie podobny sposób, jak podoficer James Barclay. Przypominasz sobie zapewne epizod z Uryaszem i Batseba. Analogia zupełna.

BLIZNA



Azaak Whitney, brat nieboszczyka Eliasza
Whitneya, doktora Teologii i rektora semi-
naryum predykantów w St. Georgen, był namię-
tnym palaczem opium. O ile mi wiadomo, popadł
w ten nalóg przez naiwną lekkomyślność, bę-
dąc jeszcze w szkole. Czytał wówczas książkę
de Quinceya opisującą sny i marzenia palacza
opium, więc napoił sobie tytoń tynkturą opium,
aby dojść do tych samych rezultatów. Przy tem
stało się z nim to samo, co już z tylu innymi:
dowiedział się, że o wiele łatwiej przyzwyczaić
się do czegoś, niż potem przyzwyczajenia zanie-
chać. W ten sposób całe lata był niewolnikiem
tej trucizny, a dla rodziny i przyjaciół przed-
miotem wstępu lub litości.

Mam go jeszcze przed oczyma, jak siedzi
w fotelu, z twarzą żółtą i nabrzmiałą, z obwi-
słemi powiekami i źrenicą zmniejszoną tak, że
wyglądała jak główka od szpilki. Ruina człowieka!

Było to w czerwcu r. 1889. Pewnego wieczora,

mniej więcej w czasie kiedy człowiek zaczyna ziewać i patrzeć na zegarek, zadzwoniono do drzwi mego domu. Podskoczyłem w górę, a moja żona opuściła z niezadowoloną miną robótkę.

— Pewnie wołają do chorego — rzekła — Będziesz musiał jeszcze wyjść.

Westchnąłem, bo niedawno wróciłem do domu po całodziennej pracy.

Drzwi się otwarły, usłyszeliśmy kilka słów rzuconych pospiesznie, a potem szybkie kroki po linoleum, zakrywajacem podłogę. Drzwi do pokoju otworzył ktoś gwałtownie i weszła jakaś nieznamą, ciemno ubrana, zawołowana dama.

— Niech pan wybaczy, że o tej porze...

Nagle straciła, jak się zdaje, wszelkie panowanie nad sobą, gdyż rzuciła się mej żonie na szyję, wybuchając płaczem:

— W strasznem, w strasznem położeniu jestem — krzyknęła — Potrzebuję pomocy!...

— Co? — zawołała moja żona — Czyżbyś to była ty, Kathie Whitney?

I odsłoniła przybyłej woalkę.

— Aleś mnie przestraszyła, Kathie! Gdyś weszła, nie miałam wyobrażenia, że to ty.

— Nie miałam innego sposobu, jak schronić się do ciebie.

Była to stara historia, że wszyscy, potrzebujący pomocy, przychodzili jak w dym do mojej żony.

— Jak to dobrze, żeś przyszła, napij się wody

z winem i siadaj spokojnie. Potem opowiedz nam wszystko. A może wolisz, abym męża posłała spać?

— Nie, nie. Trzeba mi również rady i pomocy doktora. Idzie o mego męża. Od dwóch dni nie wrócił do domu. Boję się strasznie o niego.

Nie po raz pierwszy mówiła o przykrościach, na jakie narażał ją mąż. Ze mną rozmawiała o tem jako z lekarzem, zaś z moją żoną jako ze starą przyjaciółką i powiernicą jeszcze ze szkolnych czasów. Uspokoiłiśmy ją i pocieszali, jak się tylko dało. Zapytałem teraz, czy wie, gdzie się mąż obraca i czy możemy jej dopomóc w sprowadzeniu go do domu z powrotem.

Tak się zdawało. Kathie przekonała się, że ostatnimi czasy, gdy mąż jej ulegał nałogowi palenia opium, udawał się do nory palaczy, leżącej na krańcu wschodniej dzielnicy miasta. Zwykle orgie te ograniczały się do jednego dnia; wieczorem, złamany na duszy i ciele, chwiejnym krokiem wracał do domu. Ale tym razem już czterdzieści ośm godzin znajdował się w fatalnych uściskach namiętności. Nie ulegało kwestyi, że w tej chwili leżał gdzieś między wyrzutkami społeczeństwa, pogrążony w śnie narkotycznym, albo też paląc truciznę. Kathie sama była przekonana że zastanie go tam, w norze «Pod dukatem» na ulicy Swandam. Ale cóż tam mogła sama dokonać? Jak mogła udać się do takiej spelunki i wydobyć męża z pośród ga-

wiedzi, jaka tam się znajdowała? Młoda kobieta, trwożliwa, nie mogła się odważyć na krok podobny.

Tak rzecz się miała. W istocie był tylko jeden sposób wyjścia ze sytuacji. Powiniennem był towarzyszyć jej w tej podróży. A możeby lepiej było, abym sam tam się udał? Byłem lekarzem domowym jej męża i w tym charakterze uzyskałem na niego pewien wpływ. Mogłem też działać o wiele swobodniej, będąc sam. Przyrzekłem nieszczęśliwej, że odeślę jej męża do domu w przeciągu dwóch godzin, jeżeli naturalnie znajdę go tam, gdzie według wszelkiego prawdopodobieństwa przebywał. W dziesięć minut potem byłem już daleko od ciepłego pokoju i wygodnego fotelu, wyjeżdżając z domu w sprawie, która od samego początku wydawała mi się nie tak prostą, jak na pierwszy rzut oka by można sądzić, a jak się potem w istocie okazało, prostą być nie miała.

Pierwsza część mej sprawy udała się bez żadnych przeszkód. Ulica Swandam jest to szkaradny zaułek, ukryty za wielkimi domami w których się mieszczą składy, idące od północnego brzegu Tamizy do London-Bridge. Strome schody, położone między budą tandeciarza a jakimś szynkiem, prowadziły do dziury pod parterem; była to owa nora «Pod dukatem». Kazałem woźnicy czekać i zeszedłem po schodach, wydeptanych w środku od ciągłego stąpania

pijanych nóg. Nad drzwiami ćmiła się lampka olejna. Znalazłem klamkę i wszedłem do niskiego pokoju czy piwnicy, przepelnionej brunatnym dymem opium, a umeblowanej, jeżeli to można nazwać umeblowaniem, tak jak miejsca międzypokładowe statków, na których płyną emigranci, drewnianymi tapczanami, sięgającymi aż do sufitu.

Trudno było rozpoznać w dymie, kto jest i czy kto jest w tej dziurze? Dopiero po chwili widziało się, że na tapczanach leżą jakieś postacie w fantastycznych pozycjach, skurczone, z kolanami wysuniętymi do góry, z głową odrzuconą w tył i podbródkiem sterczącym w górę. Ciemne przygasłe oczy zwracały się na przychodnia. W ponurym cieniu zapalały się od czasu do czasu małe iskierki: to bledsze, to jaśkrawsze, stosownie do tego, czy trucizna, paląca się w metalowych główkach fajek kończyła się tlić, czy zaczynała. Przeważnie ludzie, leżący tam, zachowywali się spokojnie i milczeli. Niektórzy jednak mruczełi coś do siebie, inni zaś rozmawiali ze sobą głosem dziwnie cichym i monotonnym. Zdania wylatywały im z ust nagle i odrazu; potem znów panowało milczenie. Każdy snuł tok swych myśli dalej, nie troszcząc się o to, co mówi sąsiad.

Na drugim końcu tej nory stała mała miśeczka z żarzącymi się węglami. Przy niej siedział na trójnogu jakiś chudy, stary mężczyzna.

Oparł brodę na rękę i patrzył się bezmyślnie w żar.

Zaledwie wszedłem, przyskoczył do mnie brudny Malajczyk z fajką i opium i chciał mi wskazać puste miejsce na tapczanie.

— Dziękuję. Nie mam zamiaru tutaj pozostawać — rzekłem. — Ale jest tutaj mój znajomy, Izaak Whitney. Chciałbym z nim mówić.

W dymie coś się poruszyło i usłyszałem krzyk. Spojrzałem w tę stronę i zobaczyłem Whitneya, który siedział na tapczanie, blady, ze zmierzwionym włosom i patrzył się na mnie błędnymi oczyma.

— Boże — jęknął — toś ty, mój drogi?

Znajdował się właśnie w stanie, kiedy truczna działa najostrzej. Widać było, że drży w nim każdy nerw.

— Która godzina? — spytał.

— Zaraz będzie jedenasta.

— A jaki to dzień dzisiaj?

— Piątek, dziewiętnastego czerwca.

— Boże, Boże! A ja myślałem, że to środa. Ale nie, dziś jest środa! Jakże możesz tak żartować? Czy nie wiesz, że to mnie straszysz? Po co mnie straszysz?

Przy tych słowach ukrył twarz w dłoniach i zaczął głośno lkać.

— Zapewniam cię, że dziś jest istotnie piątek. Żona twoja od dwóch dni czeka na ciebie. Wstydziłbyś się przed samym sobą!

— Ależ ja się wstydzę... Ale chcesz mnie zwieść, bo ja jestem tutaj dopiero od paru godzin... Wypaliłem parę fajek, może dwie, może trzy... nie wiem dobrze, ile. Pójdę jednak z tobą do domu, bo nie chcę, aby Kathi się bała, moja biedna Kathi. Podaj mi rękę. Czy masz dorożkę ze sobą?

— Tak jest, czeka na nas.

— To pojedę nią. Dobrze? Ale muszę być tutaj coś winien gospodarzowi. Zapłacić za mnie, bądź tak dobry. Nie wiem, gdzie mi głowa stoi.

Aby ująć zabójczemu działaniu ohydneho dymu, poszedłem, wstrzymując oddech, między podwójnym rzędem tapczanów, szukając gospodarza.

Gdy przechodziłem koło postaci, siedzącej nad miską z żarem, poczułem nagle, że mnie ktoś chwyta za poję i jakiś cichy głos szepece:

— Przejdź koło mnie, a potem obróć się i spojrzuj w moją stronę.

Spojrzałem, usłyszawszy wyraźnie te słowa, lecz nie mogłem się domyślić, od kogo pochodzą. Chyba rzucił je starzec, siedzący przy ogniu, lecz ten patrzył jak dawniej w popiół i węgle, zgarbiony wiekiem, z fajką, kolyszącą się między kolanami, jak gdyby dopiero co wysunęła się z drżących palców.

Poszedłem dwa kroki naprzód i obejrzałem się. W tej chwili musiałem zebrać całą przytomność umysłu, aby nie krzyknąć głośno. Sta-

rzec obrócił się tak, że nikt prócz mnie, nie mógł mu spojrzeć w twarz. Wyprostował się, zmarszczki zniknęły, przygasłe oczy zapłonęły ogniem. Człowiekiem, który siedział przy ogniu i najoczywiściej bardzo się cieszył z mego zdumienia, był Sherlock Holmes.

Dał mi znak, abym się zbliżył, a gdy obrócił twarz ku innym, ukazał się na niej znów dawny wyraz tępoty i starczego przygnębienia.

— Holmesie — szepnąłem — skąd ty tutaj, w tej norze?

— Tylko cicho — odpowiedział — nie potrzebujesz tak głośno mówić. Słyszę doskonale. Gdybyś był tak dobry, pozbyć się tego biedaka i odesłać go do domu, to byłbym bardzo rad pogawędzić z tobą parę chwil.

— Tam czeka na mnie powóz.

— To odeslij nim tego człowieka do domu. Nic mu się nie stanie. Jest za bardzo osłabiony i przytępiony, aby narobić jakiego bałamuctwa. Dobrzebys także zrobil, donosząc swej żonie przez woźnicę, że mamy tutaj ze sobą do pogadania. Za pięć minut będę na dworze. Poczekaj na mnie, jeżeliś taki laskaw.

Trudno było czegoś odmówić Holmesowi, już choćby dlatego, że prosił zawsze tak spokojnie i tak stanowczo. Zresztą miałem wrażenie, iż z chwilą, gdy Whitney usiadzie w powozie, aby udać się do domu, moje zobowiązanie względem jego żony jest spełnione.

Czyż mogłem zaś życzyć sobie czegoś bardziej ciekawego, jak nowej przygody z moim przyjacielem Holmesem? W jednej chwili napisałem kartkę do żony, zapłaciłem za Whitneya rachunek, wsadziłem go do powozu i wkrótce byłem sam na ulicy.

Wkrótce potem ukazała się na schodach nory jakaś skulona postać; był to Holmes. Długi czas szedł przy mnie, wlokąc się powoli, ze schyłym grzbietem i kołysząc się na nogach. Potem obejrzał się, wyprostował i wybuchnął serdecznym śmiechem.

— No cóż, mój drogi? — rzekł. — Zapewne myślisz, że do wstrzykiwania kokainy i tym podobnych słabostek, które zawdzięczam pośrednio zaznajomieniu się z twą czcigodną wiedzą medyczną, przybyła jeszcze jedna: palenie opium?

— Przyznam ci się, że byłem nieco zdumiony, widząc cię tutaj...

— Możesz być przekonany, że i ja nawzajem...

— Szukałem mego przyjaciela.

— A ja nieprzyjaciela!

— Nieprzyjaciela?

— Tak jest. Jednego z mych naturalnych nieprzyjaciół, a jeżeli wolisz jednego z ludzi, którzy są naturalną moją zdobyczą. Jednym słowem jestem właśnie zajęty bardzo zawikłaną historią i spodziewam się, że w gadaniu tych biednych palaczy odnajdę klucz tajemnicy, jak

mi się to już nieraz udawało. Gdyby mnie jednak poznano, byłbym zgubiony, gdyż nieraz już przychodziłem tam, aby się czego dowiedzieć, i ten Malajczyk, lotr pierwszej klasy, poprzysiął mi zemstę. W tylnej ścianie tego budynku znajduje się okno. Gdyby to okno mogło mówić, opowiedziałoby straszliwe historie o tem, co się wyrzuca przez nie w ciemne, bezksiężycowe noce.

— Cóż takiego? Przecież nie myślisz chyba o trupach.

— Tak jest, o trupach. Gdybyśmy za każdego biedaka, którego tak uśmiercono, dostali po tysiąc funtów, nie potrzebaby już nam ani grosza. Jest to najstraszniejsza mordownia w całym Londynie i boję się, że Neville St. Clair dostał się tutaj i nie wyszedł już nigdy na światło dzienne.

Tutaj Holmes przerwał, włożył palce do ust i gwizdnął przeraźliwie. Niedaleko dał się słyszeć drugi podobny świst, poczem usłyszeliśmy turkot kół i tętent koni.

Z ciemności wynurzył się wielki wózek do polowania. Z latarni padały na nas dwa długie złotawe promienie.

— Jedziesz ze mną? — spytał Holmes.

— Jeżeli ci się zdam na co, to bardzo chętnie.

— Przyjaciel zawsze się na coś przyda, zwłaszcza, gdy w dodatku umie obchodzić się z pió-

rem. W pokoju moim, «Pod cedrami» mam dwa łóżka i tak.

— «Pod cedrami?»

— Tak jest, w domu St. Claire'a. Mieszkam tam, dopóki nie skończę poszukiwań.

— Gdzież to jest?

— Koło Lee w hrabstwie Kent. O siedm mil stąd.

— Ależ ja nie wiem zupełnie, o co chodzi.

— To też zaraz się dowiesz. Siadaj tyłko. Pojedziemy sami, mój Janie. Ja będę sam powoził. Masz tutaj na piwo. Jutro około jedenastej z rana możesz tu na mnie czekać.

Holmes zaciął konie z lekka i pojechaliśmy szybko przez długie, puste ulice, które rozszerzały się zwolna, aż otworzyły się na szeroki most, pod którym powoli płynęła brudna zamulona rzeka. Ipo drugiej stronie takie samo morze domów. Ciszę nocną przerywało tylko jednostajne stąpanie policyantów i od czasu do czasu hałasy pijaków, powracających do domów. Na niebo wysuwała się zwolna ciemna masa chmur; gdzieś tam tylko przedzierało się światełko gwiazdy. Holmes milcząc jechał naprzód, z głową pochyloną na piersi, zamyślony. Mimo całej ciekawości, nie chciałem mu przerwać. Ujechaliśmy już parę mil i dosięgliśmy ostatnich will podmiejskich, gdy Holmes podniósł głowę, wzruszył ramionami i zapalił fajkę, oddawszy mnie lejce na chwilę, z miną człowieka, który jest ze siebie

zadowolony, gdyż wie, że czyni wszystko, co w jego mocy.

— Ty masz, mój drogi, jeden rzadki przymiot; dar milczenia. To czyni cię wprost nieocenionym towarzyszem — rzekł wreszcie. — Na honor, dla mnie jest to rzecz niesłychanej wagi, mieć kogoś, przed kim mogę się wygadać, gdy myśli moje nie są na razie najprzyjemniejszej natury. Właśnie myślałem nad tem, co powiem tej poczciwej kobiecie, gdy dziś zechce się ze mną zobaczyć?

— Zapominasz, że o niczem jeszcze nie wiem.

— Zanim będziemy w Lee, znajdzie się właśnie dość czasu, aby opowiedzieć ci wszystko ze szczegółami. Historia sama wygląda niesłychanie prosto, a jednak nie wiem, co z nią począć. Nitek pełno, lecz nie mogę trafić na właściwą. Pozwól przeto, że opowiem ci wszystko jasno i wyraźnie. Być może, iż ty odnajdziesz jakie światelko tam, gdzie dla mnie jest wszystko zupełnie ciemne.

— Zaczynij tylko. Słucham.

— Przed kilku laty, mówiąc dokładnie: w maju 1884, przybył do Lee człowiek nazwiskiem Neville St. Clair, jak się zdawało, zamężny. Zajął wielką willę, założył ładne ogrody i żył pod każdym względem na dużej stopie. Powoli zaczął wchodzić w stosunki sąsiedzkie i nakoniec w r. 1887 ożenił się z córką tamczego piwowara i miał z nią dwoje dzieci. Nie

trafił się właściwie niczem, lecz brał udział w różnych przedsiębiorstwach. Wychodził też z rana do miasta i wracał zwykle wieczorem, pociągami o 5.14 minut. St. Clair ma obecnie lat 37, jest człowiekiem spokojnym, dobrym mężem i ojcem i lubią go wszyscy znajomi. Mogę jeszcze dodać, że, o ile mogłem zbadać, długi jego wynoszą obecnie wszystkiego razem 88 funtów i dziesięć szylingów, w banku zaś ma na swoje dobro zapisanych 220 funtów. Nie ma więc mowy o tem, aby znajdował się w kłopotach pieniężnych.

W ubiegły poniedziałek pojechał wcześniej niż zwykle do miasta, oświadczywszy poprzednio, że ma dwa ważne interesy do załatwienia i że przywiezie synkowi skrzynkę budowlaną. Tego samego dnia z rana, niedługo po odjeździe St. Clair, żona jego otrzymała depezę, iż przysyłka pocztowa znacznej wartości, jakiej oczekiwała, nadeszła i że jest do odebrania w urzędzie pocztowym w gmachu stowarzyszenia okrętowego Aberdeen. Gmach ten znajduje się jak wiesz, na ulicy Fresno, która przytyka do ulicy Swandam, gdzie zastałeś mnie właśnie. Pani St. Clair zjadła drugie śniadanie, a potem udała się do miasta, porobiła zakupy, odebrała pakiecik z poczty i o godzinie 4.45 wróciła na stację kolei przez tę ulicę Swandam. Czy uważałeś dobrze?

— Dotychczas jest wszystko jasne.

— Tak jest do końca. Przypominasz sobie może, iż w poniedziałek było nadzwyczaj gorąco. Pani St. Clair szła bardzo wolno i spoglądała dokoła, w nadziei, że zobaczy przejeżdżającą drożkę, w tej bowiem okolicy nie czuła się zbyt bezpieczną. Idąc tak przez ulicę Swandam, usłyszała nagle krzyk i zdrętwiała ze strachu, zobaczywszy swego męża, który wymachiwał ku niej rękami z okna drugiego piętra. Okno było otwarte, tak, iż widziała wyraźnie jego twarz, niesłychanie zmienioną. Dając jej gwałtowne znaki rękami, St. Clair nagle zniknął z okna, tak, że zdawało się, iż jakaś nieprzeparta siła pociąga go w tył. Przy tem zauważyła pani St. Clair, iż mąż jej był tak samo ubrany, jak poprzednio w domu, lecz nie miał kołnierza ani krawatki na szyi.

Przekonana, że mąż jej popadł w ręce opryszków, zbiegła pani St. Clair po schodach — gdyż dom ten był właśnie ową norą palaczy opium, gdzie znalazłeś mnie dzisiaj wieczorem — przebiegła przez sień i chciała wbiec na schody, wiodące na piętro. Wówczas zastąpił jej drogę ów łotr Malajczyk i z pomocą pewnego Duńczyka, który służy u niego za parobka, wypchnął ją na ulicę. Kobieta, nawpół oszalała z trwogi, pobięgła ulicą. Szczęśliwy przypadek zrządził, że na ulicy Fresno natrafiła na paru policyantów, którzy właśnie obchodzili ulicę pod wodzą inspektora. Ten poszedł za nią z dwoma policyan-

tami i mimo oporu gospodarza wdarł się aż do pokoju, z którego wyglądał St. Clair na ulicę. Ani śladu nie znaleziono. Na całym piętrze nie było nikogo, tylko jakiś ohydny kaleka, który, jak się zdawało, mieszkał tam. Zarówno on jak i gospodarz spelunki przysięgali się, że oprócz nich nikogo przez całe popołudnie nie było w pokoju frontowym. Zapewnienia ich brzmiały tak wiarygodnie, że nawet inspektor przechylił się już na ich stronę, w przekonaniu, że może pani St. Clair się zdawało, gdy ta nagle rzuciła się z krzykiem na skrzynkę drewnianą, stojącą na stole i zerwała nakrywkę. Ze środka wysypały się kamyki budowlane dla dzieci. Była to zabawka, jaką mąż jej przyobiecwał synowi.

To odkrycie, jako też pomieszczenie, widoczne w twarzy kaleki, przekonały inspektora, iż sprawę trzeba traktować zupełnie na seryo. Przeszukano zaraz cały dom. Wszystko, co zobaczono i wysledzono, wskazywało, iż ma się do czynienia ze straszną zbrodnią. Frontowy pokój był przeznaczony na mieszkanie i skromnie urządzone. Drzwi prowadziły zeń do małej sypialni z widokiem na tył doków. Między dokiem a oknem tego sypialnego pokoiku znajduje się wążka drożyna, sucha podczas odpływu, lecz podczas przypływu pokryta wodą na cztery do pięciu stóp. Okno było szerokie i dawało się podsuwać do góry. Przy dokładnem obejrzeniu znaleziono na gzymsie okna ślady krwi, kilka kropel splamilo

podłogę. Za kotarą w frontowym pokoju leżały na kupie wszystkie suknie St. Clair'a. Brakowało tylko surduta. Buty, skarpetki, zegarek, kapelusz, wszystko było. Nie można było zauważyć żadnego śladu gwałtu. Ale zbrodni dokonano bezwarunkowo. Według wszelkiego prawdopodobieństwa St. Clair został wyrzucony przez okno, gdyż nie można było go wynieść żadną inną drogą. Podejrzane ślady krwi na gzymsie nie pozostawiały nadziei, aby mógł się uratować, płynąc, gdyż w chwili zbrodni przypływ osiągnął właśnie swój najwyższy punkt.

A teraz do lotrów zamieszanych w tę sprawę. Malajczyk była to figura dobrze znana policyi, lecz skoro sama pani St. Clair mówiła, że w kilka sekund po ukazaniu się pana St. Clair przy oknie był już na dole, więc odgrywał zapewne w samej zbrodni rolę uboczną. W obronie swej ograniczał się do twierdzenia, że o niczem nic nie wie. Twierdził, że nie wie nic, co robił, czy nie robił jego lokator, Hugo Boone i oświadczył że nie może w żaden sposób sobie wytłumaczyć, jakim sposobem znalazły się w jego domu suknie pana St. Clair.

Tyle co do gospodarza. A teraz ów kaleka, który mieszka na drugiem piętrze nad ową norą. Nie ulega wątpliwości, że on był ostatnią ludzką istotą, jaką widział St. Clair przed zgonem. Nazywa się Hugo Boone, a każdy, kto często bywa w City, zna jego ohydną, wstrętną fizyognomię.

Jest on z zawodu żebrakiem i trudni się nadto handlem zapalkami woskowemi, aby upozorować żebractwo przed policją. Na ulicy Treadneedle widać na lewo mały zakątek między murami dwóch kamienic. Tam siada ten drab codziennie, rozkłada przed sobą zapalki, a sam widok jego budzi takie politowanie, pomieszane ze wstrętem, iż do zatłuszczonej czapki pada istny deszcz miedziaków. Nie przypuszczając, że kiedyś będę miał z tym łotrem do czynienia, obserwowałem go nieraz, jak znaczne sumy zbiera w krótkim stosunkowo czasie. Wygląd jego należy do rzędu zjawisk, koło których niepodobna przejść obojętnie. Włosy ma rude, twarz bladą, zeszpeconą ohydną blizną, która, zrastając się, wykrzywiła mu usta; szczękę godną buldoga i ciemne oczy, kontrastujące szczególnie z włosami. Wszystko to wyróżnia go odrazu od innych żebraków; wyróżnia go nadto dowcip. Na każdą uwagę przechodnia ma zawsze gotową odpowiedź. Takim jest lokator palarni opium, człowiek, który musiał ostatni widzieć St. Clair'a.

— Ależ to kaleka! — zauważyłem — Cóżby on poradził wobec człowieka w sile wieku?

— Prawda, że jest kaleką, gdyż kuleje i chodzi przy pomocy kuli. Zresztą jednak jest silny, jak się zdaje i dobrze odżywiony. Twe doświadczenie lekarskie powie ci, mój drogi, że słabość jednego członka wynagradza się zwykle jeszcze zwiększoną siłą innych.

— Ale mów dalej, proszę cię bardzo.

— Pani St. Clair, zobaczywszy krew na oknie, zemdlala i policyant odwiózł ją w powozie do domu, zwłaszcza, że obecność jej przy dalszych poszukiwaniach była zbyt cenna. Inspektor Barton, który zajął się tą sprawą, przeszukał wszystko jeszcze raz, jak najdokładniej, lecz nie znalazł nic, coby mogło rozjaśnić zajście. Błąd wielki popełniono jednak przez to, iż Boona pozostawiono jeszcze przed aresztowaniem, parę minut swobodnie, tak, że mógł się porozumieć z Malajczykiem. Ujęto go jednak zaraz i zrewidowano, lecz nie znaleziono nic obciążającego. Wprawdzie na prawym rękawie u koszuli znaleziono parę kropel krwi, lecz kaleka pokazał, że ma na palcu pod paznokciem skaleczenie i powiedział, że stąd pochodzą ślady. Dodał też, iż zapewne krew na oknie pochodzi również z tej samej ranki, zaprzeczył, jakoby miał kiedykolwiek widzieć na oczy pana St. Clair, i zapewnił, że dziwi się, niemniej jak policyanci, skąd się wzięły w jego pokoju suknie St. Clair'a. Co do zeznań pani St. Clair, iż widziała swego męża w oknie, to albo kobieta musi być obłąkana, albo też śniła na jawie. Po tem wszystkim, kaleka, mimo krzyków i oporu, został zabrany na policyę, inspektor zaś pozostał na miejscu, w nadziei, że odpływ przyniesie nowe szczegóły zbrodni.

I tak się też stało, aczkolwiek w mule nie

znaleziono tego, czego się spodziewano: zwłok St. Clair'a. Natomiast leżał tam surdut jego. I, jak sądzisz, co znaleziono w kieszeniach?

— A cóżby miano znaleźć?

— Nigdybys nie zgadł. Wszystkie kieszenie były wypchane miedzianą monetą: było tam 421 pensów i 270 sztuk półpensowych. Nic dziwnego, że odpływ nie zabrał surduta ze sobą. Ale z ciałem ludzkim rzecz inna. Pomiedzy domem, a dokami tworzy się silny wir. Tym sposobem da się pomyśleć, że ciężki surdut pozostał, zaś nagie ciało popłynęło z biegiem rzeki.

— Zatem ciało było odziane tylko w surdut?

— Nie, tak nie było, ale fakta pozwalają objaśnić wszystko w zupełnie wiarygodny sposób. Przypuśćmy, że Boone wyrzucił St. Clair'a z okna tak, że nikt nie widział zbrodni. Co musiał teraz uczynić? Przedewszystkiem pozbyć się jak najprędzej sukien, które mogły zbrodnię zdradzić. Wziął się nasamprzód do surduta. W chwili, gdy miał go rzucać, przypomniał sobie, że lekka materya wypłynie na wierzch. Czas nagli, gdyż z dołu słyhać już głos pani St. Clair, która chce dostać się na górę. Może zresztą gospodarz, a jego wspólnik z pewnością, dał mu znak, że policya się zbliża. Niema chwili czasu do stracenia. Kaleka biegnie do kąta, gdzie składał użebране pieniądze i ile miedziaków ma pod ręką, wpycha w kieszenie, aby surdut poszedł na dno. Wyrzuca go i zrobiłby to samo z re-

szta ubrania, gdyby nie posłyszał kroków, tak, że pozostało mu zaledwie dość czasu do zamknięcia okna.

— To nie wygląda niemożliwie.

— Oprzyjmy się więc na razie na tych danych, dopóki nie znajdzie się coś lepszego. Zatem Boone, jak ci już powiedziałem, został ujęty i zaprowadzony na strażnicę policyjną, lecz nie można było dojść, czy przeciw niemu nie przemawiał dawniej jakiś inny fakt. Znany był od dawna, jako zawodowy żebrak, lecz poza tem prowadził, jak się zdawało, życie spokojne i nie naganne. Tak sprawa przedstawia się obecnie. Pytania, jakie zachodzą, są następujące:

1) Co Neville St. Clair robił w tej norze?

2) Co się tam z nim stało?

3) Gdzie się teraz znajduje?

4) Jaki udział w tem jego zniknięciu ma Hugo Boone?

— Do odpowiedzi na te pytania jeszcze daleko. Muszę się przyznać, że w całej mej praktyce nie zdarzył mi się jeszcze ani jeden przypadek, tak prosty na pierwszy rzut oka, a tak zawily, gdy mu się przyjrzeć bliżej.

Podczas gdy Holmes wykladał mi tak szczegółowo zawiklaną sprawę, przejechaliśmy koło ostatnich domków przedmiejskich i wózek nasz toczył się wśród trawników. W chwili, gdy skończył, wjechaliśmy między dwie rozrzucone wioski; z paru okien błyszczało jeszcze światło.

— Zbliżamy się do Lee — przerwał Holmes milczenie — W naszej krótkiej podróży przebyliśmy ni mniej ni więcej tylko trzy hrabstwa. W Middlesex wsiedliśmy na wózek, przebyliśmy Surrey i kończymy drogę teraz, w hrabstwie Kent. Czy widzisz światło, które błyszczy tam pomiędzy drzewami? To dom «Pod cedrami»; przy tej lampie czuwa kobieta, której trwożne ucho z pewnością pochwyciło już tętent naszego konia.

— Dlaczego jednak nie prowadzisz tej sprawy jak zwykle, z Bakerstreet?

— Bo tutaj trzeba zasięgać ustawicznie informacyj. Pani St. Clair była tak uprzejmą i odstąpiła mi dwa pokoje. Możesz być przekonany, że serdecznie powita mego przyjaciela i kolegę. Przykro mi strasznie, że muszę stanąć przed nią bez wiadomości o mężu. Oto tutaj. Prr!..

Stanęliśmy przed wielką willą, otoczoną ogrodami. Podbiegł chłopak stajenny i przytrzymał konia. Wysiedliśmy i poszedłem za Holmesem wążką, wijącą się ścieżyną, która prowadziła do domu. Gdyśmy się zbliżyli, drzwi się otwarły i w progu stanęła niska kobieta, blondynka, ubrana w lekką suknię jedwabną, ozdobioną u szyi i rękawów koronkami. Postać jej odcinała się wyraźnie od smugi światła, wypływającej z otwartych drzwi. Gdy stała tak, z ciałem lekko podanem naprzód, z jedną ręką na klamce a drugą wzniesioną do góry, z oczyma,

w których malowała się trwoźna ciekawość, wyglądała jak żywy znak zapytania.

— I cóż? — zawołała.

Śpostrzegłszy, że w ciemności podchodzą do niej dwie postacie, krzyknęła zlekka, lecz okrzyk ten rozwiął się w westchnieniu, gdy mój towarzysz szybko potrząsnął głową i wzruszył ramionami.

— Dobrych wiadomości nie przynosisz pan żadnych — spytała wreszcie.

— Wogóle żadnych niema.

— A więc i złych także?

— Niema.

— Chwała Bogu i zato. Niechże panowie wejdą. Pan, panie Holmes, musisz być strudzony po dniu takiej pracy.

— Pozwoli pani przedstawić sobie mego przyjaciela, dr. Watsona. Nieraz już był mi pomocnym w podobnych sprawach, a szczęśliwy przypadek zrządził, że udało mi się sprowadzić go i zapoznać ze sprawą, o którą idzie.

— Bardzo mi miło poznać pana — zwróciła się kobieta do mnie, ściskając mnie serdecznie za rękę. — Przepraszam z góry, jeżeli porządek domowy pozostawi coś do życzenia. Wiesz już pan zapewne, jak straszny cios dotknął nas tak niespodziewanie!

— Jestem starym żołnierzem, proszę pani, a gdybym nim nawet nie był, to uważałbym to za rzecz zupełnie prostą, która nie potrze-

buje wytłomaczenia. W każdym razie byłbym bardzo szczęśliwy, gdyby mi się udało w czemkolwiek przysłużyć się pani i memu przyjacielowi.

Przeszliśmy do pokoju, gdzie czekała zimna kolacya.

— A teraz — zwróciła się pani St. Clair do mego przyjaciela — teraz chciałabym zapytać się pana o coś otwarcie, prosząc o taką samą odpowiedź.

— Bardzo chętnie. Proszę.

— Niech pan nie zważa zupełnie, że jestem kobietą. Nie jestem histeryczką, nie mam też skłonności do omdlenia. Idzie mi o to, aby poznać, co pan myśli o tem wszystkim.

— O czem?

— Czy jesteś pan przekonany, że mój mąż jeszcze żyje?

Pytanie to zaskoczyło nieco Holmesa, jak mi się zdawało.

— Otwarcie! — powtórzyła, wstając i zwracając się ku fotelowi, na którym siedział Holmes.

— Ha, skoro tak mamy mówić — rzekł Holmes — to sądzę, że nie żyje.

— Czy pan sądzi, że go zabili?

— Tak myślę. Ale nie jestem jeszcze pewien. Być może.

— A kiedy go zabito?

Mówiła z dziwnym spokojem. Powoli.

— W poniedziałek.

— W takim razie może będzie pan tak łaskaw wyjaśnić mi, jakim sposobem mogłam dzisiaj otrzymać od niego list?

Holmes skoczył z fotelu, jak gdyby go tchnęła iskra elektryczna.

— Co! — krzyknął.

— Tak jest. Dzisiaj dostałam list. Proszę.

I wyciągnęła do Holmesa kartkę papieru.

— Czy mogę to przeczytać? — spytał.

— Naturalnie.

Holmes porwał list, wygładził go na stole, przysunął lampę i obejrzał go jak najstaranniej. Ja również powstałam, patrząc mu ciekawie przez ramię. Koperta była z grubego papieru i miała na sobie stempel pocztowy z Gravesend z datą dnia dzisiejszego, lub raczej wczorajszego, gdyż północ już dawno minęła.

— Pismo niewyrobite — mruknął Holmes. — To z pewnością nie jest pismo męża pani.

— Nie, ale list pochodzi od niego.

— Widać też zaraz, że ten, kto pisał adres, musiał się wprzód o niego wypytać.

— Skądże pan to wie?

— Nazwisko, jak pani widzi, jest zupełnie czarne, albowiem atrament wysychał zupełnie i do końca. Natomiast reszta jeszcze szarawa, dowód, że atrament wyciągano bibułą. Gdyby wszystko było pisane razem, jednym ciągiem i dopiero przyłożone bibułą, to jedna część nie mogłaby być tak czarną. Napisano więc zrazu

nazwisko, potem nastąpiła przerwa podczas której piszący dowiadywał się o adres. Widocznie go nie znał dobrze. Jest to, co prawda drobnostka, nie jednak nie jest tak ważne, jak drobnostki. A teraz przyjrzyjmy się samemu listowi. Oho, tam było coś we środku.

— Tak jest. Był pierścień z pieczęcią.

— I jesteś pani przekonana, że to pismo twego męża.

— Tak. Jedno z jego pism.

— Jedno z jego pism?

— Tak pisał, gdy się spieszył. Pisał zupełnie inaczej, niż zwykle. Wiem jednak, że to on pisał, znam to pismo dokładnie.

Na papierze znajdowały się następujące słowa:

Najdroższa, nie obawiaj się. Jeszcze się wszystko naprawi. Zaszła wielka omyłka, która jednakwkrótce musi się wyjaśnić. Miej tylko cierpliwość. —

Neville.

— Pisane ołówkiem na kartce, wyrwanej z przed tytułu jakiejś książki *in octavo* — mru-
czał dalej Holmes. — Hm... dzisiaj wrzucone do skrzynki pocztowej w Gravesend przez jakiegoś człowieka, który miał brudne palce. Hm... Kopertę, jeżeli się nie mylę, zaklejał ktoś, kto lubi żuć tytoń. Ale pani nie ma najmniejszej wątpliwości co do tego, że to pismo podchodzi z ręki męża pani?

— Najzupełniej. To pisał Neville.

— I ten list dzisiaj wrzucono w Gravesend.

Istotnie, chmury się rozchodzą, lecz nie mogą jeszcze powiedzieć, iż niebezpieczeństwo minęło zupełnie.

— Ale chyba żyje? — spyta kobieta.

— Zapewne. Chyba żeby to był niesłychanie przebiegły wykręt, w celu naprowadzenia nas na fałszywą drogę. Przebiegły, bo taki łatwy do przejrzania. Co do pierścienia, to nie ma on żadnego znaczenia. Mogli mu zabrać po prostu.

— Ale pismo jest jego, z największą pewnością.

— Przypuśćmy, że tak jest. Ale list mógł być pisany w poniedziałek i dopiero później nadany na pocztę.

— I to możliwe.

— A gdyby tak było, to tymczasem mogło zajść niejedno.

— Niech mi pan przynajmniej nie odbiera reszty otuchy. Mam takie przeczucie, że nic mu złego się nie stało. Kochamy się tak bardzo, że zachodzi między nami jakiś tajemniczy, psychiczny związek. Gdyby mu się co złego przydarzyło, to zdaje mi się, że musiałabym to natychmiast przeczucić. Tego dnia, kiedy go widziałam po raz ostatni, będąc w sypialni, skaleczył się w palec. Byłam w jadalnym pokoju, a jednak pobiegłam zaraz na górę, wiedziona niezbitem przeczuciem, że coś mu się musiało stać złego. Niech mi pan wierzy, że skoro w takiej drobności mam zdolność przeczucia, to cóżby dopiero było w razie jego śmierci?

— Za wiele już rzeczy przeżyłem, aby nie dojść do przeświadczenia, że uczucie kobiety może mieć o wiele większą wartość, niżeli wnio-
ski chłodnego rozumu. Ten list jest dla pani nie-
zawodnie ważnym dowodem na to, co mówisz,
ale gdyby mąż pani był przy życiu i mógł pi-
sać listy, to dlaczegoż nie wrócił do domu?

— Tego już nie wiem. To dla mnie rzecz
niepojęta.

— Czy nie wspominał nic, wychodząc z domu,
że może nie wróci tak prędko?

— Nie.

— A pani zdziwiła się bardzo, widząc go
tam na ulicy Swandam?

— Niesłychanie.

— Czy okno było otwarte?

— Tak jest.

— Więc mógł na panią zawołać.

— Tak jest.

— A jednak, ile wiem, wydał tylko niearty-
kułowany krzyk!

— Tak jest.

— Ten krzyk wzięła pani za wołanie ratunku?

— Tak jest. Mój mąż podniósł ręce do góry.

— Ale to mógł być także wykrzyk zdumie-
nia. Być może, iż ujrawszy panią niespodzie-
wanie, podniósł do góry ręce.

— Bardzo być może.

— Czy może się pani tylko zdawało, że ktoś
go pociągnął w tył?

— Mój mąż zniknął nagle.

— Mógł także odskoczyć sam, z własnej woli. Czy nikogo więcej pani w pokoju nie widziała?

— Nie, nie widziałam. Ale ten kaleka przyznał przecież, że był tam, a Malajczyk stał na schodach.

— Bardzo słusznie. A mąż pani, o ile pani widziała, miał na sobie zwykle swoje ubranie.

— Brakowało tylko kołnierza i krawata. Widziałam wyraźnie, że miał gołą szyję.

— Czy wspominał kiedy o ulicy Swandam?

— Nie, nigdy.

— Czy nie zauważyła pani, aby używał opium?

— Nie.

— Dziękuję pani. Oto główne punkta, co do których chciałem mieć zupełną pewność. Teraz zjedźmy cośkolwiek, a potem pożegnamy panią, bo jutro będziemy mieli dzień pracowity.

Przygotowano już dla nas wielki, wygodny pokój i w parę chwil leżałem już w łóżku, po tej nocy, pełnej przygód. Holmes natomiast zdawało się, że nie potrzebował wypoczynku. Był to człowiek, który całe dni, ba, tygodnie mógł pracować gorączkowo i bez wypoczynku, jeżeli go jakiś problem bardzo zainteresował. Obracał go w głowie, oświetlał z tej i z tej strony, pracował niestrudzenie nad uporządkowaniem materiału dowodowego. Ustawał dopiero, znalazłszy rozwiązanie, albo przekonaawszy się, że dowody są niewystarczające.

Wkrótce przekonałem się, że i dzisiaj przygotowywał się do posiedzenia nocnego. Zdjąwszy surdut i kamizelkę, otulił się w niebieski szlafrok i zaczął, chodząc po pokoju, polować na poduszki, które pozbierał z łóżka, foteli i sofy. Z tego materiału zbudował sobie rodzaj otomany i usiadł na niej z podwiniętymi nogami, mając przed sobą paczkę tytoniu i zapalki. Przy bladym świetle niewielkiej lampy widziałem go siedzącego w ten sposób, z oczyma napozór błędnie wlepionymi w sufit, ze starą fajką glinianą w ustach, otoczonego błękitnymi chmurami dymu. Milczał, nie poruszał się prawie zupełnie. Tak siedział dalej, gdy mnie już oczy się kleiły i w tej samej pozycji ujrzałem go, gdy zbudziło mnie słońce, zagląające do pokoju. Fajkę miał dalej w ustach i dym z niej wił się dalej w powietrzu. Tylko z paczki tytoniu nie pozostało ani okruszyny.

— Wyrzeźwiłeś się? — spytał.

— Jak widzisz. — odparłem nawpół senny.

— Możesz ze mną pojechać?

— Naturalnie. — W jednej chwili otrzeźwiłem się zupełnie.

— W takim razie ubieraj się. Wszyscy śpią, lecz wiem, gdzie śpi parobek, chłopak stajenny, a mały wózek to wydostaniemy już sobie sami.

Mówiąc to, śmiał się po cichu, a oczy mu błyszczały. Zdawało się, że to inny człowiek.

Ponura, zamysłona postać z ubiegłej nocy znikła gdzieś bezpowrotnie.

Ubierając się, spojrzałem na zegarek. Nic dziwnego — pomyślałem — że wszyscy śpią. Toć to dwadzieścia pięć minut na piątą!

Zaledwie skończyłem się ubierać, gdy Holmes przyszedł powiedzieć, że już zaprzegają.

— Muszę wypróbować jedną z mych teorii — rzekł do mnie. — Mojem zdaniem, widzisz teraz przed sobą jednego z największych osłów w całej Europie. Warto mnie tak kopnąć, abym poleciał stąd do Charing Cross! Ale teraz, jak mi się zdaje, znalazłem już kluczyk do tej tajemniczej szkatułki.

— A gdzie był ten kluczyk?

— W łazience — odparł. — Tak jest, nie żartuję — dodał widząc, że się uśmiecham z niedowierzaniem. — Właśnie tam byłem i zabrałem go do torby. Dalej, mój chłopcze, zobaczymy, czy nie nadaje się do zamku!

Pocichu wymknęliśmy się poschodach i wkrótce oblało nas jasne słońce poranne. Na drodze stał już nasz wehikuł, a nawpół odziany chłopak trzymał konia za lejce. Szybko siedliśmy i pojechali londyńską szosą. Wprawdzie wozy chłopskie, wiozące jarzyny do miasta, hałasowały nieco, lecz wille po obu stronach drogi były ciche i bez życia, jak jakie zaczarowane miasto.

— To ciekawa historia, z wielu względów ciekawa — zaczął Holmes, — popędzając konia,

aby szedł galopem. — Byłem ślepy jak kret, to muszę przyznać. Zawsze jednak lepiej, że człowiek przejrzy późno, jak nigdy.

W mieście otwierały się z rzadka okna i ranne «ptaszki» wyglądały na świat zaspanemi oczyma, gdyśmy jechali przez ulicę Waterloo, a potem za rzeką, przez ulicę Bow. Holmesa znano na policyi doskonale, więc obaj policyjanci, stojący przed drzwiami złożyli mu uprzejmy ukłon. Jeden z nich potrzyzymał konia, drugi wprowadził nas do środka.

— Kto ma służbę? — zapytał Holmes.

— Inspektor Bradstreet.

— Aha. Dzień dobry panie Bradstreet, dzień dobry panu.

Wysoki mężczyzna w czapce mundurowej szedł właśnie przez ganek, wyłożony kamieniami płytami.

— Czy nie mógłbym pomówić z panem słów paru, panie Bradstreet? — spytał Holmes.

— Bardzo chętnie służę. Proszę do mego pokoju.

Była to mała izdebka, urządzona po biurowemu, z ogromną księgą na stole i telefonem, wystającym ze ściany. Inspektor usiadł przy pulpicie.

— Czem mogę panom służyć? — spytał.

— Przyszedłem w sprawie tego żebraka, Beenego, no, wiesz pan przecież, człowieka, który

jest podejrzany o współudział w zamordowaniu Neville'a de St. Clair.

— Tak jest, sprowadzono go tutaj i będzie dziś dalej przesłuchiwany.

— Czy siedzi spokojnie?

— Nie sprawia nam kłopotu. Ale brudna bestya! No!

— Brudny?

— Zaledwie go można nakłonić do tego, aby sobie mył ręce. Gębę ma brudną, czarną, jak kominiarz. No, ale gdy raz dostanie porządną kąpiel, to będzie czysty. Zgodziłbyś się pan ze mną, widząc go, że potrzebuje kąpieli.

— A można go zobaczyć?

— Naturalnie. Bardzo łatwo. Chodź pan tylko. Torbę możesz pan zostawić na stole.

— Ej, nie, dziękuję, wolę wziąć ją ze sobą.

— Jak pan sobie życzy. Tędy, proszę...

Urzędnik otworzył drzwi, sprowadził nas po schodach, potem odsunął rygiel i znaleźliśmy się na biało tynkowanym korytarzu z szeregiem drzwi po obu stronach.

— Trzecie drzwi na prawo — rzekł inspektor. — Ot, tutaj proszę...

Odsunął zasuwkę w górnej połowie drzwi i spojrzął do środka przez otwór.

— Spi — rzekł. — Teraz mogą go panowie widzieć doskonale.

Zbliżyliśmy się i spojrzeli przez szybkę. Więzień spał, z twarzą zwróconą ku drzwiom, od-

dychając powoli i ciężko. Był to człowiek średniego wzrostu, szkaradnie odziany, jak przystało na żebraka; przez dziury w surducie wyglądała niebieska koszula. Inspektor miał rację, mówiąc, że żebrak jest brudny, ale nawet gruba warstwa brudu, pokrywająca mu twarz, nie była w stanie ukryć jego wstrętnej brzydoty. Blizna przedzielała mu twarz od oka do podbródka i podciągnęła, zrastając się, wargę górną do góry tak, że trzy zęby były widoczne: wyglądało to, jak gdyby żebrak ciągle się uśmiechał. Czoło i oczy zasłaniał mu kołtun rudych włosów.

— Adonis? Co? — spytał drwiąco inspektor.

— W każdym razie potrzeba go umyć — rzekł Holmes — a że przewidywałem to, więc pozwoliłem sobie przynieść, co potrzeba.

Otworzył torbę i wyjął z niej ku memu wielkiemu zdziwieniu ogromną gąbkę, taką, jakiej się używa do kąpieli.

— Ha, ha, ha, — zaśmiał się inspektor. — Ciekawy z pana człowiek, panie Holmes!

— Gdybyś pan był teraz tak łaskaw otworzyć drzwi, ale bardzo po cichu, to zobaczysz pan, że wkrótce zrobi zupełnie inną minę!

— No, zaszkodzić mu to nie zaszkodzi — zakonkludował Brandstreet. — W takim stanie nie przynosi Boone zaszczytu naszemu więzieniu.

Włożył klucz w zamek i weszliśmy po cichu.

Żebrak obrócił się na drugi bok, lecz wkrótce zasnął znowu. Holmns podszedł do kubła z wodą,

zanurzył gąbkę i następnie przetarł nią dwa razy twarz żebrakowi.

— Panowie! — zawołał Holmes głośno — Pozwólcie, że was przedstawię panu Neville St. Clair z Lee w hrabstwie Kent.

Nigdy w życiu nie zaznałem podobnego widoku. Twarz więźnia zlazila poprostu pod gąbką jak kora z drzewa. Zniknął brunatny kolor brudu, zniknęła ohydna szrama i wykrzywiona górna warga, która całej twarzy nadawała odstręczający wyraz. Jednem szarpnięciem zdarł Holmes z głowy więźnia rude, kędzierzawe włosy; przed nami na pryczy siedział blady, smutny, dystygowany człowiek o sympatycznej twarzy, brunet o delikatnej cerze, który w rozespianiu przecierał sobie oczy, nie mogąc dojść, co się z nim dzieje. Nagle przyszedł do przytomności i zobaczywszy, co się stało, krzyknął głośno, kryjąc twarz w dłoniach.

— Wielki Boże! — zawołał inspektor. — Ależ to istotnie St. Clair. Poznają go z fotografii!

Więzień obrócił się do nas ze spokojem człowieka, który zdaje się na swój los.

— Ha, dobrze — rzekł — A teraz powiedzcie mi, proszę, o co jestem oskarżony?

— O to, że zamordowałeś pan Nevilla St. Clair, ale zaiste, teraz trudno pana o to posądzić, chyba żeby sąd zechciał oskarżyć pana o usiłowane samobójstwo. — Inspektor zaśmiał

się znowu. — Dwadzieścia siedm lat jestem w służbie, a jeszcze nigdy nie zdarzyło się nic podobnego.

— Więc skoro jestem Nevillem St. Clair, to rzecz jasna, że nie popełniłem morderstwa, i że trzymają mnie tutaj bezprawnie.

— Nie zaszło tutaj morderstwo, lecz poprostu wielka pomyłka — zabrał głos Holmes — Lepiejbyś pan był zrobił, ufając swej żonie!

— Nie zrobiłem tego dla żony, tylko dla dzieci — zawołał więzień. — Na Boga! Nie chciałem, aby się wstydzily własnego ojca! Boże, co za hańba! Cóż teraz począć!

Sherlok Holmes usiadł na pryczy przy więźniu i położył mu rękę na ramieniu.

— Jeżeli sprawa pójdzie przed sądy, to naturalnie wyjdzie na światło dzienne. Jeżeli jednak udowodnisz pan policyi, że niema powodu, aby cię oskarżać o cokolwiek, to nie wiem, jakim sposobem mogłaby ta historia dostać się do prasy. Inspektor Bradstreet z pewnością będzie taki dobry spisać wszystko, co mu pan powiesz, a potem złoży raport władzom. W ten sposób sprawa nie pójdzie wcale przed sąd.

— Niech pana Bóg błogosławi! — zawołał więzień — Więzienie, śmierć na szafocie, wszystkobyśmy wolał, byle nie zdradzić tajemnicy i nie zhańbić mych dzieci!... Panowie pierwsi w świecie usłyszają moją historję. Mój ojciec był nauczycielem w Chesterfield i wychował mnie jak

najstaranniej. Za młodu podróżowałem, byłem aktorem, a wreszcie zostałem reporterem pewnego londyńskiego pisma. Pewnego dnia redaktor zaproponował mi napisanie kilku artykułów o żebractwie londyńskim. Zobowiązałem się dostarczyć i to stało się punktem wyjścia wszystkich mych przygód. Materiał do artykułów mogłem zebrać tylko w ten sposób, że przebrałem się za żebraka. Jako były aktor umiałem się naturalnie szminkować i charakteryzować, a grzeczność w tem zdała mi się teraz ogromnie. Namalowałem sobie ogromną szramę i podciągnąłem wargę górną plastrem do góry, uszminkowałem twarz, a włożywszy jeszcze rudą perukę i stosowne odzienie, stanąłem sobie w najbardziej ożywionej części miasta, niby to jako handlarz zapalek woskowych, w istocie zaś jako żebrak. Siedm godzin wytrwałem na stanowisku, a powróciwszy wieczorem do domu, spostrzegłem ku memu wielkiemu zdziwieniu, że uzbierałem ni mniej, ni więcej tylko dwadzieścia sześć szylingów i cztery pensy.

Pisząc artykuły, nie myślałem już o tem, w kilka dni później przyszło mi zapłacić weksel za znajomego, któremu z grzeczności podpisałem. Było to 25 funtów szterlingów. Nie wiedziałem skąd wziąć pieniędzy i byłem w istocie w rozpacz, gdy naraz przyszła mi wyborna myśl. Poprosiłem wierzyciela o czternaście dni zwłoki,

wziąłem urlop i spędziłem go w przebraniu żebraka w mieście. W dziesięć dni miałem potrzebne pieniądze i zapłaciłem dług.

Możecie sobie panowie pomyśleć, jak mi trudno przychodziło pracować cały dzień za marne dwa funty tygodniowo, wiedząc, że dość mi się uszminkować, położyć czapkę na ziemi i posiedzieć trochę pod murem, aby w jednym dniu zebrać taką samą sumę. Długa walka stoczyła się we mnie między chciwością, a dumą, aż wreszcie pierwsza zwyciężyła. Zawiesiłem dziennikarstwo na kołku i dzień za dniem wychodziłem na żebranie, wzbudzałem litość mym okropnym wyglądem i napelniałem kieszenie miedziakami. Jeden jedyny człowiek znalazł moją tajemnicę. Był to właściciel pewnej nory na ulicy Swandam, gdzie mieszkałem, i skąd co rana wychodziłem w postaci brudnego żebraka, aby wieczorem znów zmienić się w zamożnego człowieka. Płaciłem mu doskonale za pokój i byłem pewien, że mnie nie zdradzi.

Wkrótce okazało się, że zbieram wcale ładne sumki. Nie sądzę, aby każdy żebrak londyński uzebrał rok rocznie 700 funtów — ja zawsze zbierałem więcej — ale mnie specjalnie dopomagało to, iż miałem zawsze na podreędziu ciętą odpowiedź, którą umiałem zastosować do osoby pytającej, tak, że w krótkim czasie stałem się powszechnie znaną figurą w mieście. Codziennie zabierałem do domu kupę miedzia-

ków i srebrnej monety, i źle było, jeżeli dzień nie przyniósł mi dwóch funtów.

W miarę napływu pieniędzy rosły też moje wymagania. Kupiłem sobie willę, ożeniłem się, a nikt nie przypuszczał, czem właściwie jestem. Moja żona, poczciwa kobieta, wiedziała, że mam interesa w mieście, nie przypuszczała jednak, co to były za zajęcia.

Ostatniego poniedziałku właśnie ukończyłem swą dzienną pracę i przebierałem się w pokoju, leżącym nad palarnią opium, gdy przypadkiem spojrzalem w okno i ku najwyższemu memu zdumieniu spostrzegłem, iż żona moja stoi na ulicy i patrzy na mnie. Zaskoczony tą niespodzianką, krzyknąłem, podniosłem ręce, aby zakryć twarz, i pobiegłem do gospodarza, aby powiedzieć mu, żeby nie wpuszczał nikogo. Słyszałem, iż żona woła z dołu, lecz byłem teraz pewien, że nie wejdzie. Szybko zrzuciłem ubranie, uszminkowałem się i wsadziłem perukę. Nawet własna żona nie mogła mnie poznać. Ale przypomniałem sobie, że pokój będzie przeszukiwany i że suknie mogą mnie zdradzić. Szybko otwarłem okno, przyczem otworzyła mi się mała rana na palcu, skaleczonym z rana w sypialni. Wziąłem surdut, obciążyłem go miedziankami z torby podręcznej i wyrzuciłem go przez okno. Resztę ubrania miałem również wyrzucić, ale w tej samej chwili usłyszałem na schodach kroki policyi, a w parę minut potem, zamiast

zdemaskowania, zostałem ujęty jako swój własny morderca! Przyznaję, że woląłem drugie, niż pierwsze.

Reszta rozumie się sama przez się. Byłem zdecydowany zachować *incognito* dopóki się tylko da i stąd ta predylekcyja do mniemanego brudu. Wiedząc dobrze, iż żona będzie się niepokoila, zdjąłem pierścień z palca i w chwili, gdy mnie policyanci spuścili z oczu, wręczyłem go Malajczykowi wraz z kartką na prędce napisaną, aby żona wiedziała, że niema czego się obawiać.

— Kartkę dostała dopiero wczoraj — wtrącił Holmes.

— Boże! Tydzień męczarni!

— Policyja pilnowała Malajczyka — wyjaśnił inspektor. — Trudno mu było rzucić list na pocztę niepostrzeżenie. Prawdopodobnie oddał go jakiemu majtkowi, a ten nosił go przez zapomnienie parę dni przy sobie.

— Tak, tak — potwierdził Holmes — tak być musiało. Ale, ale, czyż nigdy pana nie pociągano do odpowiedzialności za żebraninę?

— Bardzo często. Cóż mnie jednak obchodziła mała kara pieniężna?

— Ależ teraz musi już z tem się skończyć, panie Neville — rzekł inspektor — jeżeli policyja ma tę sprawę zatuszować, to Hugo Boone musi umrzeć raz na zawsze.

— To już sam przysiągłem sobie — i dotrzymam.

— W takim razie, jak sądzę, dalsze kroki będą niepotrzebne. Ale gdyby pana znów kiedy przyłapano na żebranie, to wszystko wyjdzie na jaw. Bardzo jesteśmy wdzięczni panu, panie Holmes, że wyjaśniłeś tak rychło sprawę. Byłbym bardzo ciekawy dowiedzieć się, jaką drogą doszedłeś do tak interesujących wniosków?

— Bardzo prosta: usiadłem na pięciu poduszkach i wypaliłem porządną porcję tytoniu. — Pojedziemy teraz na Bakerstreet, mój drogi. — Zdamy jeszcze na śniadanie.

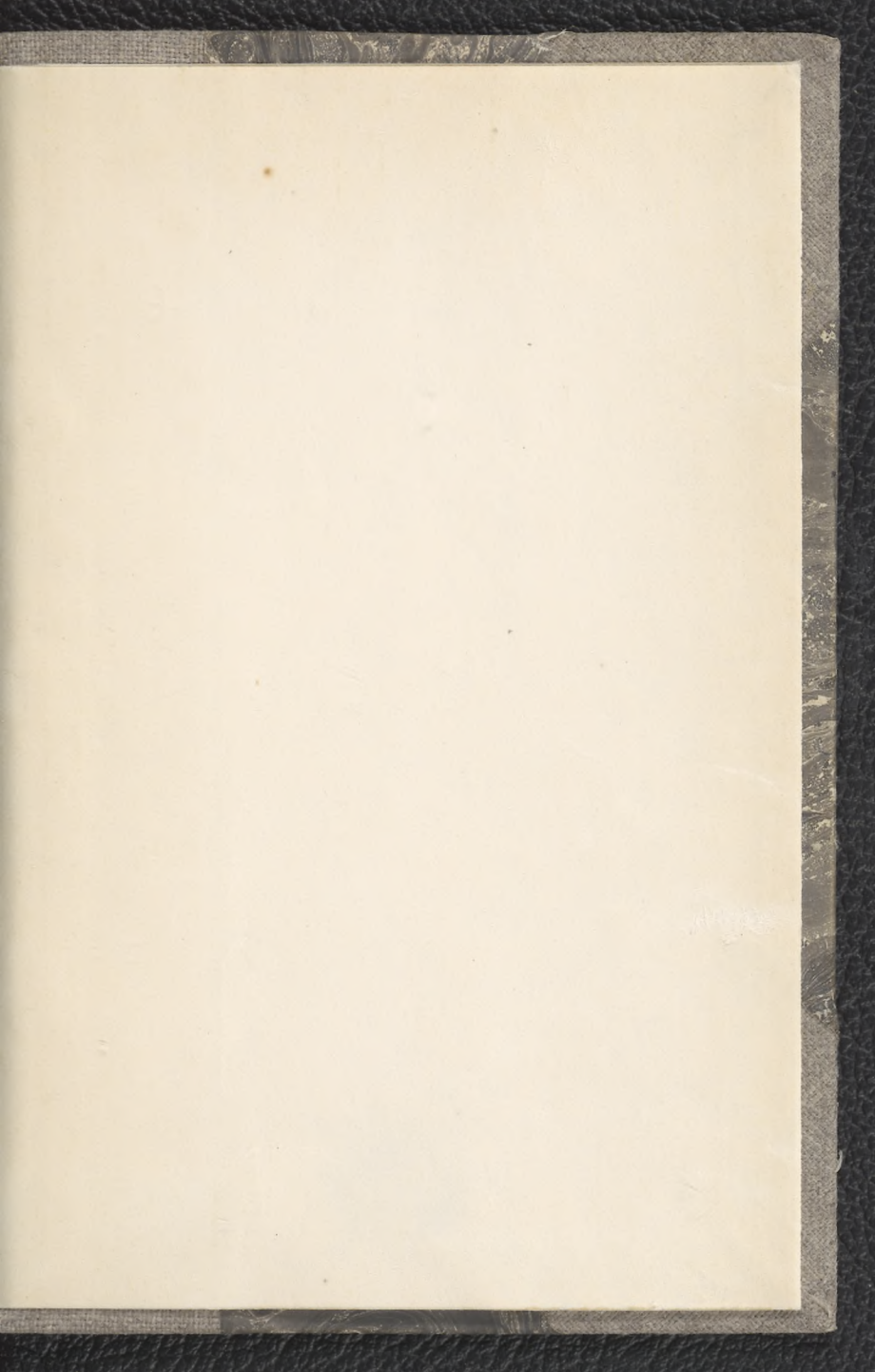


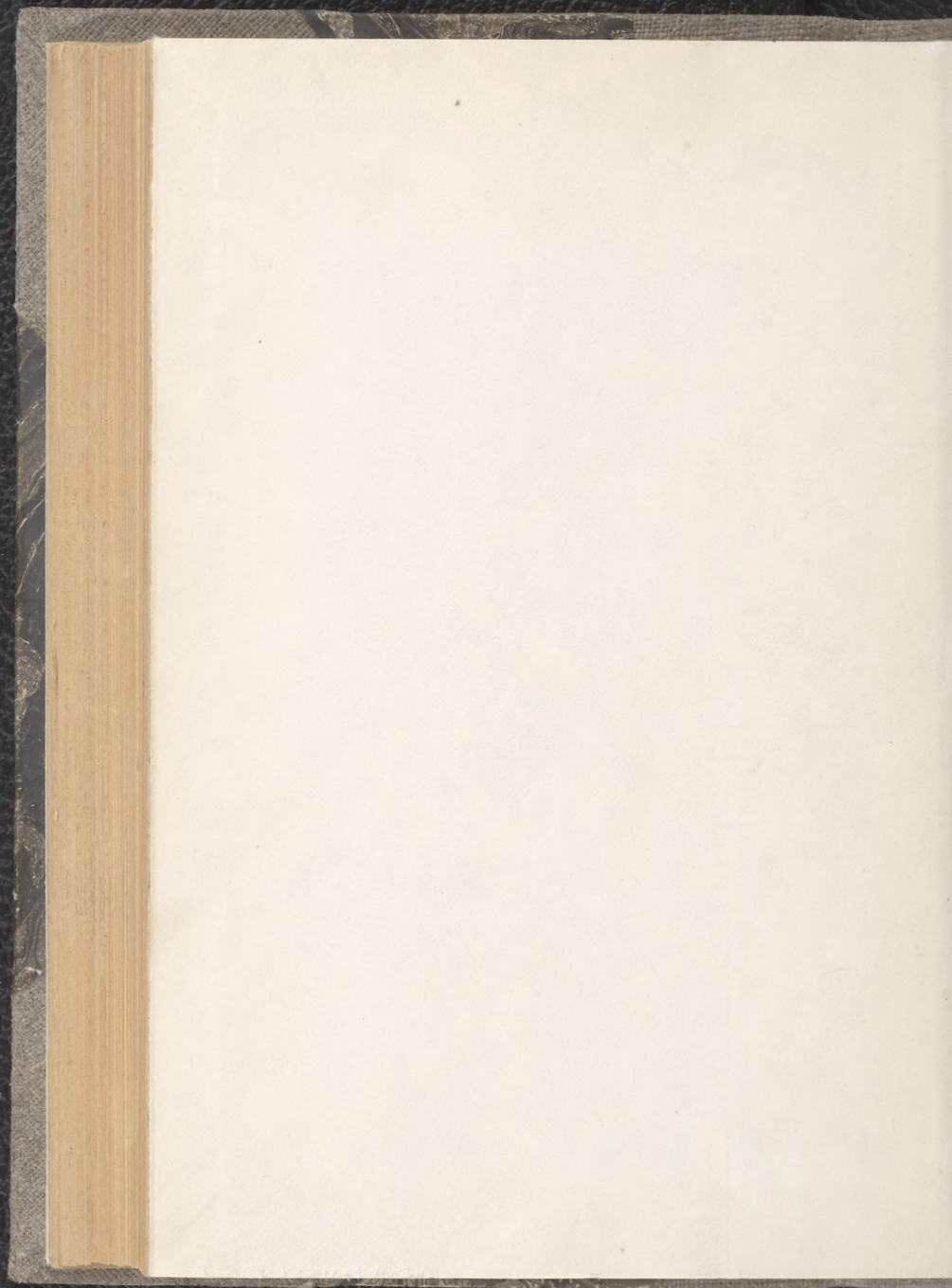
SPIS RZECZY.

	Str.
Tajemnica Oblubienicy	1
Czarny Piotr	43
Ezaw i Jakób	89
Garbus	153
Blizna	187

BN
BIBLIOTEKA
NARODOWA

P. L. Jarochalski
H-wa 22. T. 93a.
- 300.000 u





Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001024268835



1470179

